TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Ks. Adam Boniecki: rozmowa na 92. urodziny

Jak państwo prywatyzuje ochronę zdrowia

Macho z mopem: hiszpańscy panowie domu

„Vaiana”: czy Disney się nawrócił

Michał Okoński na koniec mundialu

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 22 – 28 lipca 2026 | nr 30 (4020)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Obsesja długowieczności

MEDYCYNA I BIZNES OBIECUJĄ ZDROWĄ STAROŚĆ. ZA JAKĄ CENĘ?

MAREK RABIJ

STR. 10-14



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 2ed1dec601

TYGODNIK POWSZECHNY

Droga od powojennej tymczasowości do dojrzałego zakorzenienia.

Poznaj niezwykłe losy mieszkańców Ziem Zachodnich i Północnych.

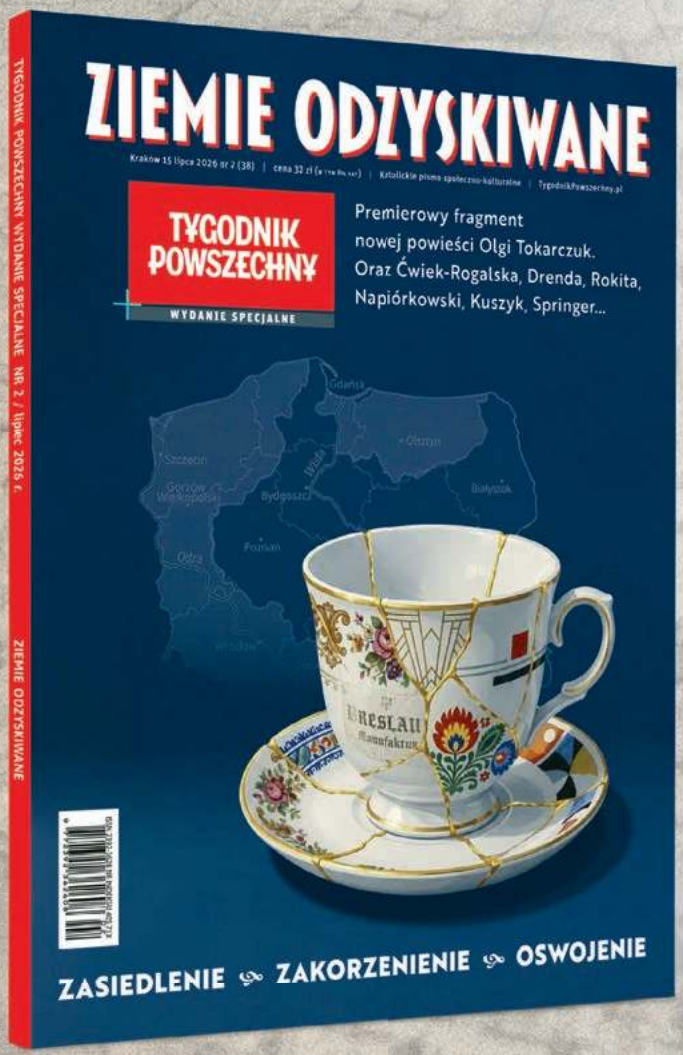

TYLKO U NAS!
Przedpremierowy fragment nowej powieści Olgi Tokarczuk. Sprawdź, na co czeka cały literacki świat!

Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” znajdziesz w kioskach, salonach prasowych i online!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 2ed1dec601

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Kłótnia o spokój
MAREK KĘSKRAWIEC

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Wiatr w oczy
MARCIN KĘDZIERSKI: *Co pokazała awantura o zarobki lekarzy*

19 Gra w okręgi
JAROSŁAW FLIS: *Granice okręgów wyborczych wypaczają wynik*

■ ■ ŚWIAT

24 Plaga pazerności



EVGENIY MALOLETKA / AP / EAST NEWS

PIOTR OLEKSY *o korupcji w państwach kandydujących do UE*

27 Serbowie u progu przełomu
JULIUSZ PIELICHOWSKI Z SERBII: *25 lat po rozpadzie Jugosławii – wciąż na rozdrożu*

30 Fartuch zamiast garnituru
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MADRYTU *o hiszpańskich „panach domu”*

32 Sekrety tkaniny



ISOGOOD PATRICK / SHUTTERSTOCK

PATRYCJA BUKALSKA: *Z Bayeux do British Museum*

■ ■ WIARA

34 Zdradzeni przez Kościół
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Osoby skrzywdzone wciąż czekają na komisję*

38 Ciekawe miejsce dla teologów
MAGDALENA LAJEWSKA Z BIAŁORUSI

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

TEMAT TYGODNIKA

10
Obsesja długowieczności
MAREK RABIJ

Przez stulecia uchodziło za uśmiech losu lub błogosławieństwo niebios. Dziś obietnica długiego życia w zdrowiu staje się jeszcze jedną ofertą rynkową. Za jaką cenę?

13
Dlaczego się starzejemy
BARTOSZ KABAŁA



■ 92. BONIECKI ■

56 Sztuka życia
Piotr Mucharski i Jacek Stawiski

57 Krótki film o życiu
Anna Goc rozmawia z ks. Adamem Bonieckim

62 O służbie i zaufaniu
ks. Adam Boniecki

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
22 OLGA DRENDA
78 WOJCIECH BONOWICZ **92** PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS
I MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

40 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ PSYCHE

42 Osobista historia choroby
MAREK MIGALSKI *o tym, czego uczy nowotwór*

■ ■ HISTORIA

46 Gula w gardle
ANNA WYLEGAŁA Z RADRUŻA, *gdzie w rocznicę Wołynia wystąpił prezydent Nawrocki*

■ ■ NAUKA

50 Wirus, który dostał skrzydeł
WOJCIECH BRZEZIŃSKI *o ptasiej grypie*

■ ■ KULTURA

80 W cieniu marzeń



MATERIAŁY PRASOWE

MACIEJ JARKOWIEC *o „Vaianie” i przełomie u Disneya*

84 Lekcje czytania
JERZY JARNIEWICZ *o pisarstwie Iana McEwana*

88 Polecamy

89 Cała ta sztuka
ANITA PIOTROWSKA *o retrospektywie filmów Łukasza Rondudy*

91 Krakowianin
LEKTOR *o książce Tomasza Siewierskiego i Artura Górskiego „Karol Estreicher”*

■ ■ ZMYSŁY

94 Krajobraz z Messim i ludzie



JULIAN FINNEY / FIFA / GETTY IMAGES

MICHAŁ OKOŃSKI *na podsumowanie mundialu: Geniusz zdetronizowany. Ale może to nie takie złe zakończenie?*

eprasa.pl 2ed1dec601

KS. ADAM

Boniecki: *Mam urodziny*

W moim domu nie obchodziło się urodzin. Nie to, że się ich nie zauważało – ale zauważyć, nie znaczy obchodzić. Obchodziło się imieniny. Dzień patrona. A jeśli ktoś miał imię bez niebieskiego patrona (patronki) – jak moja mama – świętował w dniu patrona swego drugiego imienia. To wydawało mi się oczywiste, niepodlegające dyskusji.

Był jeden wyjątek: urodziny siódme. Bo w mojej rodzinie był zwyczaj, wręcz prawo, że dzieci ofiarowywano Matce Boskiej i na znak tego do siódmego roku życia ubierano je wyłącznie w ubrania kolorów maryjnych – na biało i niebiesko. Słyszałem, jakoby ta tradycja była rodem z Jasnej Góry, kiedy jednak po latach próbowałem się tam czegokolwiek na ten temat dowiedzieć, nikt o czymś takim nie słyszał. W dniu siódmych urodzin dostałem więc... czerwone ubranko. Dumnie je nosiłem przez cały dzień, ale potem nie pamiętam, bym ponownie je na siebie wkładał. Mój półtora roku młodszy brat też miał takie ubranko – i też nie pamiętam, by w nim chodził poza dniem urodzin. Zwyczaj w następnych pokoleniach zanikł. Nie wiem, czy ktoś jeszcze go pamięta – poza mną oczywiście. Ja pamiętam.

Obchodzenie imienin, nie urodzin, było więc żywe. A że w moim przypadku obchody zbiegały się z Bożym Narodzeniem i z prezentami pod choinką, zawsze rano były moje imieniny, a wieczorem już osobne święto. I nawet jeśli o moim patronie nic w gruncie rzeczy nie wiemy, to przecież



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

MICHAŁ

Kuźmiński: *Długo i z sensem*

W piątki rano wymyślamy tematy na strony Obrazu Tygodnia, drukowane najpóźniej. Pomysłów jest więcej niż miejsca i wiele z nich nie wchodzi. Tym razem nie wszedł news znaleziony przez Artura Sporniaka w portalu diecezji Eisenstadt. Nie mogę go tu jednak Państwu nie zacytować.

Chodzi o wyniki badań prof. Marca Luya z Austriackiej Akademii Nauk nad długowiecznością wśród zakonników, wykazujące, że żyją oni dłużej niż ich świeccy rówieśnicy. Wpływ na to mają życie we wspólnocie, uporządkowany plan dnia oraz jasno określona misja. Te czynniki plus wiara i modlitwa redukują stres, zapewniają poczucie bezpieczeństwa i sensu. Co ważne, wskazuje prof. Luy, zakonnicy nie poświęcają się dbaniu o *longevity*. Dłuższe życie to efekt uboczny.

Konglomerat globalnych korporacji farmaceutyczno-spożywczo-gadżeciarsko-medialnych buduje tymczasem wokół długowieczności i wiecznej młodości gigantyczny przemysł – jak pisze **MAREK RABIJ** w Temacie Tygodnika

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 54

SPRAWDŹ **PROMOCYJNĄ OFERTĘ:** PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 2ed1dec601

kimkolwiek był „pierwszy człowiek” – jest on chyba dla nas, następnych, ważny. Nie wiem, jak go sobie wyobrażać, ale i tak go lubię.

Urodziny przypominają natomiast, w jakim wieku jest świętujący. Nie bez zdziwienia konstatuję, że zbliżam się (powoli, ale nieustannie) w okolice setki. Te cyfry szepczą, że każde urodziny mogą być ostatnie. Mogą oczywiście również nie być: jeśli nie ma wyraźnych symptomów zbliżającego się kresu (mniej wyraźne są, ale one nie przeszkadzają). Cóż, żyje się może nie tak, jak parę lat wcześniej, ale w miarę normalnie. Tylko na świat patrzy się inaczej, z dystansem kogoś, kto zbiera się do przeprowadzki. Zbiera się gnuśnie, bo w ogóle człowiek gnuśnieje, ale się jednak zbiera. Ważność spraw (osób i spraw) się zmienia, przeszłość można wspominać, ale nie da się już niczego zmienić. Wiara przechodzi dziwny proces oczyszczenia i czasem bierze człowieka strach, że nic z niej nie zostanie. Moje doświadczenie jednak jest raczej pozytywne: pozostaje to, co istotne.

Tak więc urodziny są bezcenne, choćby dlatego, że pomagają popatrzeć na to, co się przeżyło. Oczywiście, wielu rzeczy nie pamiętam, ale niektóre pamiętam całkiem dobrze. Niestety. Faktów nie zmienisz, zaniedbań nie nadrobisz, czasu nie cofniesz. Pozostaje żal, ocena *ex post* i nadzieja na miłosierdzie Boga i ludzi.

Na urodzinowych przyjęciach, małych i wielkich, wspomina się dobre czyny i zasługi solenizanta. Oby tylko on sam od tego nie zgłupiał. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

– wart co najmniej 3 biliony dolarów rocznie. Tyle ludzkość wydaje na produkty i usługi z branży *longevity*, a efektem komercjalizacji długowieczności może być m.in. dyskryminacja osób z problemami zdrowotnymi lub niemogących sobie pozwolić na kosztowny *lifestyle*. Czytając, nie sposób się oprzeć wrażeniu, że presja, obsesja, koszt i stres związany z zarządzaniem „projektem ciało” bynajmniej długowieczności i zdrowiu nie służą.

Z drugiej strony medalu znajdą Państwo w tym numerze rozmowę **ANNY GOC** ze świętującym 92. urodziny **KS. ADAMEM BONIECKIM** – bądź co bądź, zakonnikiem. Rozmowę o długim życiu z sensem, o dystansie, o rozróżnianiu pilnego od ważnego. „Większa część mojego życia była podporządkowana sprawom ważniejszym – mówi Adam. – I tam był też smak życia”.

Nie wiem, jak z zakonem, ale poczucie wspólnoty, rytm i jasna misja brzmią jak opis życia w „Tygodniku Powszechnym”, któremu to właśnie Adam nadawał – nie narzucał – te cechy. Czy „Tygodnik” przyczynił się do długowieczności Adama, nie mnie rozstrzygać – Adam do długowieczności „Tygodnika” przyczynił się bezdyskusyjnie. Więc z okazji jego jubileuszu mam życzenia dla Państwa: życia z sensem i z jego efektem ubocznym w postaci zdrowia i lat. Czytajcie Bonieckiego! ©℗

Dziennikarz i redaktor działu Kultura, podkaster, współautor powieści kryminalnych i autor książek dziennikarskich.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

PATRYCJA BUKALSKA
Warszawskie kapliczki: w sierpniu 1944 r. były miejscem spotkań, tu się modlono, chowano bliskich. Poszukajmy ich – oraz tych, którzy się nimi opiekują.

JAKUB PUCHALSKI
Może i sezony koncertowe ważnych instytucji w Polsce stają się coraz ciekawsze, ale to wciąż na festiwalach oczekujemy największych wydarzeń.

WAJDA: NOWE KADRY



MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

Do swoich fascynacji Andrzejem Wajdą przyznają się najwięksi. Francis Ford Coppola wspominał seans „Popiołu i diamentu” jako jedno ze swoich najważniejszych formacyjnych doświadczeń. Ingmar Bergman był zachwycony „Ziemią obiecaną” i nie szczędził komplementów pod adresem „Dyrygenta”. O tym, dlaczego wciąż warto wracać do filmów Wajdy, a także o niezrealizowanych projektach reżysera, piszemy w specjalnym magazynie.
JUŻ W NAJBLIŻSZYM NUMERZE.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 2ed1dec601

OBRAZ TYGODNIA

13–19 LIPCA 2026

ROPA DROŻEJE, a amerykańskie siły zbrojne bombardują cele w Iranie, zgodnie z rozkazem Donalda Trumpa dążąc do „dalszego osłabiania zdolności wojskowych" Teheranu. ■■■ **ROSYJSKIE POCISKI BALISTYCZNE** i manewrujące uderzyły w Ukrainę. Najmocniejszy atak od początku pełnoskalowej inwazji był odwetem za skutkujące gigantycznym pożarem uderzenie ukraińskich bezzałogowców na magazyn paliw w obwodzie moskiewskim. ■■■ **ULICZNE PROTESTY** w Ukrainie wywołało odwołanie Mychajła Fedorowa ze stanowiska ministra obrony; wcześniej młody polityk – ceniony za walkę z korupcją i unowocześnianie wojska – ujawnił, że jest skonfliktowany z naczelnym dowódcą, gen. Ołeksandrem Syrskim. ■■■ **WOŁODYMYR ZEŁENSKI** deklaruje wolę odwilży w stosunkach z Polską: zapowiada otwarcie wszystkich archiwów dotyczących Wołynia i znaczące ułatwienia w pracach ekshumacyjnych na tym terenie. ■■■ **PRZED ROSYJSKĄ PROWOKACJĄ** pod fałszywą flagą, z użyciem ukraińskich dronów, przestrzegał podczas wizyty w USA Radosław Sikorski. ■■■ **STOPIEŃ ZAGROŻENIA TERRORYSTYCZNEGO** w Niemczech został podniesiony do wysokiego – ogłosił szef tamtejszego MSZ, powołując się na informacje wywiadowcze. ■■■ **ANDY BURNHAM** został nowym liderem brytyjskiej Partii Pracy i w najbliższych dniach obejmie funkcję premiera. Były burmistrz Wielkiego Manchesteru zapowiada, że jego rząd będzie chciał „odzyskać kontrolę" m.in. nad mieszkalnictwem, transportem publicznym, rynkiem energii i dostarczaniem wody. ■■■ **WĘGRY** zmieniają konstytucję, a wśród konsekwencji tych zmian jest usunięcie ze stanowiska dotychczasowego prezydenta Tamása Sulyoka. ■■■ **KAROL NAWROCKI** zawetował ustawę o statusie osoby najbliższej i umowie o wspólnym pożyciu. „Nie mogę zaakceptować rozwiązania, które prowadziłoby do utraty szczególnego statusu małżeństwa" – uzasadnił prezydent. ■■■ **PIS** walczy o jedność: kierownictwo partii zobowiązało działaczy do wystąpienia ze stowarzyszeń „prowadzących działalność polityczną" (chodzi m.in. o Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego) pod groźbą wykluczenia. 45 parlamentarzystów związanych z Morawieckim przekonuje, że ich celem również jest jedność i ponowne dotarcie do osób, które w ostatnich latach odeszły od ugrupowania. Prezes Kaczyński pozostaje jednak nieugięty. ■■■ **SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM** i Mateusz Szpytma zostali wybrani przez Sejm na stanowiska rzecznika praw obywatelskich i prezesa IPN. W obu przypadkach o poparciu kandydatów przesądziło stanowisko PSL. Wybór musi zaakceptować Senat. ■■■ **WYROK 20 LAT** więzienia usłyszał sprawca śmiertelnego wypadku na Trasie Łazienkowskiej Łukasz Żak (pijany, pędził ponad 200 km/h, nagrywał swój „wyczyn" telefonem, a potem zbiegł z Polski). ■■■ **POLICJA** zatrzymała mężczyznę, który w miejskim autobusie w Bielsku-Białej znieważał ukraińskie nastolatki; incydent był szeroko komentowany w mediach społecznościowych. ■■■ **PIŁKARSKIM MISTRZEM ŚWIATA** została reprezentacja Hiszpanii, która pokonała w finale Argentynę 1:0. ©℗



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

POWYŻEJ:
Skrzynki z kluczami do lokali wynajmowanych krótkoterminowo. Kraków, kwiecień 2026 r.

KŁÓTNIA O SPOKÓJ

Polskie władze zostały zobowiązane przez UE do ucywilizowania przepisów w obrębie krótkoterminowego najmu lokali. Zaproponowana przez rząd ustawa wywołała burzę.

MAREK KĘSKRAWIEC

Co prawda cały rynek to 1 proc. wszystkich mieszkań, ale w centrach turystycznych miast – nawet kilkanaście. Zwykli ludzie kupując mieszkanie, często na kredyt, nie mają gwarancji, że na piętrze co czwarty lokal nie okaże się „hotelem".

eprasa.pl 2ed1dec601



Z wszystkimi tego konsekwencjami: hałasem, wyższymi kosztami za sprzątanie i nieustannie zmieniającymi się lokatorami, z których niektórzy potrafią być kłopotliwi dla sąsiadów.

ROZWIĄZANIEM problemu zajęło się Ministerstwo Sportu i Turystyki podległe Jakubowi Rutnickiemu (KO), a twarzą projektu został wiceminister Ireneusz Raś (PSL). Mimo pierwotnych planów, które miały dać samorządom realne narzędzia do kontrolowania tego quasihotelowego rynku, np. poprzez ograniczanie takiej działalności w niektórych szczególnie zagrożonych dzielnicach – zrodził się na koniec mocno okrojony dokument, który ma być po wakacjach poddany pod głosowanie.

Ustawie wybito zęby na tydzień przed złożeniem w Sejmie ostatecznej wersji. KO i PSL postawiły – co podkreślali w wywiadach ministrowie Raś i Rutnicki – na prawo własności i swobodnego dysponowania majątkiem osób inwestujących w podobny biznes. To wbrew tendencjom w państwach Europy (patrz: ramka), gdzie uznano, że równie ważne jest prawo do spokoju stałych mieszkańców.

Europa kontra airbnb

WŁADZE PAŃSTW UE, również miast, starają się znaleźć balans między potrzebami mieszkańców i turystów. W Paryżu nie można prowadzić krótkiego najmu przez okres dłuższy niż 120 dni w roku, w Wiedniu i Londynie jest to 90 dni, w Amsterdamie 60.

BARCELONA w ciągu dwóch najbliższych lat zlikwiduje 10 tys. licencji, a w całym kraju po wprowadzeniu surowszych przepisów, w ub. roku znikło 12 proc. ofert. Nic dziwnego, gdyż wspólnoty mieszkaniowe mogą zlikwidować airbnb większością 3/5 głosów. Podobne prawa (czasem wystarczy 2/3 głosów) mają też zagrożone wspólnoty m.in. w Belgii, Chorwacji, Danii, Francji, Grecji, Słowenii i Szwecji.

RADYKALNY RUCH podjęto w Budapeszcie, gdzie w dzielnicy Terézváros zlikwidowano najem krótkoterminowy, a całą działalność mocniej opodatkowano. W Niemczech, gdzie takie kwestie regulują poszczególne landy oraz samorządy, surowe ograniczenia wprowadzono m.in. w Hamburgu, Frankfurcie, Monachium czy Berlinie. Tam większość ofert airbnb wróciła na rynek długiego najmu. ©℗

RZĄDOWA USTAWA zawiera przepisy, które pomogą zlikwidować szarą strefę (działa w niej ok. 30 proc. rynku), bo zobowiążą ludzi prowadzących działalność w stylu airbnb do rejestrowania się w centralnej bazie i poddawania administracyjnym kontrolom i karom. Goście mają obowiązek przestrzegania ciszy nocnej (choć obowiązuje to wszystkich mieszkańców), a lokal ma mieć wewnętrzny regulamin. Nie ma natomiast obowiązku spełniania ostrzejszych przepisów przeciwpożarowych, choćby montowania czujników dymu.

Już wiadomo, że skala protestów nie pozwoli rządowi na łatwe uchwalenie ustawy. W koalicji „za" są tylko KO i PSL, Nowa Lewica zaś i Polska 2050 – są skrajnie przeciwne i opowiadają się za prawem określającym limity dni w roku na krótki wynajem, oraz przekazującym uprawnienia do podejmowania decyzji nie tylko samorządom, również spółdzielniom i wspólnotom. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz uważa wręcz, że dokument resortu sportu to „najgorsza ustawa, jaka wyszła z rządu", napisana pod wpływem lobbystów, i że jej partia zgłosi poprawki „dające ludziom prawo do decydowania, czy mają hotel/burdel za ścianą".

To skrajnie radykalna wypowiedź. Uderza w godność osób, które z dużym trudem nabyły mieszkanie, by sobie dorobić. Zdecydowana większość z nich wynajmuje mieszkania na długie okresy (rodzinom czy też studentom), część z nich jednak zdecydowała się na bardziej opłacalną, ale też trudniejszą, bo wymagającą stałej aktywności, działalność w obszarze airbnb.

ISTNIEJE ZARAZEM duża grupa prywatnych inwestorów, w tym również posłów (z wszystkich stron sceny), firm, funduszy czy też deweloperów, którzy lokują pieniądze w liczne mieszkania, szczególnie w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Trójmieście i w nadmorskich kurortach. To się przekłada na dziesiątki tysięcy codziennych ofert, które co prawda obniżają koszty pobytu turysty w porównaniu z hotelami, ale też wpływają na komfort życia stałych lokatorów i mocno podnoszą ceny za metr oraz czynsze za wynajem w atrakcyjnych dzielnicach. Wywołują też powolny proces opuszczania niektórych dzielnic przez autochtonów.

W samym Krakowie takich ofert jest codziennie ponad 10 tys. W całym kraju, według danych Eurostatu za rok 2024, zarejestrowano ponad 39 mln krótkoterminowych pobytów – to więcej niż mieszkańców Polski. Większość z kilkunastu tysięcy polskich inwestorów w rynek airbnb ma cztery i więcej mieszkań.

RYNEK USŁUG oferowanych poprzez pośrednictwo platform internetowych (firma Airbnb oficjalnie lobbowała za złagodzeniem pierwotnego projektu rządu) rośnie dziś w Polsce niemal najszybciej w Europie. Nie dobiliśmy co prawda do średniej unijnej (to 163 pobyty w roku na 1000 mieszkańców, przy unijnej średniej 190), ale punktowo, zwłaszcza w dużych miastach i kurortach, rynek wymyka się spod kontroli.

Rząd musi wiedzieć, że w takich ośrodkach jak Warszawa, Gdańsk czy Kraków (gdzie jesienią odbędą się wybory na prezydenta), ustawa rządu to gol samobójczy. Uderza w wielkomiejski elektorat, daje broń do ręki opozycji, i sprawia wrażenie, że władzom nie zależy na zatrzymaniu wzrostu cen mieszkań i na komforcie życia wyborców, ale na prawach inwestorów. Tymczasem w wielu innych krajach ludzie posiadający mieszkania muszą po prostu zamienić wynajem hotelowy na długoterminowy. Mają więc prawo nadal osiągać zyski, a jeśli chcą prowadzić hotel, muszą go zbudować i zatrudnić ludzi do obsługi. Politycy także. ©℗

eprasa.pl 2ed1dec601



Kręgi na wodzie

ANNA GOC

Sejm wybrał Sylwię Gregorczyk-Abram na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich.

„Przez ostatnie tygodnie spotykałam się z obywatelkami, obywatelami i organizacjami pozarządowymi. Mały efekt tych spotkań możecie państwo zobaczyć w segregatorze, który przyniosłam dziś ze sobą. Odpowiadałam na ich pytania, słuchałam. Łącznie to było ponad trzydzieści godzin rozmów i jestem za nie ogromnie wdzięczna" – zaczęła Sylwia Gregorczyk-Abram publiczne przesłuchanie kandydatów na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich.

Dzięki spotkaniom, a przede wszystkim dzięki ponad dwudziestoletniej pracy jako adwokatka zaangażowana społecznie, mogła mówić o konkretach. Ludziach, którzy na rozstrzygnięcia sądowe czekają nawet kilkanaście lat. Matkach, które wychowują dzieci bez alimentów, i ojcach, których relacje z dziećmi rozpadają się, bo terminy kolejnych rozpraw są odraczane. O spotkaniu ze starszymi mieszkańcami w Zambrowie, którzy są wykluczeni komunikacyjnie, i o tym, że „o skutecznej realizacji praw człowieka nie może decydować kod pocztowy". Uczennicy, którą koledzy z klasy rozebrali za pomocą sztucznej inteligencji, a jej nagie zdjęcia rozsyłali innym. Rozmowach z młodymi ludźmi, którzy dobrze wiedzą, jak cyfrowy świat wpływa na ich zdrowie psychiczne i jak bardzo chcą być włączani w dyskusje, które ich dotyczą. Dodała też, że „rzecznik powinien być szczególnie wrażliwy na sprawy grup i osób, które z różnych przyczyn są przedstawiane w narracjach polityków w kontekście figury wroga".

„Pierwsza rzecznik praw obywatelskich, prof. Ewa Łętowska, nawiązywała do działania metody prowokowania kręgów na wodzie. Tak też rozumiem skuteczność tego urzędu. Jedna dobrze poprowadzona sprawa, jedna dobrze poprowadzona interwencja powinna służyć nie tylko tej osobie, ale też zmieniać praktykę i działanie państwa, wzmacniać ochronę praw innych obywateli" – mówiła Gregorczyk-Abram.

Sejm przyjął jej kandydaturę 233 głosami (kandydat PiS Adam Borowski, szef warszawskiego klubu „Gazety Polskiej", otrzymał 177 głosów); oprócz KO, Nowej Lewicy i Polski 2050 poparło ją PSL, które w tym samym bloku głosowań zdecydowało też o wyborze Mateusza Szpytmy na prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Senatorowie mają 30 dni na zatwierdzenie lub odrzucenie decyzji posłów. ©℗



DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Sylwia Gregorczyk-Abram, nowa Rzeczniczka Praw Obywatelskich. Warszawa, 17 lipca 2026 r.



Ludzie z kartonami

PIOTR POGORZELSKI

Na ulicach ukraińskich miast znów, jak przed rokiem, pojawili się protestujący z hasłami wypisanymi na kawałkach kartonów, sprzeciwiający się decyzji prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Tym razem sprzeciw aktywnej części społeczeństwa wywołała próba odwołania ministra obrony Mychajła Fedorowa.

Napięcia między Fedorowem a dowodzącym armią generałem Ołeksandrem Syrskim dla nikogo nie były tajemnicą. Chodziło o spór dwóch wizji: zmodernizowanego wojska, gdzie główną rolę odgrywają drony i nowe technologie, a lekko unowocześnioną armią starego, sowieckiego jeszcze wzorca. Zełenski ogłosił, że musiał ukrócić te spory i zdecydował się na odwołanie Fedorowa. Czyli opowiedział się za wizją Syrskiego. Ta stara armia to także stare schematy korupcyjne, gdzie w przetargach wygrywa nie ten, kto ma lepszy sprzęt, a ten, kto ma lepsze układy.

Fedorow, kierujący ministerstwem od stycznia 2026 r., wprowadził wiele innowacji, w tym nowe procedury zamówień faworyzujące tych, których sprzęt odnosi sukcesy na polu bitwy, a nie tych, których wskazywali wojskowi. To oczywiście nie podobało się starej gwardii, przyzwyczajonej do załatwiania spraw pod stołem.

Tymczasem aktywna część społeczeństwa, głównie młodzi ludzie, nie chce żyć w skorumpowanym państwie. Mamy do czynienia niemal z powtórką sytuacji sprzed roku, gdy Ukraińcy wychodzili na ulice, aby przed zakusami prezydenta i jego otoczenia bronić niezależności Narodowego Biura Antykorupcyjnego i Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej. Wówczas udało się je uratować, także dzięki wsparciu Zachodu.

Teraz ten czynnik nie jest tak widoczny (Zachód nie chce ingerować w personalia rządu w Kijowie). W porównaniu z zeszłym rokiem jest za to inny czynnik: deputowani, nauczeni zeszłorocznym doświadczeniem, gdy część poczuła się marionetkami w rękach Zełenskiego, teraz nie poparli jego kroku. Dlatego w parlamencie nie odbyło się jeszcze głosowanie nad powołaniem nowego szefa resortu obrony, bo prezydent nie jest w stanie zebrać dość głosów.

Nawet jeśli Zełenski zmieni swoje decyzje, uczyni jakiś zwrot, to lipiec 2026 r. potwierdza to, co wyszło na jaw rok temu: stara korupcyjna gwardia ma się dobrze i ma duży wpływ na prezydenta. Aktywna część Ukraińców nie cieszy się z tego, bo odbiera im to nadzieję na lepsze jutro. Cieszy się za to Moskwa, bo wraz z przyjściem Fedorowa na stanowisko Rosjanie zaczęli boleśniej odczuwać skutki ukraińskich ataków. Poza tym Kreml dobrze wie, że łapownictwo niszczy ukraińskie państwo nie gorzej niż rosyjskie rakiety. ©

Autor jest wicedyrektorem Polskiego Radia dla Zagranicy; twórca podkastu „Po prostu Wschód".

O korupcji na Ukrainie piszemy też w dziale Świat.

eprasa.pl 2ed1dec601

Wiśniewski, Mandaryna i aura milenijnej Polski



MARCIN ŁOBACZEWSKI / REPORTER

Marta Wiśniewska „Mandaryna" i Michał Wiśniewski podczas finału programu „Jestem jaki jestem". Przylep pod Zieloną Górą, 12 czerwca 2004 r.

POWRÓT ▪ Od profilu miasta Konstantynów Łódzki, przez popularnego w internecie księdza Sebastiana Picura, po Mateusza Morawieckiego oraz dziesiątki profili firmowych – wszyscy poczuli się zobowiązani, by nawiązać do wiadomości o tym, że popkulturowi idole początku milenium, Marta „Mandaryna" Wiśniewska i Michał Wiśniewski, postanowili dać sobie drugą szansę.

Dla przypomnienia: ekstrawagancki lider Ich Troje oraz piosenkarka i choreografka w 2003 r. zawarli transmitowany przez telewizję ślub w lodowej kaplicy w Kirunie – było to wydarzenie niespotykane jak na nasz ówczesny showbiznes. Trzy lata później rozstali się, a ewentualny powrót nawet najczujniejsi plotkarze uważali za mniej prawdopodobny niż zamarznięcie piekła. Ale najprawdopodobniej stało się, a zatem internet reaguje. Nie chodzi tylko o to, że słynna para to ludzie ze sporym dystansem do własnej sławy – oboje zdecydowanie potrafią z siebie żartować. Takie są przede wszystkim prawa tzw. marketingu w czasie rzeczywistym. Widoczność marki zwiększa się, gdy sieć reaguje na aktualne wydarzenia.

W epoce zależności wobec algorytmicznych trendów coraz mniej zasadnie brzmi pytanie „co to zjawisko mówi o naszej rzeczywistości". Jest odwrotnie – to, o czym się dyskutuje, często zostaje wykreowane, a potem niesie się jak samospełniająca przepowiednia. Także obecna nostalgia za pierwszą dekadą bieżącego milenium wydaje się nieco pospieszana przez działy marketingu.

Choć cykl powrotów do kolejnych dekad i recyklingu mód to naturalne zjawisko w kulturze, to w tym przypadku nadal zbyt łatwo przypominają się ciemniejsze strony tamtych czasów. Wczesne lata 2000. to bowiem nie tylko epoka dzwonków na telefony komórkowe i *reality shows*, ale także dwucyfrowego bezrobocia, wymuszonej emigracji zarobkowej i dwukrotnie wyższych niż dziś statystyk przestępczości. Przeszłość często kusi wizją czasów bardziej niewinnych. Można tak pomyśleć i o latach 2000. – w końcu dopiero w 2006 r. w języku polskim pojawił się termin „celebryta", szokowało nazwanie kogoś publicznie zerem (Leszek Miller do Zbigniewa Ziobry). Równie wiele mamy przykładów, że ani rozrywka (przypomnijmy sobie jury „Idola"), ani życie codzienne (głośne sprawy nękania nauczyciela w Toruniu czy samobójstwa Ani z Gdańska) jednak takie nie były.

Ale wywołanie nostalgii nie byłoby możliwe bez autentycznych pozytywnych skojarzeń. Pamięć zbiorowa nie działa precyzyjnie: myli daty, zlewa ze sobą fragmenty dekad i skupia się na trudno mierzalnej aurze czasów. A tym, co może przyciągać do wspomnień o milenijnej Polsce, jest aura obietnicy zmiany na lepsze. Zwłaszcza z wejściem do UE i przyspieszającą cyfryzacją poziom życia zaczął się odczuwalnie poprawiać. Nadzieje pokładano także w dwóch młodych partiach na „P", które miały przynieść powiew normalności i gotowości do współpracy. Gdy rysuje się jakaś perspektywa, można wiele znieść i łatwiej się mobilizować. Obecnie mamy się zdecydowanie lepiej pod względem materialnym, żyjemy w nowocześniejszym kraju, ale dotkliwie brakuje nadziei i poczucia, że jest na co czekać. Tego można zazdrościć nam samym z przeszłości.

© OLGA DRENDA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 2ed1dec601

TEMAT TYGODNIKA

OBSESJA DŁUGOWIECZNOŚCI



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Przez stulecia uchodziło za uśmiech losu lub błogosławieństwo niebios. Dziś obietnica długiego życia w zdrowiu staje się jeszcze jedną ofertą rynkową. Za jaką cenę?

MAREK RABIJ

eprasa 2ed1dec601

Nie chodziło o zbędne kilogramy, bo od dawna ma sylwetkę wyścigowego charta. Ani o dobór składników odżywczych przed startem – bo żadnego nie planował. Była słoneczna sobota i urodzinowy grill u siostry Rafała Studzianego.

– Siedzieliśmy w ogrodzie, wszystkim dopisywał humor – wspomina. – Szwagier przyniósł masło czosnkowe do pieczonych ziemniaków i spytał, czy spróbuję. Odmówiłem, ale tak obcesowo, że wszystkich zamurowało. Włącznie ze mną.

Już w domu do sytuacji przy grillu wróciła żona Studzianego. – Strasznie się pokłóciliśmy. Ola na koniec powiedziała coś w stylu: „kalorie ci się na mózg rzuciły". Wkurzyła mnie jeszcze bardziej, ale paradoksalnie, zostało to we mnie. Zacząłem się zastanawiać, czy mój stosunek do zdrowego trybu życia rzeczywiście nie upodobnił się do ogona, który kręci psem.

Studziany pokazuje do kamery laptopa zdjęcie ze ślubu. Zrobione dwadzieścia dwa kilo temu, jak zaznacza. Tamten mężczyzna z widoczną nadwagą przebiega dziś co tydzień po 80-90 kilometrów. A do tego dwa-trzy razy w tygodniu siłownia, sauna po treningu, żelazny rygor diety i badania raz na pół roku, które niezmiennie pokazują, że Rafał jest okazem zdrowia. Fizycznego.

– Tętno spoczynkowe mam 52. Tkanki tłuszczowej w ciele 8-9 proc. Dziesięć kilometrów robię poniżej 45 minut – wylicza Studziany, ale w jego głosie słychać bardziej zmęczenie niż satysfakcję. – Biegam regularnie prawie od siedmiu lat lat. A od kilku miesięcy chodzę na terapię z podręcznikowymi objawami ortoreksji.

Na propozycję zjedzenia czegoś, co nie pasuje do jego precyzyjnego planu żywieniowego, Rafał coraz częściej reaguje nieuprzejmie, a nawet agresywnie. Znajomi coraz rzadziej dzwonią i piszą z zaproszeniem; wiadomo, że będzie się wykręcać. Planowanie i przygotowanie posiłków, które coraz częściej nie wychodzą mu „jak powinny", staje się udręką. A gdy wieczorem kalkulator kalorii pokazuje, że zjadł odrobinę za dużo, poczucie winy nie daje zasnąć. Wstaje na paluszkach z łóżka, wkłada buty i biegnie spalić nadmiar.

Setka to nowa pięćdziesiątka

Ortoreksji – czyli obsesyjnej, zakłócającej codzienne funkcjonowanie dbałości o zdrową dietę – wielu psychiatrów i dietetyków wciąż nie zalicza do spektrum zaburzeń odżywiania. Nie uwzględnia jej także Międzynarodowa Statystyczna Klasyfikacja Chorób i Problemów Zdrowotnych ICD-10 Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Za to coraz częściej mówi się o niej w kontekście ważnego globalnego zjawiska, którego ofiarą czuje się Studziany.

Fenomen nie dorobił się jeszcze trafnej polskiej nazwy, choć jego angielskie określenie *longevity* można przetłumaczyć po prostu jako długowieczność. Z jednym ważnym dopiskiem: że chodzi przede wszystkim o wydłużenie okresu życia w zdrowiu i pełnej sprawności, a nie tylko o dorzucenie cyferek do metryki.

Siedemdziesiąt trzy lata i cztery miesiące. Tyle wedle statystyk WHO wynosi obecnie średnia długość życia na świecie. Gdyby skupić się jedynie na bogatszej jego części, otrzymamy już osiemdziesiąt jeden lat i miesiąc (średnia dla państw OECD). To właśnie na niej koncentruje dziś swą uwagę międzynarodowa ententa firm medycznych, koncernów farmaceutycznych, producentów żywności, dostawców elektroniki i sprzętu sportowego, tudzież wspierających je mediów lifestylowych oraz wytwórców popkultury.

Ich wspólny cel to przekonanie jak największej liczby odbiorców, że mogą mieć realny wpływ na długość swojego życia, o ile tylko sięgną po odpowiednie produkty i usługi. Na razie w granicach zapisanych w ludzkim genomie przez Stwórcę lub ewolucję, ale i tu nauka nie powiedziała przecież ostatniego słowa.

Wartość tego globalnego zakładu z Parkami autorzy raportu Bank of Singapore szacowali w ubiegłym roku na co najmniej 3 biliony dolarów: tyle zamożniejsza połowa ludzkości co roku wydaje na produkty, usługi i procedury mające zagwarantować długowieczność połączoną z dobrą kondycją fizyczną i psychiczną. Gdyby światowy sektor *longevity* potraktować jako osobne państwo, na liście największych gospodarek globu rywalizowałby obecnie o siódme miejsce z Francją. A do końca 2034 r. jego obroty mają wzrosnąć do 5,4 biliona dolarów, czyli równowartości aktualnego PKB Niemiec.

Naturalne pragnienie nieśmiertelności, a przynajmniej długiego życia, staje się więc jeszcze jednym przedmiotem wolnorynkowej gry podaży i popytu. Zyski zgarniają firmy. Koszty, jak zwykle, są uspołeczniane. Pół biedy, gdy chodzi tylko o koszty finansowe. Psychiatrzy, socjologowie i antropolodzy kultury wracają dziś w swoich pracach do pojęcia „healthizmu", stworzonego w latach 80. przez socjologa Roberta Crawforda dla opisu postawy, która zdrowiu jednostki nadaje aspekt moralny.

Purytańska klasa średnia USA – jak dowodził Crawford – rozciągnęła protestancki etos pracy i samokontroli także na higienę, dietę i tryb życia. Stan zdrowia stał się w ten sposób jeszcze jedną sferą indywidualnej odpowiedzialności, podlegającą ocenie społecznej. A stąd już tylko krok do konkluzji, że jeśli jesteś chory, to widocznie sam jesteś sobie winien. Być może nie zasługujesz też na wsparcie ze strony wspólnoty, bo sam wykazałeś się wobec niej brakiem lojalności, doprowadzając się do takiego stanu.

Komercjalizacja długowieczności niesie ze sobą podobne zagrożenie. W realiach społeczeństw dobrobytu, które borykają się z ujemnym przyrostem naturalnym, długie życie w naturalny sposób staje się wartością nie tylko w wymiarze jednostkowym. W interesie wspólnoty jest to, by jej członkowie żyli jak najdłużej. Ci, którzy nie mogą sobie na to pozwolić z przyczyn finansowych albo po prostu źle wylosowali na loterii genowej, mogą łatwo zostać uznani za obywateli drugiego sortu.

Ekosystem obsesji

Pierwsze buty do biegania Rafał kupił po lekturze artykułu, z którego wynikało, że jeśli przed czterdziestką nie zmieni trybu życia na aktywny, zawał serca ma niemal jak w banku.

– Mój ojciec zmarł przedwcześnie na serce, więc przemówiło mi to do wyobraźni. Potem doszła jeszcze presja związana z wynikami – mówi. – Chciałem biegać coraz szybciej, coraz więcej. Zegarki sportowe to straszne draństwo, na każdym kroku przypominają, że nie dowiozłeś własnych założeń. Jeszcze gorsze są aplikacje do kontrolowania diety, sto kilokalorii ponad cel i cały ekran świeci się na czerwono. Przegapiłem moment, kiedy zdrowe hobby zaczęło ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

skręcać w stronę obsesji. Gdybym miał prawdziwego trenera, z którym widywałbym się regularnie, może on w porę dałby znać, żeby przystopować. Ale w ramach mojego abonamentu treningowego mogłem tylko raz na dwa tygodnie przegadać dietę i plan ćwiczeń z facetem z okienka wideoczata. Wydawało mi się, że to wystarczy.

„Producent nie odpowiada za szkody powstałe w wyniku niewłaściwego użytkowania produktu" – ta słynna klauzula z kart gwarancyjnych znalazłaby zastosowanie także w relacjach sektora długowiecznościowego z klientami. Problem w tym, że konstruując ofertę, wiele firm tworzy dziś prawdziwe ekosystemy obsesji, licząc na to, że konsumenci całkowicie się w nich zatracą.

Jednym z nich jest strategia „od kołyski, aż po grób", czyli wykształcanie w młodym odbiorcy nawyków, które mają mu towarzyszyć całe życie. Jeśli dwudziestolatka tuż po maturze uwierzy, że budowę „kapitału lipidowego" na stare lata musi rozpocząć już teraz, stosując w tym celu wyrafinowaną kurację kosmetyczną, to doprawdy jej wybór. Chcącemu nie dzieje się krzywda, zwłaszcza gdy stosuje produkty, które faktycznie nie szkodzą. A że np. kuracja retinolem bardzo rzadko daje korzyści młodej cerze – to już można taktownie pominąć w komunikatach marketingowych.

Jak piszą w najnowszym raporcie „State of Beauty 2025" analitycy firmy doradczej McKinsey, rynek kosmetyków dla dwudziestolatek jest dziś nie tylko jednym z najdynamiczniej rosnących segmentów tej branży, ale też obszarem najszybciej zachodzącej zmiany struktury ofertowej. Dekadę temu lwią część produktów stanowiły tu produkty do makijażu i kremy z filtrami UV. Mniej więcej od pandemii w gigantycznym tempie wśród konsumentek przed trzydziestką rośnie zapotrzebowanie na kosmetyki pielęgnacyjne, zwłaszcza na wyroby z segmentu „anti-aging", które mają opóźnić starzenie cery.

> Z chwilą, gdy zamożny świat zamknął się w domach w obawie przed covid-19, stało się jasne, że wiele produktów i usług ze sfery *silver economy* można zaoferować nawet dwudziestolatkom.

To nieprzypadkowa cezura. Koronawirus ukształtował światowy przemysł długowiecznościowy w obecnym kształcie. Przed lockdownami w jego zasięgu byli głównie seniorzy. Z chwilą, gdy zamożny świat zamknął się w domach w obawie przed covid-19 i skupił się na swym psychicznym, tudzież fizycznym dobrostanie, stało się jasne, że wiele produktów i usług ze sfery *silver economy* można bez większych zmian oferować nawet dwudziestolatkom.

Funkcje zdalnego monitorowania podstawowych parametrów aktywności fizycznej, wymyślone jako rodzaj cyfrowego asystenta osób starszych mieszkających samotnie, nagle stały się pożądanym wyposażeniem modnych smartwatchy. Trzydziesto- i czterdziestolatkowie, których dotąd wołami nie można było zaciągnąć na badania profilaktyczne, sami ustawili się do nich w długich kolejkach. Konsumpcja suplementów diety, głównie witamin i minerałów, poszybowała w Europie o 37,9 proc. W USA o 35,1 proc., w Azji – aż 42,4 proc

Wzrosło też zainteresowanie przesiewowymi testami genetycznymi, które pozwalają oszacować ryzyko wystąpienia groźnych schorzeń w przyszłości. Przed pandemią zainteresowanie nimi deklarowało 39,2 proc. dorosłej amerykańskiej populacji. Po lockdownie – 59,4 proc.

Ruch wzmógł się jednak nie tylko po stronie popytowej. Miliardy dolarów, które na całym świecie popłynęły do sektora biotechnologicznego, po opanowaniu pandemii przekierowano w obiecujące biznesowo obszary, w tym także na badania nad długowiecznością [patrz też s. 13]. Wszystko to nie byłoby jednak możliwe, gdyby pandemia nie odarła brutalnie z ułudy nieśmiertelności setek milionów konsumentów w kwiecie wieku, przyzwyczajonych do świata, który cierpienie, choroby i śmierć uznał za wyłączny atrybut schyłku życia. Lekarski szlagwort „zdrowa starość zaczyna się już dziś" nagle stał się sensowną zachętą.

REKLAMA



eprasa.pl 2ed1dec601

Apetyt na młodość

Tylko co naprawdę oferuje sektor *longevity?* Dopóki chodzi tylko o zdrową dietę i tryb życia czy utrzymanie sprawności fizycznej, jego propozycje wydają się nieprzeszacowane i warte uwagi. Wątpliwości pojawiają się z chwilą, gdy w grę wchodzą obietnice znacznego wydłużenia życia.

W artykule opublikowanym jesienią ub. roku w „npj Aging" (czasopiśmie z grupy „Nature") Austin Parish i współpracownicy przeanalizowali ponad 600 badań związanych z „interwencjami przeciwstarzeniowymi", na podstawie których producenci rozwijają swoje przeciwstarzeniowe terapie. I doszli do druzgocącej konkluzji, że ogromna część tych badań nie spełnia podstawowych standardów metodologicznych (badania tylko na jednym gatunku zwierząt, często nie ssakach, podawanie substancji młodym osobnikom, a nie dorosłym, na które może działać inaczej, brak randomizacji itd.), a więc wnioski z nich płynące nie są wiarygodne.

Interesujące w tym kontekście jest także to, że w 2024 r. S. Jay Olshansky i współpracownicy przeanalizowali w „Nature Aging" dane demograficzne z krajów, w których obywatele żyją najdłużej. Wynika z nich, że wzrost oczekiwanej długości życia, który obserwowaliśmy od dekad, wyraźnie przyhamował. Zdaniem autorów bez przełomów medycznych szansę na dożycie stu lat będzie mieć ok. 15 proc. dziewczynek i 5 proc. chłopców wśród dzisiejszych noworodków.

Jak wyglądają obietnice długowieczności składane na krajowym podwórku? Serwis Puls Medycyny wiosną sprawdził, na co może liczyć klient, który chciałby prewencyjnie zadbać o swoją metrykę, korzystając z któregoś z pakietów długowiecznościowych oferowanych przez prywatne sieci opieki zdrowotnej.

Wnioski? Pod hasłem „longevity" sprzedaje się w Polsce badania i zabiegi o bardzo zróżnicowanej wartości klinicznej. Obok spirometrii, pomiaru sztywności tętnic, który pozwala oszacować ryzyko udaru, czy badania densytometrycznego, wykrywającego wczesne objawy osteoporozy, klientom oferuje się np. epigenetyczne testy „wieku krwi" albo badanie mikrobiomu jelitowego. Żadna z tych dwóch ostatnich procedur, choć metodologicznie poprawna, nie ma na razie zastosowania w praktyce klinicznej, pacjent płaci więc za coś, co w najlepszym razie poprawi mu samopoczucie.

W przypadku testów „energii komórkowej" czy badań „toksycznych produktów glikacji", zdaniem autorów zestawienia można mówić wręcz o marketingowym kuglarstwie, bo jako pełnowartościowe procedury klientom oferuje się *de facto* metody znajdujące się na etapie badań i walidacji. W pakietach długowiecznościowych od czasu do czasu trafiają się wręcz elementy potencjalnie niebezpieczne, jak testy IgG na nietolerancje pokarmowe, które mogą nakłaniać pacjentów do szkodliwych dla zdrowia diet eliminacyjnych.

Branża wciąż porusza się na styku medycyny, kosmetologii, dietetyki i wellbeingu. Nie wykształciła jeszcze własnych standardów – ani naukowych, ani tym bardziej etycznych. Nic więc nie stoi jej na przeszkodzie, aby obsesyjnie marzących o długowieczności klientów mamić wizją kontroli nad starzeniem, nie ostrzegając przy tym przed możliwymi konsekwencjami.

Tym bardziej nie zrobi tego zauroczona młodością popkultura. W jej mainstreamie prędzej znajdzie się opowieść o Narcyzie, który zakochał się w odbiciu własnej twarzy w lustrze wody, niż mit o Titonosie, który na prośbę zakochanej ↦

Dlaczego się starzejemy

OD LAT 90. w prasie pojawiają się doniesienia o odkryciu tego jedynego genu długowieczności albo genu starzenia, który – odpowiednio zmodyfikowany – zapewni życie wieczne. Wśród nich wymienić warto gen i białko Klotho, nazwane na cześć jednej z Mojr, która przędła nić życia. Jego uszkodzenie u myszy i ludzi powoduje przedwczesne starzenie, choroby nerek i kości. Innym odkryciem były sirtuiny, czyli białka produkowane przez wiele organizmów, w tym ludzki, które hamują niektóre geny biorące udział w procesie starzenia. Zwiększenie ich aktywności przy pomocy diety miało przedłużyć życie.

W 2013 r. w czasopiśmie „Cell" opublikowano listę dziewięciu molekularnych filarów starzenia, która stanowiła podsumowanie dotychczasowych badań nad przyczynami tego procesu na poziomie genów, białek i komórek. Wśród nich wymieniono m.in. niestabilność genomu (co sprzyja występowaniu i gromadzeniu się mutacji w naszym DNA), skracanie telomerów (zakończeń nici DNA, które wraz z podziałami komórek skracają się, a kiedy są zbyt krótkie, komórka przestaje się dzielić) czy wyczerpanie komórek macierzystych, z których odtwarzają się poszczególne narządy. Wiele z tych mechanizmów nasila się pod wpływem czynników zewnętrznych, takich jak promieniowanie UV, toksyny (np. alkohol), wolne rodniki tlenowe czy zaburzenia metaboliczne (np. w cukrzycy). Sama obecność starych, zużytych komórek w organizmie napędza starzenie innych, bowiem wydzielają one substancje powodujące przewlekły stan zapalny.

Dekadę później ci sami autorzy pod kierunkiem profesora Carlosa López-Otína dodali do swojej listy trzy kolejne mechanizmy, w tym upośledzoną makroautofagię, czyli zdolności organizmu do oczyszczania się ze zużytych białek i fragmentów komórek, oraz dysbiozę, czyli zaburzenia w zakresie składu prozdrowotnych bakterii żyjących w naszym organizmie. Wspólny jest wniosek obu tych artykułów – wszystkie mechanizmy współdziałają w procesie starzenia.

Poznanie tych mechanizmów nie służy wyłącznie poszerzeniu naszej wiedzy. Znając je, możemy spróbować zatrzymać lub odwrócić ich efekty. Trwają prace nad terapiami genowymi, które mają naprawiać uszkodzenia DNA lub wydłużać telomery, choć jesteśmy bardzo daleko od wprowadzenia ich do praktyki. W badaniach klinicznych są też niektóre senolityki, czyli leki usuwające starcze komórki. Przykładowo, dasatynib z kwercetyną w badaniach przedklinicznych poprawia funkcje nerek i chroni przed utratą tkanki kostnej, ale pojawiają się doniesienia o niekorzystnym efekcie na neurony. Wciąż jednak poza unikaniem czynników ryzyka, ruchem, adekwatną kontrolą chorób przewlekłych i zdrową dietą (bogatą np. we flawonoidy, które redukują wolne rodniki), współczesna medycyna nie posiada tabletki na starość.

© BARTOSZ KABAŁA

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ w nim Eos otrzymał od Zeusa nieśmiertelność. Bogini zapomniała jednak poprosić także o dar wiecznej młodości dla ukochanego. W rezultacie Titonos zmienił się w bezsilną zasuszoną istotę, którą Eos musiała nosić w wiklinowym koszyku.

Bohaterowie są zmęczeni

Polacy – jak pokazało niedawne badanie na zlecenie firmy farmaceutycznej Gideon Richter – mają na szczęście racjonalny stosunek do składanych im obietnic długowieczności. Aż 56 proc. z nas uważa, że długie życie nie może być celem samym w sobie. Tyle samo nie akceptuje samotności jako ceny za dożycie sędziwego wieku. Dla ponad 62 proc. nie jest nią także zły stan zdrowia.

W gruncie rzeczy jest to jednak dyskusja teoretyczna. Przeciętna długość życia w Polsce jest o 3,1 roku krótsza od średniej unijnej. Jeszcze gorzej wypadamy pod względem długości życia w zdrowiu. Pokolenie ludzi, które wprowadziło Polskę do grona krajów wysoko rozwiniętych, ten udany pościg opłaciło wypaleniem i fizycznym wyniszczeniem.

W drugiej edycji ogólnopolskiego badania PolSenior, przeprowadzonego wśród osób w wieku od 55 do 64 lat, 18 proc. Polaków oceniło swój stan zdrowia jako zły lub bardzo zły. W całej Unii takiej samej odpowiedzi udzielało tylko 11 proc. ich rówieśników. W grupie wiekowej 65-74 za poważnie chorego uważał się już przeszło co czwarty Polak (26 proc.), choć w całej UE odsetek takich samych odpowiedzi sięgnął zaledwie 14 proc. Statystyczny polski mężczyzna w wieku 65 lat ma przed sobą – jak wynika z tych samych badań – niespełna 8 lat i dwa miesiące życia bez ograniczonej sprawności, o rok i siedem miesięcy mniej od przeciętnego obywatela Unii.

Czy to znaczy, że obietnica długowieczności w krajowych realiach jest obietnicą bez pokrycia?



Branża *longevity* nie wykształciła jeszcze własnych standardów medycznych i etycznych. Nic więc nie stoi jej na przeszkodzie, aby mamić wizją kontroli nad starzeniem.

Nie. Wyobraźmy sobie polskiego mężczyznę, który w tym roku obchodzi 50. urodziny. Statystyczny Krzysztof – bo to najpopularniejsze męskie imię roku 1976 – według aktualnych szacunków GUS ma przed sobą jeszcze 24 lata i dziewięć miesięcy życia. W przypadku urodzonej w tym samym roku Agnieszki będą to już 32 lata i trzy miesiące. W roku ich narodzin GUS szacował średnią oczekiwaną długość życia odpowiednio na 67 i 75 lat. Krzysztof i Agnieszka „zyskali" więc niemal osiem lat życia jedynie za sprawą poprawy polskich standardów socjalnych, rozwoju medycyny i zapewne także zmiany polskich nawyków żywieniowych w stronę poświęcającą więcej uwagi zdrowiu.

Nie ulega wątpliwości, że w społeczeństwach krajów wysoko rozwiniętych długość życia w coraz większym stopniu staje się pochodną nie tylko indywidualnych wyborów, ale także grubości portfela. Zdrowa dieta, szybki dostęp do nowoczesnej medycyny, zwłaszcza badań profilaktycznych, wreszcie unormowany tryb życia, umożliwiający zadbanie o siebie – to dziś wyróżniki *de facto* klasowe. Także w Polsce.

Nasz Krzysztof będzie żyć średnio pół roku dłużej, jeśli los rzuci go do dużego miasta, niż gdyby mieszkał na wsi. W ujęciu regionalnym różnice będą jeszcze większe. Najdłużej – bo aż 77,7 lat – pożyje w Warszawie. Jeśli mieszkać będzie gdzieś pod Skierniewicami, Parki przetną nić jego żywota statystycznie aż pięć lat wcześniej. U pań różnice są mniejsze, ale Agnieszka mieszkająca w Rzeszowie ma przed sobą średnio dwa lata więcej niż gdzieś w aglomeracji katowickiej, gdzie nienajlepiej posłużyłoby jej powietrze.

Jeszcze większe – by nie powiedzieć, że dramatyczne – różnice rysuje podział na wykształcenie. Wedle najnowszych szacunków OECD przeciętny polski mężczyzna z edukacją zakończoną na etapie szkoły podstawowej żyje osiem lat krócej od średniej dla całej męskiej populacji, a więc ok. 66 lat. Wśród pań ta sama różnica wynosi ok. trzech lat.

Pomimo wszystkich tych różnic długość polskiego życia rośnie jednak, i to zauważalnie. Dla przykładu posłużmy się raz jeszcze cezurą roku 1976. W Polsce żyło wówczas niespełna 700 stulatek i stulatków. Obecnie (dane na koniec 2025 r.) – mamy ich aż 10 403.

– Mnie do setki brakuje 57 lat – wylicza Rafał Studziany. – Pytasz, jak chciałbym się czuć w tym wieku? Oby nie tak jak teraz. ©℗ MAREK RABIJ

POSŁUCHAJ W WERSJI AUDIO

tyg-pow.pl/AudioDlugowiecznosc

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

eprasa.pl 2ed1dec601

REKLAMA



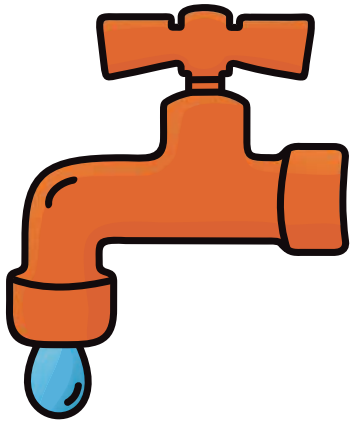



Twój wybór ma znaczenie. Kranowianka pełna minerałów!





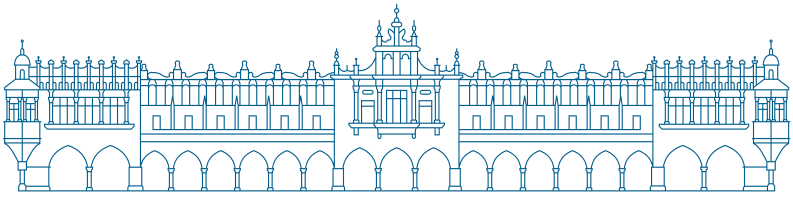

Zeskanuj kod QR
i dowiedz się, jaki SKARB
płynie z naszych kranów!

WODOCIĄGI
Miasta Krakowa

125 lat! Jesteśmy z Wami. Każdego dnia.

eprasa.pl 2ed1dec601

KRAJ

WIATR W OCZY

Awantura o zarobki lekarzy doskonale pokazuje, że wydarzenia, które jawią nam się jako przełomowe, po czasie często okazują się nieistotne. I że zarazem przegapiamy fakty, które mogą przynieść realne, wręcz rewolucyjne zmiany.

MARCIN KĘDZIERSKI



Zacznijmy od podstawowej tezy: rewolucja w ochronie zdrowia już się dokonała. Wystarczy spojrzeć na wysokość publicznych nakładów – w latach 2022-2024 (choćby za sprawą ustawy o minimalnych wynagrodzeniach) ich udział w PKB wzrósł z 4,8 do 6,3 proc. Nominalnie wydatki publiczne oraz prywatne wzrosły w tym okresie z 200 do prawie 300 mld zł, a w tym roku będziemy testować granicę 350 mld. To zasługa publicznych pieniędzy, bo udział kosztów prywatnych na przestrzeni ostatniej dekady spadł z 30 do 22 proc.

Rewolucję widać np. w ambulatoryjnej opiece specjalistycznej (AOS), czyli w poradniach. Po uwzględnieniu inflacji nakłady w trakcie ostatniej dekady podniosły się tu niemal trzykrotnie (181,1 proc.). Spektakularny wzrost nakładów (ponad 80 proc.) objął też podstawową opiekę zdrowotną (POZ). Stało się tak, gdyż wreszcie zaczęliśmy odwracać piramidę finansową systemu, kładąc nacisk na POZ i AOS – zamiast na szpitale.

Jeszcze w 2015 r. udział kosztów leczenia szpitalnego w budżecie NFZ wynosił 50 proc. – w 2025 r. już tylko 37 proc. Równolegle udział AOS wzrósł z 8,2 do 13 proc. Wszystko to zdarzyło się na przestrzeni trzech lat (2021-2023). Jeśli to nie jest rewolucja, to nie wiem, co miałoby nią być.

Trudno w to uwierzyć w obliczu kolejnych afer, ale w Polsce doszło do skrócenia kolejek oraz poprawy dostępności sporej części badań diagnostycznych. Nie ma w tym wielkiej filozofii – w większych placówkach realizujących świadczenia ze środków NFZ nagle pojawiło się wielu specjalistów. Część lekarzy, którzy do tej pory dorabiali w prywatnych gabinetach, otrzymała tak fantastyczne warunki zatrudnienia w poradniach, że głupotą było z nich nie skorzystać. Do poradni zaczęli też przechodzić specjaliści ze szpitali.

Ucieczka do miast

Czyli co? Jest lepiej? Nie bardzo. Po pierwsze, prawdopodobnie jesteśmy świadkami procesu ograniczania dostępności usług zdrowotnych w Polsce lokalnej, choć nie mamy na to jeszcze twardych danych. Pozostają dowody anegdotyczne, ale te zdają się potwierdzać trend „ucieczki" lekarzy z małych ośrodków.

„Mam teściów pod Kaliszem, miejscowość ok. 3 tys. mieszkańców. Do przychodni 1-2 razy w tygodniu dojeżdżał lekarz z Łodzi (dobre dwie godziny w aucie). Od jakiegoś czasu nie dojeżdża. Liczba lekarzy przyjmujących w tej mikroprzychodni skurczyła się do tego stopnia, że zamknęła się doklejona do niej apteka" – napisał mi jeden z użyt-

eprasa.pl 2ed1dec601



ILUSTRACJA PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

kowników Facebooka, gdy poruszyłem ten temat. Podobne historie słychać z Podlasia, Dolnego Śląska, Pomorza Zachodniego i innych miejsc, w których jesteśmy świadkami depopulacji.

Problem nie dotyczy wyłącznie prywatnych praktyk lekarskich, ale też szpitali: podczas ostatniej dekady zniknęło aż 5476 oddziałów. Co prawda tempo „wygaszania" opieki szpitalnej delikatnie wyhamowuje, równolegle jesteśmy jednak świadkami konsolidacji, czyli łączenia szpitali powiatowych. Nie negując potencjalnych korzyści związanych z tym procesem, trudno nie dostrzec ryzyka pogorszenia się dostępności usług, np. na skutek zamykania niektórych powielających się oddziałów. Z perspektywy pacjenta liczy się odległość od szpitala, zwłaszcza z uwagi na wykluczenie komunikacyjne, które najczęściej dotyka seniorów (częściej potrzebujących opieki medycznej). Dodatkowo, jeśli placówka w małym mieście chce zatrzymać lekarza, musi go „przepłacić", co dodatkowo obciąża jej budżet. Biednemu wiatr zawsze wieje w oczy.

Po drugie, mamy do czynienia wyłącznie z pozorną de-prywatyzacją ochrony zdrowia. Cóż bowiem z tego, że udział wydatków prywatnych spada, a lekarze świadczą więcej usług w placówkach finansowanych z państwowej kasy, skoro dzieje się to na podstawie prywatnych kontraktów (nisko opodatkowanych). Powstają już nawet spółki, które niczym agencje pracy tymczasowej „podnajmują" lekarzy i ostro negocjują ich kontrakty.

W efekcie jesteśmy świadkami rozpędzającej się „systemowej" prywatyzacji. Kiedy lekarze zgarniali kilkaset złotych od pacjenta w prywatnym gabinecie, mimo wszystko musieli się liczyć z jego reakcją. Dziś, kiedy negocjują stawki z placówkami, i to wiedząc, że pieniędzy w systemie zrobiło się dużo, mogą przyjąć strategię *sky is the limit*.

W niepublicznym szpitalu wystarczy wybrać te procedury, których wycena jest odpowiednio wysoka. Pacjentów oczywiście taka mentalność oburza (jak i eksplodujące zarobki części medyków), ale przecież „tacie zrobili kolonoskopię, mamie endoprotezę, a placówki wyglądają jak na amerykańskich serialach". Nie ma co narzekać. Chyba że masz pecha i potrzebujesz specjalisty, którego nie opłaca się zatrudnić.

Skok na publiczną kasę

Nasz system ochrony zdrowia w modelowy sposób wpisuje się w filozofię tzw. nowego zarządzania publicznego (*new public management*, NPM) – idei, która święciła tryumfy w latach 80. i 90. XX wieku. W Polsce NPM weszło z futryną wraz z reformą z czasów premiera Jerzego Buzka. Dziś wiemy, że takie podejście co prawda skutkuje poprawieniem jakości usług i wyglądu placówek, ale w dłuższym okresie prowadzi zarówno do wzrostu nierówności, jak i do prywatyzacji zysków przy jednoczesnym upublicznieniu kosztów.

Wystarczy wspomnieć, że spośród funkcjonujących w 2025 r. 5237 placówek AOS, ponad 80 proc. jest podmiotami niepublicznymi, które z zasady działają dla zysku. Wisienką na torcie jest PZU Zdrowie, spółka Skarbu Państwa, która w skali kraju prowadzi 130... niepublicznych placówek. Można odnieść wrażenie, że nikt nawet nie próbuje udawać – publiczny system stworzony do leczenia ludzi ma dziś służyć głównie zarabianiu pieniędzy.

Liczni beneficjenci tego systemu nie są zainteresowani, by publicznie mówić o jego słabościach, jednak za sprawą ujawnienia afery w Warszawskim Szpitalu Południowym ta misterna konstrukcja po raz pierwszy mocno się zachwiała. Przez dłuższy czas byłem przekonany, że na pożarcie opinii publicznej zostanie rzuconych kilka czarnych owiec, a potem wrócimy do *business as usual*. Nie spodziewałem się jednak aż takiej skali nieprawidłowości – niektóre historie mogłyby zawstydzić najbardziej kreatywnych scenarzystów seriali.

Gdyby podobna sytuacja miała miejsce 20 lat temu (wtedy również mierzyliśmy ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ się z aferami w ochronie zdrowia), temat umarłby po kilku dniach. Ale dziś żyjemy w dobie mediów społecznościowych i kultury oburzenia. Skoro można było sprawdzić oświadczenie majątkowe Dawida Kacprzyka, dlaczego nie sprawdzić wynagrodzeń innych lekarzy? Można w zasadzie w ciemno obstawić, że w każdym powiecie w kraju znajdzie się przypadek co najmniej jednego lekarza-milionera. W niektórych z nich ujawniono już wręcz po kilkanaście takich osób.

A niech sobie jadą

To jednak dopiero początek. Skoro w Warszawie mieliśmy układ lekarzy, polityków i biznesu, to taka sama sytuacja dotyczy innych miejsc. Także tam pojawiać się będą sygnaliści, którzy zerwą kotarę zasłaniającą lokalne układy. Nagle okazało się przecież, że Polacy, którzy w badaniach CBOS wskazują lekarzy jako grupę zawodową cieszącą się wysokim zaufaniem, tak naprawdę szczerze ich (lub ich zarobków) nienawidzą. Każdy kolejny materiał o absurdalnych kontraktach lekarzy z Braniewa, Bartoszyc, Wołomina czy Włocławka (to przykłady z ostatnich dni) będzie trafiać na czołówki mediów, zagęszczając atmosferę.

Donald Tusk, podobnie jak cała klasa polityczna, szybko uchwycili społeczne emocje i wrzucili lekarzy pod (medialny) pociąg. Nikt nie będzie umierać za Kacprzyka i jemu podobnych. Tym bardziej że groźby emigracji ze strony lekarzy wydają się groteskowe; poza Polską nie będą mogli liczyć na lepsze pieniądze. Świetnie widać to w mediach społecznościowych, gdzie dominującą reakcją na tego typu komunikaty jest dosadne: „A niech jadą!".

Świadomość tego politycznego kontekstu stała za wymuszonym pakietem zmian, w tym pomysłem wprowadzenia maksymalnej stawki godzinowej (240 zł). Żyję jednak zbyt długo, by wierzyć, że reforma przygotowana przez weekend może realnie uzdrowić sytuację. Wiem co innego. Skoro społeczne wzburzenie sięgnęło zenitu, pojawili się sygnaliści oraz śledztwa prokuratury, to prędzej czy później będziemy świadkami przełamania zmowy milczenia, a cała przypominająca mafię struktura może walić się jak domek z kart.

To zaś oznacza, że właśnie rusza prawdziwa gra. Z polityką jest bowiem jak z piłką nożną – kiedy zaczyna się mecz, nigdy do końca nie wiadomo, jak się zakończy. Faworyt zazwyczaj jest znany, ale zawsze może pojawić się słupek, poprzeczka, nieuczciwy sędzia czy inna „ręka Boga".

Część lekarzy, którzy do tej pory dorabiali w prywatnych gabinetach, otrzymała tak fantastyczne warunki zatrudnienia w poradniach, że głupotą było z nich nie skorzystać.

Wyceny z kosmosu

Jedyne, co w takiej sytuacji możemy zrobić, to „zmapować" poszczególnych graczy i ich interesy. Listę otwiera Ministerstwo Zdrowia, które udowodniło nieraz, że jest podmiotem mało sterownym, politycznie słabym i podatnym na wpływy. Jeśli resort już kopie piłkę, to albo w aut, albo podaje ją przeciwnikowi. Dalej mamy NFZ – instytucję ważną i nieźle zarządzaną, ale mającą bardzo umiarkowany wpływ na kształt systemu. Zwłaszcza od momentu, w którym odpowiedzialność za wyceny świadczeń została w znacznym stopniu przeniesiona na kolejnego gracza – Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. To ona zbiera od wybranych placówek szczegółowe informacje o realnych kosztach, by później ustalić wysokość urzędowej taryfy.

Tyle teoria. W praktyce problem z wycenami świadczeń, który jest chyba najpoważniejszą patologią systemu, nie wynika ani z błędów Agencji, ani NFZ, tylko presji polityczno-lobbingowej. Mamy takie specjalizacje i procedury, których koszty są chronicznie niedoszacowane, co w praktyce przekłada się na generowanie strat w placówkach je świadczących. Mowa tu choćby o internie, pediatrii, psychiatrii czy geriatrii, które wymagają długiej pracy z pacjentem.

Drugi biegun to choćby kardiologia i kardiochirurgia, które od wielu lat są mocno przeszacowane, co po części wynika z faktu, że kilku ważnych ministrów zdrowia (Zbigniew Religa, Marian Zembala, Łukasz Szumowski) wywodziło się z tych specjalizacji. Błędem byłoby jednak zrzucenie całej odpowiedzialności na lekarzy-polityków. W tej grze ważną rolę odgrywają również duże prywatne podmioty, jak Medicover, Lux Med, Scanmed czy American Heart of Poland. W ich przypadku mamy do czynienia ze swoistą spiralą – skoro na usługach kardiologicznych można było zarobić ogromną kasę, podmioty te inwestowały w tę dziedzinę. Skoro są już od niej uzależnione, lobbują za utrzymaniem wysokich wycen.

Pośród graczy jest też oczywiście środowisko lekarskie – mocno zróżnicowane, co widać choćby po wynagrodzeniach. Nie chcę powiedzieć, że są medycy, którzy zarabiają szczególnie słabo, ale nie jest też żadną tajemnicą, iż dysproporcje między nimi potrafią być ogromne. Specjalizacje, gdzie wyceny są szczególnie „atrakcyjne", mają zdecydowanie większą siłę przetargową. Zwłaszcza tam, gdzie zarobki są determinowane kontraktami obliczanymi jako procent od przychodu placówki z danej procedury. To w nich znajdziemy lekarzy zgarniających miliony.

Którędy do pediatry

Ludzie są racjonalni, więc młodzi lekarze wybierają częściej te specjalizacje, które są bardziej dochodowe. Ktoś powie, że wzrost podaży będzie skutkować spadkiem cen. Dzieje się jednak odwrotnie – wraz z większą liczbą lekarzy danej specjalizacji rośnie jej potencjał lobbingowy, a ponieważ „rynek" usług zdrowotnych nie jest wciąż nasycony, można zwiększać liczbę realizowanych procedur.

Dzieje się to kosztem gorzej wycenianych specjalizacji – lekarzy jest tam coraz mniej, co w długim okresie doprowadzi do głębokiego kryzysu. Jeśli zabraknie choćby pediatrów, nie będzie komu leczyć dzieci oraz patronować stażom następców; koło się zamyka. Dodatkowo, tak ustawiony system sprzyja rozwojowi placówek niepublicznych, które spijają śmietankę. Oraz finansowej zapaści podmiotów publicznych, które nie mogą sobie pozwolić na zamykanie nierentownych, ale podstawowych oddziałów, choćby interny.

W tej układance nie można zapomnieć o tzw. big pharmie, która determinuje kształt polityki w zakresie refun-

eprasa.pl 2ed1dec601

dacji leków. Mówimy tu o niemałych pieniądzach – rocznie to kwoty rzędu 15 mld zł. Nie powinno zatem dziwić, że podobnie jak w departamentach odpowiadających za zakupy uzbrojenia w MON, także w przypadku resortu zdrowia możemy mówić o zjawisku obrotowych drzwi między polityką a biznesem. To idealne warunki dla niejasnych układów.

Mamy wreszcie samorządy, które zwłaszcza w mniejszych ośrodkach będą stawały przed coraz większym wyzwaniem utrzymania u siebie placówek. Dziś powiaty nie dopłacają zbyt wiele do potężnie zadłużonych szpitali, może być jednak tak, iż lokalna społeczność zostanie zmuszona do poświęcenia innych inwestycji, byle tylko uratować szpital. Zresztą, nie sposób wykluczyć, że obecne zamieszanie wokół ochrony zdrowia zostanie wykorzystane jako argument, aby wesprzeć samorządy – nieprzypadkowo taki postulat pojawił się już ze strony wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza. Szef PSL jako lekarz rozumie nie tylko interes placówek medycznych, ale i samorządowych działaczy.

Ostatni na liście

Na końcu wyliczanki trzeba wymienić jeszcze pacjentów, choć tu chyba nikt nie ma większych wątpliwości, iż są oni jedynie widzami meczu. Tyle że kwestia: ile w ogóle pieniędzy wpłynie do systemu, zależy od ludzi – zarówno w przypadku wydatków publicznych (*via* wysokość składki), jak i prywatnych. Jeśli wyborcy, a za nimi politycy „wkurzą się" na lekarzy, może się okazać, że kurek z kasą zostanie przykręcony, np. poprzez urealnienie wycen.

Nie jestem naiwny i nie twierdzę, że awantura wokół lekarskich zarobków spowoduje zmianę systemową. Obrany ćwierć wieku temu kurs na prywatyzację będzie zapewne kontynuowany. Jestem jednak przekonany, że staniemy się świadkami istotnych przesunięć – jedni zarobią jeszcze więcej, inni stracą, a system ochrony zdrowia doświadczy w najbliższych miesiącach turbulencji, których główną ofiarą będą pacjenci. To ostatnie można przewidzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa.

© MARCIN KĘDZIERSKI

Gra w okręgi

JAROSŁAW FLIS

POLITYKA | Granice okręgów wyborczych od dawna nie odzwierciedlają zmian demograficznych i wypaczają ostateczny wynik wyborów. Ale czy warto domagać się reformy, ryzykując kolejny rozdział wojny polsko-polskiej?

Sądzi zwykle, kto przegrywa, że gra nie jest sprawiedliwa" – tę refleksję matematyka wyborczego Wojciecha Słomczyńskiego lepiej potraktować jako ostrzeżenie niż sarkazm, mając w pamięci wydarzenia sprzed ponad roku.

Tyle już minęło od czasu, gdy politycy PiS – spodziewając się porażki w wyborach prezydenckich – układali narracje o dostawianych krzyżykach i autobusach z wyborcami krążącymi od komisji do komisji. Tylko po to, by chwilę później bronić uczciwości wyborów, gdy Koalicja Obywatelska, po zaskakującej porażce Rafała Trzaskowskiego, dała się zwieść opowieściom o masowych oszustwach.

Rzecz rozeszła się po kościach, lecz doświadczenie ataku na amerykański Kapitol w styczniu 2021 r. pokazuje, w jak krótkim czasie hasło „skradzionych wyborów" może zmobilizować tłumy zawiedzione wynikiem.

Żyjemy w czasach, kiedy popyt na oburzenie – napędzany przez media społecznościowe – jest tak wielki, że każda wątpliwość w sprawie systemu wyborczego może stać się pożywką dla oskarżeń o zaplanowane fałszerstwa. Dlatego warto przyjrzeć się wszelkim skrzywieniom chłodnym okiem: ocenić ich rzeczywistą skalę, zrozumieć ich przyczyny i ostrożnie dobrać lekarstwa – nieodpowiednio podane mogą zaszkodzić bardziej niż sama choroba.

Mandaty, których nie ma

Sprawa korekty demograficznej okręgów wyborczych wraca właśnie do politycznych dyskusji, warto więc przypomnieć, w czym jest problem. Prawo nakłada na Państwową Komisję Wyborczą obowiązek wyliczenia pod koniec kadencji, ile mandatów powinno przypadać na każdy okręg, proporcjonalnie do liczby jego aktualnych mieszkańców. PKW wysyła takie analizy do Sejmu – który powinien je zatwierdzić, lecz w praktyce może je po prostu zignorować. I ignoruje: korekty granic nie było ani w 2015, ani w 2019, ani w 2023 roku.

Siły blokujące zmiany rodzi prosty mechanizm: posłowie z wyludniających się okręgów, które powinny stracić mandaty, już siedzą w ławach sejmowych i czują się zagrożeni. Nie wiadomo, dla kogo zabraknie miejsca, więc boją się wszyscy, niezależnie od barw partyjnych. Z kolei tych posłów, którzy zdobyliby dodatkowe mandaty w powiększonych okręgach, w Sejmie po prostu jeszcze nie ma – nie mogą więc lobbować za zmianą.

Jest legislacyjną niedoróbką to, że Sejm musi co prawda takie korekty parafować, ale to wszystko. W efekcie mamy przykład instytucjonalnej ułomności, w której prawo obowiązuje na papierze, ale żaden mechanizm nie wymusza jego stosowania.

Problem gryzie w oczy, lecz z międzypartyjnego punktu widzenia jego skala jest ograniczona – mamy do czynienia z przesunięciami jednego mandatu na okręg, z wyjątkiem w postaci podwarszawskiego „obwarzanka", gdzie trzeba byłoby dodać tych mandatów więcej. Co ważniejsze, polityczny efekt takich zmian jest nieprzewidywalny: przeliczenie wyników ostatnich wyborów sejmowych pokazuje, że to PiS stracił na braku korekty – zdobyłby dwa mandaty więcej, gdyby ją przeprowadził w epoce swoich rządów.

Symulacja na podstawie głosowania w wyborach europejskich z roku 2024 daje jeszcze inny obraz: traci Konfederacja, zyskują partie koalicji rządzącej, ↦

eprasa.pl 2ed1dec601



KRZYSZTOF ZATYCKI / FORUM

Liczenie głosów w wyborach samorządowych we Wrocławiu, 7 kwietnia 2024 r

↦ a dla PiS sprawa jest obojętna. Jak będzie następnym razem, nie wiadomo.

Nie ma tu więc prostego podziału na wygranych i przegranych, choć z pozoru łatwo jest tak argumentować. Okręgi zyskujące to przecież miejsca, gdzie KO jest największą partią: Warszawa z „obwarzankiem", Kraków, Wrocław, Poznań, Trójmiasto. Natomiast okręgi, które w wyniku korekty granic straciłyby mandaty, to w większości regiony z problemami demograficznymi – ściana wschodnia, ziemie zachodnie, śląskie miasta przemysłowe, Łódź.

Lud kontra elity

Tu pojawia się pułapka polityczna: domaganie się demograficznej korekty, choć słuszne z punktu widzenia równości wyborów, może być odbierane jako mechanizm przesuwający władzę ku wielkomiejskim elitom kosztem reszty. To przykuwa uwagę w warunkach narastającej polaryzacji na linii podziału: lud kontra elity. Tu również zeszłoroczne wybory prezydenckie są ostrzeżeniem – niewiele trzeba, by zrodzone na tym podłożu emocje zmieniły wynik głosowania.

Dodatkową składową problemu jest ta wynikająca ze zróżnicowanej frekwencji. W polskim systemie mandaty pomiędzy okręgi dzielone są według liczby mieszkańców, a nie faktycznie głosujących. To rodzi paradoks – im więcej osób głosuje w danym okręgu, tym mniej waży każdy z tych głosów. Liczba mandantów się przecież nie zmienia.

Frekwencja jest najwyższa w metropoliach, bo tam największa część mieszkańców ma wyższe wykształcenie, to zaś jest jedna z głównych przyczyn decyzji o udziale w wyborach parlamentarnych (choć już nie w samorządowych). Innym czynnikiem sprzyjającym frekwencji jest religijność oraz powiązana z nią siła więzi lokalnych. Związek frekwencji z sympatiami politycznymi – jeśli pominąć metropolie – nie jest znaczący.

W systemach, gdzie mandaty dzielone są między okręgi już po wyborach, na podstawie liczby oddanych głosów (tak jest w Czechach) – regiony o wyższej frekwencji automatycznie zyskują silniejszą reprezentację. W Polsce oznaczałoby to jeszcze mocniejsze przesunięcie mandatów poselskich ku metropoliom i dawałoby oponentom gotowy argument: elity wielkich miast tak skonstruowały system, by jeszcze bardziej zmarginalizować resztę kraju.

Zmiana zasad byłaby szkodliwa również dlatego, że likwidowałaby samoregulujący się mechanizm, ukryty w obecnym systemie.

Jeśli w okręgach zagrożonych marginalizacją głosy mają większą wagę, to partie mają też większą motywację, by zwracać uwagę na wyborców z takich właśnie terenów – i w efekcie zmniejszać ich marginalizację. A przecież demokracja jest właśnie po to, by docenić tych, którzy mają do władzy daleko, nie zaś tych, którzy są niej blisko.

Szczęśliwie problem ten powoli rozwiązuje się sam – choć przewaga metropolii pod względem frekwencji cały czas się utrzymuje, to jednak od 20 lat w każdych kolejnych wyborach jest ona mniejsza.

Warszawskie półgłosy

Poważniejszy, choć nieco ukryty przed opinią publiczną problem, dotyczy głosów oddawanych za granicą. W polskim prawie wyborczym takie głosy są doliczane do okręgu warszawskiego – rozwiązanie sensowne w czasach, gdy za granicą do urn szli głównie dyplomaci, ściśle powiązani ze stolicą. Dziś są to setki tysięcy Polaków: turyści, pracownicy delegowani przez firmy, wreszcie wieloletni emigranci, którzy podzielili tożsamość między Polskę a nowy kraj.

Łączna liczba głosów z zagranicy w ostatnich wyborach sejmowych odpowiadała mniej więcej ośmiu mandatom – tylu parlamentarzystów generują okręgi takie jak Wałbrzych, Elbląg czy Częstochowa. Doliczenie ich do Warszawy oznacza, że zarówno te liczne głosy,

eprasa.pl 2ed1dec601

jak i głosy samych Warszawiaków, ważą proporcjonalnie mniej (liczba mandatów w okręgu od frekwencji nie rośnie). Efekt jest wzmocniony przez fakt, że Warszawa ma najwyższą frekwencję w kraju. W połączeniu z głosami z zagranicy prowadzi to do sytuacji, w której te oddane w Warszawie mają o połowę mniejszą wagę niż średnia krajowa.

Istnieją państwa, w których osoby trwale przebywające za granicą nie mogą głosować w ogóle. Jest też przypadek Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkańcy stolicy nie wybierają swojej reprezentacji w Kongresie, bo i tak mają władzę pod nosem. Polska znajduje się, jak w wielu innych sprawach, w pół drogi: zarówno Polacy za granicą, jak i mieszkańcy Warszawy mają prawo głosować, lecz tylko „półgłosem". Choćby w każdych kolejnych wyborach pojawiało się ich coraz więcej, i tak wybiorą tę samą liczbę parlamentarzystów.

Problem ma dodatkową specyfikę w postaci preferencji politycznych osób głosujących z zagranicy. Choć istnieją enklawy, jak stara Polonia w USA czy w Kanadzie, które głosują wyraźnie bardziej prawicowo, to ogół głosów oddawanych poza Polską uderzająco przypomina wybory Warszawiaków. Nie jest to – wbrew stereotypom – najbardziej liberalny okręg w Polsce, ale z pewnością plasuje się w ścisłej czołówce. Paradoks polega na tym, że gdyby głosy z zagranicy nie zostały w ogóle policzone, podział mandatów w okręgu warszawskim nie zmieniłby się ani o jeden – właśnie z powodu podobieństwa obu elektoratów.

Osobny okręg zagraniczny – rozwiązanie stosowane we Włoszech czy Rumunii – brzmi sensownie, ale politycznie jest u nas niemal niemożliwy do przeprowadzenia: przy niezmienionej liczbie posłów oznaczałby odebranie mandatu co piątemu okręgowi w Polsce. To jeszcze trudniejsze niż korekta demograficzna i bez wątpienia wywołałoby gwałtowne protesty opozycji.

Wewnątrz jednej listy

Wszystkie te trzy problemy i pomysły rozwiązań (korekta demograficzna, frekwencyjna czy okręg zagraniczny) łączy wspólna cecha: każdy z nich, wzięty osobno, jest stosunkowo drobnym niuansem. Każdy z osobna nie wywraca wyborów. Ale każdy – opowiedziany odpowiednim językiem, w odpowiednim momencie i odpowiedniej publiczności – może stać się dowodem na „systemowe oszustwo". Nie da się też wykluczyć sytuacji, w której odchylenia powstające z każdego z tych powodów skumulują się i w połączeniu z wyrównanym wynikiem głosowania odwrócą jego efekty.

Warto przyjrzeć się skrzywieniom chłodnym okiem: ocenić ich rzeczywistą skalę i ostrożnie dobrać lekarstwa. Nieodpowiednio podane mogą zaszkodzić bardziej niż sama choroba.

Dlatego też do korekt warto podchodzić z ostrożnością. Być może miałyby one więcej sensu, gdyby wprowadzić je w pakiecie z reformami, które zmieniałyby „kierunek przechyłu". Tak naprawdę bowiem najważniejszym uprzywilejowaniem wpisanym w nasz system wyborczy jest to, które wiąże się z rywalizacją wewnątrz jednej listy. Ona zaś wyraźnie faworyzuje kandydatów zamieszkałych w największych miejscowościach okręgu – to ich umieszcza się na szczycie listy.

Obecny system stwarza również możliwość wystawiania przez partie w całym kraju tzw. spadochroniarzy, którzy w przytłaczającej większości są mieszkańcami Warszawy (ewentualnie Krakowa), i tym samym pogłębiają poczucie wykluczenia u części wyborców. Szansa, że mieszkaniec mniej zurbanizowanej połowy kraju zdobędzie mandat poselski, jest prawie trzykrotnie mniejsza niż w przypadku mieszkańca bardziej zurbanizowanej części. Zrozumiała jest obawa, że korekta demograficzna, frekwencyjna czy okręg zagraniczny tylko pogłębią problemy.

Gdyby zmiany w systemie wyborczym zmierzały w przeciwnym kierunku – zwiększając szanse na zdobycie własnych reprezentantów przez wszystkie odpowiednio duże społeczności lokalne, a nie tylko partie – wtedy być może kwestia korekty demograficznej czy uwzględnienia głosów oddanych za granicą mogłaby zostać rozwiązana bez podejrzeń, że to kolejny przykład marginalizacji reszty kraju przez główne ośrodki miejskie. Taki efekt mogłoby mieć, przy odpowiednim skonfigurowaniu, wprowadzenie mieszanego systemu wyborczego, który pojawiał się w minionym ćwierćwieczu jako postulat w deklaracjach prawie wszystkich naszych ugrupowań.

Pakiet zamiast korekt

Jako zachętę do ostrożnych zmian można potraktować jeszcze jedną kwestię. Widzieliśmy w roku 2023, jak nachalne majstrowanie przez PiS przy wyborach rozjusza elektorat oponentów – czy to poprzez namolne referendum (w sprawie „wyprzedaży" majątku narodowego, podniesienia wieku emerytalnego, likwidacji bariery na wschodniej granicy oraz przyjmowania imigrantów), czy też stronnicze dogęszczanie komisji wyborczych na wsiach.

Ostrzeżeniem jest również to, co dzieje się obecnie w USA. Oskarżenia o „ukradzione wybory" zaprowadziły Donalda Trumpa na ścieżkę manipulacji granicami okręgów, przywracając na agendę dwustuletnią historię zmagań o uczciwość sposobu wyznaczania takich granic. Jeszcze niedawno wydawało się, że stopniowo udaje się nad tą kwestią zapanować, dziś jednak tylko niektóre stany bronią się przed „wyścigiem zbrojeń" na tym polu. Wszystko pod samospełniającym się proroctwem – oni zyskują przewagę dzięki oszustwom, więc my musimy odpowiedzieć tym samym.

Dlatego reformy systemu wyborczego powinny być przeprowadzane jako wspólnie uzgodniony pakiet, a nie serie oddzielnych korekt. Np. sama korekta demograficzna – bez zmian w przepisach, które dziś faworyzują kandydatów z największych miast czy bez szerszej dyskusji o reprezentacji społeczności lokalnych – może zostać przedstawiona jako zamaskowane wzmocnienie wielkomiejskich elektoratów. Wracając do wyjściowej refleksji Wojciecha Słomczyńskiego, trzeba jego przestrogę potraktować poważnie. Przesilenie polityczne zawsze rodzi pokusy podważania wyników wyborów. Warto zatem pilnować, by system nie dostarczał do tych narracji gotowego paliwa – ale pilnować też, by strach przed oburzeniem nie stał się pretekstem do zaniechania reform. © JAROSŁAW FLIS

eprasa.pl 2ed1dec601

OLGA

Drenda:
Nie oddać reszty życia



Podążam za rozwojem opowieści o dziecięcych dramatach w sanatoriach (czytaj na tyg-pow.pl/rabka). Nie dlatego, że miałoby to mnie dotyczyć – co prawda sama przez kilka lat spędzałam w sanatorium część każdych wakacji (nie w Rabce, i już za „nowej Polski"), ale wyniosłam stamtąd akurat pozytywne wspomnienia sympatycznej komitywy nawiązywanej w prowizorycznych realiach, bez nadużyć czy przemocy. Wiedziałam też dobrze, że w pokoleniu moich rodziców hasło „Rabka" niosło ten charakterystyczny ton makabrycznego, podszytego trwogą śmieszku, i że kryje się za nim jakaś solidarność towarzyszy niedoli. Ale tym, co mnie szczególnie zainteresowało, było jednak raczej to, co sprawia, że kruszy się jakaś tama i zaczynają płynąć wyznania od ludzi, którzy uświadamiają sobie, że nie są ze swoim doświadczeniem sami. A jeszcze bardziej to, co może dziać się później.

Takie sytuacje się powtarzają co jakiś czas – oto ktoś, kto nosił ciężar, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że może mu on ciążyć („to w końcu tylko sanatorium, od tego się nie umiera, a poza tym przecież jesteś teraz zdrowy", mógł słyszeć od innych, a potem powtarzać sam sobie). I gdy nadchodzi wiadomość, że jednak to nie jest tak, że przesadzasz, że to naprawdę było straszne i inni odbierali to podobnie – można wreszcie poczuć ulgę.

Ulga, a co dalej? Są przecież przypadki, gdy wyznanie nie daje wyzwolenia. A czasem przeciwnie, staje się schronieniem-więzieniem, które zasysa na dobre i w którym na ścianach wyświetlają się wciąż te same sceny. Jednych pozorny drobiazg załamuje na długo, tak że aż sami nie dowierzają w swoją reakcję. Innym podzielenie się jakimś wyznaniem pomaga domknąć jakiś rozdział i wrócić do biegu życia. Nie mamy nigdy pewności, jaka droga stanie się naszym udziałem, choć każdy pewnie lubi wierzyć w siebie z przekonaniem wróżbity. Ale od dawna zastanawiam się, co da się zrobić wcześniej, na zapas. Czy da się zapobiegać temu, żeby dawna krzywda po latach dalej ryła w głowie i sercu swoje korytarze, prześladując człowieka, gdziekolwiek by nie poszedł?

Energia regeneracji



OLGA DRENDA

Na prywatny użytek kolekcjonuję od dawna historie o ludziach, którzy przeżyli rzeczy straszne, ale te doświadczenia nimi nie zawładnęły. To moje ulubione biografie. Nie są to jacyś mitologiczni herosi ze stali, często ludzie o zwyczajnych kolejach losu, których życie mogło potoczyć się inaczej, których psychikę krzywda mogła zmielić na proch. A jednak odpowiedzieli na nią pogodą ducha, która sprawiała, że zło blakło wobec żywych, konkretnych i budujących treści dnia codziennego. Tak jakby prowadziło ich, może nieświadomie, przekonanie, że jest życie do przeżycia. A uparcie i z radością trwając, mówili krzywdzie: „precz z łapami, nie odbierzesz mi reszty mojego życia".

Kiedyś zawodowe sprawy doprowadziły mnie do zetknięcia się z biografią Bronisława Zelka, wspaniałego grafika i projektanta krojów pisma. Ze starszych projektów czytelnicy zapewne kojarzą plakat do filmu „Ptaki", a najsłynniejszy krój jego autorstwa, futurystyczny New Zelek, widywano wszędzie w latach 80. Zelek żył na trzysta procent: tworzył plakaty, wygrywał konkursy, zaryzykował ucieczkę z PRL do Austrii, gdzie pracował jako wzięty projektant, żeglował, malował, zbudował szczęśliwy dom na odludziu z ukochaną. Nie obawiał się niczego. Ale przecież nie podano mu niczego na srebrnej tacy: jako kilkuletnie dziecko został deportowany na Syberię, skąd z dużym prawdopodobieństwem mógł nigdy nie wrócić. I nie stało się to nigdy centralnym punktem jego wspomnień. Pod koniec życia napisał jeden poemat graficzny o swoim dzieciństwie – to wszystko. Tak jakby odegrał się na losie, czerpiąc z życia z odwagą i pełnymi garściami.

Ewa Domańska w książce „Historia egzystencjalna" przeciwstawia traumie „życiową energię autoregeneracji". To potencjał, który ma w sobie każdy człowiek i każda grupa, i który pozwala w długiej perspektywie nie tylko jakoś trwać, ale skutecznie odbudowywać się po kryzysach. Ale warunkiem dbałości o tę energię, umożliwienia, by działała, jest stawianie sobie pozytywnie, empatycznie rozumianych wymagań. W taki sposób powstaje, jak powiedziałaby Domańska, mocny podmiot – człowiek lub wspólnota, których tożsamość opiera się na czymś więcej niż poczucie krzywdy i w konsekwencji bezradności. To pozwala na bieżąco troszczyć się o przyszłych siebie, ubezpieczać się na poczet kryzysów przyszłych.

Czy to właściwa odpowiedź i jak realizować ją w praktyce, nie wiem – ale doceniam każde spojrzenie, w którym jakieś straszne doświadczenie nie musi przeobrażać się w studnię bez dna. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 2ed1dec601

TU MIKOŁAJ GRYNBERG

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

POLIN PODCAST

Rozmowy o historii pamięci i ludziach.



NOWE ODCINKI CO 2 TYGODNIE

Słuchaj w ulubionych aplikacjach podcastowych

Spotify®

YouTube

Podcasts

Mecenas Muzeum

ORLEN

Projekt jest finansowany przez mieszkańców Norwegii i budżet krajowy

Norway grants

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POLIN Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe

Wspólnie działamy na rzecz bardziej zielonej, demokratycznej i odpornej Europy

Wspólna instytucja kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Warszawa

Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce

REKLAMA

eprasa.pl

PLAGA PAZERNOŚCI

Korupcja wciąż rzuca cień na aspiracje państw pragnących wejść do Unii Europejskiej. Przypadki Mołdawii, Albanii i Ukrainy pokazują przy tym, że społeczeństwa reformują się szybciej niż elity.

PIOTR OLEKSY



eprasa.pl 2ed1dec601

Gdy zrozumiałem, że nie mogę dłużej wypełniać mandatu zgodnie z moimi wartościami i przekonaniami, postanowiłem odejść – w tych lapidarnych słowach premier Mołdawii, Alexandru Munteanu, skomentował decyzję o dymisji, którą ogłosił na początku lipca.

Munteanu stanął na czele rządu zaledwie osiem miesięcy wcześniej, po tym, jak prozachodnia Partia Działania i Solidarności (PAS) wygrała wybory, po raz drugi z rzędu zapewniając sobie samodzielną większość w parlamencie.

Odporność to nie wszystko

Tamte wybory z września 2025 r. przebiegły w cieniu rosyjskich prób wpłynięcia na ich wynik. Sukces PAS sprawił, że Europa zachwyciła się Mołdawią. Mały kraj, powstały po rozpadzie Związku Sowieckiego i długo trawiony posowieckimi patologiami, stał się przykładem odporności na przekupstwa i dezinformacje Kremla. W tym czasie Kiszyniów zbierał też pochwały od Brukseli za kolejne kroki niezbędne dla integracji z Unią.

Zadanie, którego podjął się premier Munteanu – ekonomista bez doświadczenia politycznego – polegało więc na realizacji reform. W tym takich, które mogą wywołać opór społeczny. Miał być technokratą, który nie boi się decyzji i przybliży Mołdawię do Unii. Polityczne przywództwo pozostało w rękach prezydentki Mai Sandu i PAS.

Eksperyment się nie powiódł. Munteanu odszedł, nie uzasadniając bliżej swej decyzji. W Kiszyniowie huczy jednak od plotek. Trudno nie zauważyć tej zbieżności: kilka tygodni wcześniej politycy PAS i Sandu znaleźli się w ogniu krytyki, ze względu na skandale związane z nepotyzmem i korupcją. Mówi się, że Munteanu odszedł, gdyż nie był w stanie kontrolować rządu, którego polityczne zaplecze zaczęło pogrążać się w patologiach.

Zaraz po tamtych wyborach z 2025 r. mołdawscy politycy próbowali zakulisowo promować plan szybkiej integracji z Unią, licząc, że negocjacje mogą skończyć się w 2027 r. Oparcie się presji Rosji wydawało się sukcesem, który uczyni to możliwym. Tymczasem obecna sytuacja przypomina, że w rozszerzeniu Unii chodzi nie tylko o geopolitykę. Oraz że przeszkodą dla niej może być nie tylko Moskwa, lecz także rodzime elity.

Rodziny na swoim

Skandal, który poruszył Mołdawią, dotyczy państwowej spółki MoldATSA. Świadczy ona usługi w zakresie nawigacji lotniczej. Dziennikarze wykazali, że jej dyrektor skłamał na temat wykształcenia, gdy ubiegał się o stanowisko (nie miał wymaganego wykształcenia lotniczego).

Opinia publiczna dowiedziała się też, że rzeczniczka prasowa tej spółki, kuzynka prezydentki Mai Sandu, przez rok pracy zarobiła ponad milion mołdawskich lei (ok. 50 tys. euro). Jej pensja przewyższała ośmiokrotnie średnią płacę. Albo inaczej: rzeczniczka zarabiała cztery razy więcej niż prezydentka.

Po tych doniesieniach władze ogłosiły audyt w ministerstwach, agencjach i spółkach państwowych. Narodowe Centrum Antykorupcyjne (odpowiednik CBA) dokonało rewizji w resorcie rolnictwa i aresztowało sekretarza stanu w tym ministerstwie.

Doprowadzono też do dymisji szefa spółki Metaloferos, która jest monopolistą na rynku recyklingu i obrotu złomem, oraz dyrektora rezerwatu przyrodniczego Pădurea Domnească. Do dymisji podał się także Radu Marian, szef parlamentarnej komisji gospodarki, budżetu i finansów, która sprawuje kontrolę nad państwowymi spółkami. Marian, poseł PAS, został powszechnie uznany za odpowiedzialnego za nominacje kadrowe w MoldATSA.

Erozja wizerunku

Władze postanowiły więc działać zdecydowanie, aby pokazać, że nie godzą się na patologie. Za późno: te skandale mocno uderzyły w PAS – formację, która zbudowała swój polityczny wizerunek na idei walki z korupcją i układami.

Ponadto sytuacja z rzeczniczką MoldATSA uderza bezpośrednio w prezydentkę Sandu, która jest liderką obozu rządzącego i twarzą reform. Do tej pory Sandu utrzymywała najwyższe poparcie i zaufanie społeczne, stając się wręcz postacią symboliczną dla nadziei Mołdawian na budowę sprawnego państwa i wejście do Unii.

Niewykluczone, że erozja tego wizerunku, zapoczątkowana przez pazerną kuzynkę, będzie postępować. Dymisja apolitycznego premiera jest tu wyraźną „kropką nad i".

Albańska wyspa marzeń

Z kolei przez Albanię, także postrzeganą jako kandydatka do szybkiego wejścia do Unii, przetoczyły się niedawno masowe protesty wymierzone w proeuropejski obóz władzy. Na ulice wyszli jednak nie wrogowie Brukseli, lecz obywatele, którzy nie godzą się na inwestycje niszczące przyrodę. W tle ich oburzenia, prócz niezgody na rozwój kraju pod dyktando masowej turystyki i interesów elit, są też biznesy rodziny Donalda Trumpa.

Cofnijmy się do roku 2024. Wtedy to Ivanka Trump, córka prezydenta, wspomniała w wywiadzie o inwestycji planowanej wspólnie z mężem Jaredem Kushnerem (znanym z udziału w rozmowach z Rosją i Iranem). Z zachwytem opowiadała o niezamieszkanej albańskiej wyspie Sazan, na terenie której w czasach komunizmu była baza wojskowa. Dziwnym trafem wyspa ta została chwilę wcześniej wyłączona z użytku wojskowego.

Inwestycja, planowana przez córkę i zięcia prezydenta USA, zakłada utworzenie tam kurortu składającego się z 520 willi, 600 domów szeregowych i 1400 apartamentów. Mają być też kasyna, golf, park wodny i port przystosowany do obsługi superjachtów.

Jakby tego było mało, okazało się, że amerykańscy inwestorzy mają plany także wobec delty Vjosa-Narta. Do niedawna była ona objęta szczególną ochroną: to unikatowe siedlisko flamingów. Jej status zmieniono jednak w 2022 r., co umożliwiło planowanie inwestycji.

Rewolucja flamingów

Premier Edi Rama, który rządzi Albanią od 2013 r. i stał się w międzyczasie gwiazdą europejskich salonów politycznych, od początku był gorącym zwolennikiem inwestycji. Plany dotyczące wyspy Sazan określał jako „fantastyczną szansę". Miała być przyszłą „perłą turystyki śródziemnomorskiej". ↦

Symbolem protestów w Albanii stały się flamingi, żyjące w delcie Vjosa-Narta. Premier Edi Rama zgodził się ograniczyć status ochronny delty, aby umożliwić tam budowę luksusowego kurortu przez rodzinę prezydenta Donalda Trumpa. Tirana, 17 czerwca 2026 r.

FLORION GOGA / REUTERS / FORUM

eprasa.pl 2ed1dec601



EVGENIY MALOLETKA / AP / EAST NEWS

Protest przeciwko próbie ograniczenia niezależności służb antykorupcyjnych przez prezydenta Zełenskiego. Napis na transparencie: „Korupcja zabija". Kijów, 31 lipca 2025 r.

↦ Wielu Albańczyków widzi to inaczej. Protesty zaczęły się w maju, gdy we wsi Zvërnec, położnej w delcie Vjosa-Narta, pojawił się sprzęt budowlany. 30 maja doszło do starcia protestujących z pracownikami firmy ochraniającej plac budowy.

Agata Domachowska z Instytutu Europy Środkowej pisze, że „ochroniarze mieli użyć przemocy fizycznej oraz gazu pieprzowego (...). Obecność policji nie doprowadziła do szybkiego opanowania sytuacji, co spotkało się z krytyką protestujących. Nagrania z incydentu szybko trafiły do mediów i stały się symbolem szerszego problemu, jakim jest – zdaniem demonstrantów – uprzywilejowana pozycja inwestorów powiązanych z władzą".

Premier Rama krytykował protestujących, co skierowało gniew społeczny przeciw niemu. Wniosek, że za jego uporem stoją osobiste interesy, był oczywisty. Do protestów zaś dołączyła się liczna albańska diaspora. W ten sposób obrona terenów cennych przyrodniczo przerodziła się w manifestacje antyrządowe, nazwane „rewolucją flamingów".

Więcej niż korupcja

Korupcja i nepotyzm to często więcej niż „tylko" patologie władzy i efekt pazerności polityków. Nierzadko mówi się o jej zakorzenieniu w kulturze. Dotyczy to zwłaszcza społeczeństw, które długo nie cieszyły się suwerennością, i w których instytucje państwa zdawały się czymś obcym. W tej sytuacji rodzinne związki i zobowiązania stawały się ważniejsze od lojalności wobec abstrakcyjnych instytucji.

Doskonale opisał to Kamil Całus w książce „Mołdawia. Państwo niekonieczne" (wyd. 2020). Jeden z jego rozmówców tłumaczył: „Państwo mogło nie istnieć trzydzieści lat temu, ale moja rodzina mieszka na tej ziemi co najmniej od czterech pokoleń. Byli tu urzędnicy carscy, Rumuni, był ZSRR, a teraz jest niepodległa Mołdawia. Państwa przychodzą i upadają, ale moja rodzina wciąż tu żyje. Od dziesiątek, a pewnie i setek lat. Wspiera mnie, pomaga".

Model państwa, jakiego Unia oczekuje od swych członków, to przeciwieństwo takiego myślenia. Tu wartością jest stabilność i niezależność instytucji, które mają zapewnić przejrzystość procedur, zdrową konkurencję i uczciwość wydawania pieniędzy publicznych.

Zaakceptowanie tych zasad przez społeczeństwa i elity państw Europy Wschodniej i Bałkanów jest kluczowe dla rozszerzenia Unii. Jeśli Wspólnota ma sprawnie funkcjonować, gwarantując rozwój i dobrobyt, to nie może ignorować własnych fundamentów.

Oczywiście nie znaczy to, że kraje Unii są wolne od korupcji i nepotyzmu. Przykładem niedawne skandale z udziałem europosłów z Włoch i Malty. Także tu jednak istotne są właśnie sprawne instytucje (te, które mają ścigać korupcję) i wolność mediów, które mogą ujawniać pazerność polityków.

Zełenski kontra NABU

Właśnie o instytucje poszło latem 2025 r., gdy Wołodymyr Zełenski podjął próbę ograniczenia niezależności służby antykorupcyjnej (NABU). W obliczu masowych protestów w całym kraju – mających miejsce mimo trwającej wojny – prezydent musiał się wycofać. Dziś wiemy, że podejmując tę próbę, miał konkretny powód: kilka miesięcy później media ujawniły tzw. aferę Mindycza, która uderza w otoczenie Zełenskiego i w niego samego.

Ukraina ma problem nie tylko z korupcją, ale też z niezależnością mediów. Wielokrotnie zdarzało się, że dziennikarze czy aktywiści, którzy ujawniali skandale (czy to korupcyjne, czy to w armii), byli zastraszani i poddawani presji przez służby państwowe. Bywało, że mężczyzn powoływano do wojska – i wysyłano prosto na front.

Przypadek Mołdawii pokazuje natomiast, jak ważną rolę odgrywają media: to one doprowadziły do ujawnienia skandali. Ich efektywność nie byłaby możliwa w warunkach kleptokratycznej autokracji, która rozwijała się tutaj, zanim władzę przejął obóz Mai Sandu. A Mołdawia pokazuje coś jeszcze: społeczeństwo oburzyło się na praktyki, które jeszcze niedawno mogły wydać się błahe – mówimy o kraju, gdzie 12 lat temu ukradziono z systemu bankowego miliard dolarów.

Przekleństwo patronów

Z kolei w Albanii jeszcze niedawno inwestycje w branży turystycznej były postrzegane jako droga na skróty do dużego zarobku. Teraz Albańczycy występują także w obronie swej podmiotowości, której symbolem stały się zagrożone flamingi.

Wyraźnie widać więc, że w państwach kandydujących do Unii zmienia się wrażliwość społeczna – i że jedną z motywacji do tej zmiany jest właśnie nadzieja na wejście do Wspólnoty. W efekcie to elity polityczne muszą nadążać za tym trendem.

Gorzej, że politycy i oligarchowie, którzy żerują na własnym państwie, wciąż znajdują patronów. Jak widać, czasem pochodzą oni z Moskwy, a czasem z Waszyngtonu. © PIOTR OLEKSY

Autor pracuje na poznańskim UAM oraz w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie, stale współpracuje z „TP".

eprasa.pl 2ed1dec601

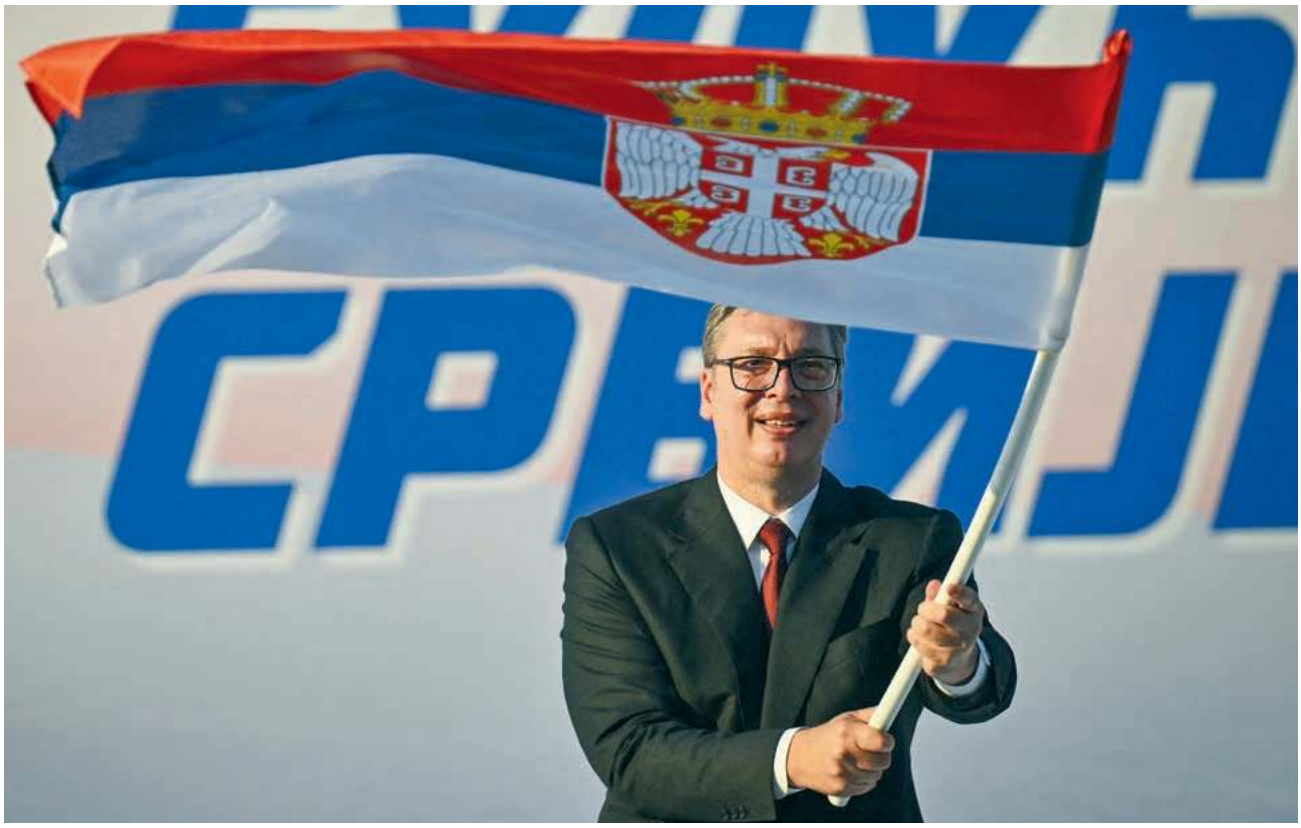

OLIVER BUNIC / AFP / EAST NEWS

Aleksandar Vučić jest prezydentem Serbii od 9 lat. Teraz obiecał, że złoży urząd i rozpisze wybory parlamentarne. Opozycja sądzi, że Vučić chce zostać u władzy, tylko już jako premier. Na zdjęciu: Vučić ogłasza swoją decyzję podczas wiecu zwolenników. Belgrad, 27 czerwca 2026 r.

Serbowie u progu przełomu

JULIUSZ PIELICHOWSKI Z SERBII

BAŁKANY | Jadąc przez serbską prowincję, słucham sentymentalnej piosenki „Jugo 45", przeboju z 1999 r., gdy dokonywał się ostateczny rozpad Jugosławii. Minęło ćwierć wieku i dziś to Serbia jest na rozdrożu. Jaki obierze kurs?

Wielkie protesty społeczne przeciw wszechwładzy prezydenta Aleksandra Vučicia i jego obozu, które przetaczają się przez kraj od przeszło półtora roku, wreszcie zaczynają przynosić efekty. Pod koniec czerwca Vučić obiecał, że ustąpi ze stanowiska i rozpisze przedterminowe wybory parlamentarne.

Część środowisk opozycyjnych triumfuje. Ale nie brak głosów, że zmiany te mają na celu jedynie reorganizację obozu władzy.

Dwadzieścia miesięcy

Novi Pazar, położony w południowo-zachodniej Serbii – przy granicy z Czarnogórą i Kosowem, wciąż nieuznawanym przez władze w Belgradzie – to jedno z najciekawszych miejsc w tej części Bałkanów. Nieformalna stolica Sandżaku, w którym przez setki lat krzyżowały się wpływy serbskie i osmańskie, to centrum życia serbskich Boszniaków.

Do miasta przyjeżdżam kilka dni po najświeższej próbie sił w tych zmaganiach, które już drugi rok toczą się w Serbii między skorumpowanym – i skompromitowanym – obozem władzy pod wodzą Vučicia a przedstawicielami społeczeństwa obywatelskiego.

Długofalowe konsekwencje katastrofy budowlanej, do jakiej doszło w Nowym Sadzie 1 listopada 2024 r. (gdy w wyniku zawalenia się dachu nowego dworca kolejowego zginęło 16 osób; w tle stała zaś korupcja), najwyraźniej zaskoczyły władzę. Za organizację fali protestów – i jej podtrzymywanie przez dwadzieścia niełatwych miesięcy – odpowiedzialne są przede wszystkim środowiska studenckie.

Z Esmą i Emirem, studentami uniwersytetu w Novym Pazarze, spotykam się w kawiarni przy placu imienia Srđana Aleksicia, boszniackiego bohatera. Podczas wojny w Jugosławii, będąc żołnierzem sił serbskich, stanął on w obronie znajomego muzułmanina, dręczonego przez serbskich żołnierzy. Pobity przez kolegów, zmarł w styczniu 1993 r. Dziś jego imieniem nazywane są ulice i place w całej Bośni i Hercegowinie. A także – gdzieniegdzie – w Serbii.

Studenci z Novego Pazaru

Zanim porozmawiamy o obecnej sytuacji, Esma i Emir czują się w obowiązku, by opowiedzieć o Sandżaku. Bo choć należy on od lat do najsłabiej rozwiniętych gospodarczo regionów Serbii, to sam Novi Pazar jest, pod względem demograficznym, jednym z jej najmłodszych ↦

eprasa.pl 2ed1dec601



JULIUSZ PIELICHOWSKI

Samochód Jugo 45 na muralu w miasteczku Čačak. Było to popularne auto osobowe w Jugosławii, a dziś jest symbolem dla tych, którzy tęsknią za dawnymi czasami. Lipiec 2026 r.

↦ miast. Wysokie bezrobocie i ograniczone inwestycje publiczne sprzyjają tu jednak poczuciu marginalizacji. Emir mówi, że wielu mieszkańców ma za złe Belgradowi, że poświęca Sandżakowi znacznie mniej uwagi niż centralnym regionom.

Esma i Emir są od początku zaangażowani w organizację protestów w swoim mieście przeciw Vučiciowi. Bo gdy fala sprzeciwu ruszyła na dobre, także Novi Pazar się w nią włączył. Manifestacje szybko pokazały, że tutejsze problemy coraz częściej splatają się z szerszą debatą o stanie serbskiej demokracji i praworządności, a także o miejscu mniejszości narodowych w życiu publicznym. – Napięcie narastało tu od dawna – stwierdza Emir.

O studentach z Novego Pazaru zrobiło się głośno w całym kraju – i poza jego granicami – po tym, jak jesienią 2025 r. przez kilka dni szli pieszo, aby dołączyć do manifestacji w Nowym Sadzie, w dniu pierwszej rocznicy zawalenia się dachu dworca.

Cel: utrzymać presję

Również tu protesty organizowane są cały czas. Jeden z większych odbył się 21 grudnia 2025 r. i znów przyciągnął uwagę światowej opinii publicznej. Do miejscowych studentów dołączyło wówczas kilka tysięcy aktywistów z całej Serbii, aby powiedzieć „nie" naciskom rządu na Państwowy Uniwersytet w Novym Pazarze. Bo w ciągu minionego półtora roku środowiska akademickie stały się celem represji. Wielu studentów wyrzucono, a wykładowcy, którzy poparli protestujących, tracili pracę.

Pytam Esmę i Emira, czy wierzą, że ich wysiłek przełoży się na realny rezultat polityczny. Dziewczyna wraca wspomnieniami do niedawnej soboty, 23 maja, gdy wraz z przyjaciółmi pojechała na protest do Belgradu. Uczestniczyło w nim ok. 180 tys. ludzi, czyniąc go drugim pod względem frekwencji zgromadzeniem od obalenia Slobodana Miloševicia w październiku 2000 r.

– Oni już tego nie zatrzymają, nie ma szans. Ale trzeba utrzymać presję – mówi Esma. Gdy dopytuję, czy przez ponad półtora roku zdarzyło się, że tracili nadzieję na zmianę, Emir niepewnie spogląda na przyjaciółkę. Ta odpowiada zdecydowanie: – Nawet przez chwilę nie wątpiłam, że się nam uda.

W oczach Esmy dostrzegam podobny entuzjazm jak ten, który w listopadzie 2025 r. widziałem na twarzach uśmiechniętych, świadomych swojej siły uczestników manifestacji w Nowym Sadzie.

Obietnice Vucicia

Minęło zatem półtora roku – i oto ostatnie dni przyniosły istotne, a zdaniem niektórych przełomowe deklaracje ze strony obozu władzy. Deklaracje pozwalające środowiskom opozycyjnym wierzyć, że uda się doprowadzić do przesilenia pokojowo.

W piątek 26 czerwca główne arterie Belgradu zostały zamknięte w związku z wiecem rządzącej Serbskiej Partii Postępowej (SNS). Zorganizowano go pod hasłem pozornie jednoczącym: „Serbia – jedna rodzina". Jak zapowiadali politycy SNS, miał on zaprezentować wizję rozwoju kraju oraz program partii władzy na najbliższe lata.

Tymczasem, stojąc w sobotę 27 czerwca przed tysiącami zwolenników, których zwieziono autobusami na plac w sercu stolicy, Vučić oświadczył, że w ciągu kilku tygodni zrezygnuje ze stanowiska prezydenta. Stwierdził też, że chętnie pomoże Serbskiej Partii Postępowej w kampanii przed nadchodzącymi, przyspieszonymi wyborami – jeśli, rzecz jasna, partia go o to poprosi. Zasugerował, że mógłby objąć stanowisko premiera nowego rządu.

Warto dodać, że wiec odbył się tuż przed Vidovdanem – świętem Serbskiej Cerkwi Prawosławnej, które upamiętnia bitwę na Kosowym Polu w 1389 r. (armia Osmanów pobiła w niej wojska serbskie). Vidovdan to jedno z najważniejszych serbskich świąt narodowych.

eprasa.pl 2ed1dec601

Scenariusz reorganizacji?

Z Novego Pazaru ruszam do Kraljeva, położonego 50 km na północ. W minioną niedzielę, a więc następnego dnia po belgradzkim wystąpieniu Vučicia, na ulice tego niedużego miasta w środkowej Serbii znów wyszły tysiące ludzi – mimo złożonej przez prezydenta obietnicy.

Uczestnicy manifestacji podkreślali, że sama deklaracja odejścia z urzędu nie jest równoznaczna z końcem kryzysu politycznego. Ani tym bardziej nie oznacza spełnienia ich postulatów – choć została odebrana powszechnie jako efekt utrzymującej się od dwudziestu miesięcy presji społecznej.

Choć większość środowisk opozycyjnych przyjęła zapowiedź rezygnacji Vučicia z zadowoleniem, nie brakuje głosów, że to jedynie zasłona dymna, a sam zainteresowany wcale nie myśli o wycofaniu się z życia politycznego.

Wprost przeciwnie – obejmując stanowisko premiera, mógłby zachować wpływy, a urząd prezydenta mógłby „powierzyć" komuś z zaufanych współpracowników. Taki scenariusz przewidują też niezależni serbscy analitycy: ich zdaniem zmiana na stanowisku głowy państwa może okazać się jedynie reorganizacją obozu Vučicia, a nie rzeczywistym przekazaniem władzy.

Między Unią a Rosją

W Kraljevie spotykam Milenę, nauczycielkę historii w tutejszym liceum. Kontakt do niej otrzymałem w Novym Pazarze; po raz kolejny jestem pod wrażeniem, jak zorganizowane są różne, na co dzień niepowiązane środowiska opozycyjne.

Spotykamy się na placu Serbskich Wojowników, w centrum miasta, obok Pomnika Serbskiego Żołnierza (pieszczotliwie zwanego „Milutinem", od imienia bohatera kultowej tu powieści Danka Popovicia z 1985 r.).

Milena nie ma złudzeń co do intencji Vučicia i jego ekipy. Ale wierzy, że zapowiedziane wybory parlamentarne pozwolą uczynić pierwszy wyłom w klientelistycznym systemie władzy, jakim Serbska Partia Postępowa oplotła całe życie publiczne w kraju. – Wierzę, że krok po kroku uda nam się wrócić na kurs proeuropejski. W dłuższej perspektywie to będzie miało większe znaczenie. Polska jest dobrym przykładem – mówi Milena.

Protesty zmusiły Vučicia do zapowiedzi dymisji. Serbowie pytają jednak, czy to przełom, czy tylko reorganizacja obozu władzy.

Dla niej międzynarodowe skutki decyzji Vučicia są istotniejsze niż te krajowe. Śledzi media zagraniczne i wie, że rozwój wydarzeń w Serbii jest obserwowany także poza jej granicami. Milena podkreśla, że i Unia Europejska, i Rosja będą monitorować przebieg kampanii wyborczej oraz proces politycznych zmian w Belgradzie.

Unia w ostatnich miesiącach wielokrotnie krytykowała użycie siły wobec pokojowych demonstrantów. Zwracała też uwagę na problemy z wolnością mediów, niezależnością wymiaru sprawiedliwości i przestrzeganiem standardów demokratycznych. Serbia, pozostając oficjalnie kandydatem do członkostwa w UE, utrzymuje zarazem bliskie relacje polityczne i gospodarcze z Rosją oraz Chinami.

Nostalgia po Jugonostalgii

Z Kraljeva ruszam na północny zachód, w stronę Čačaku – kolejnego miasta liczącego kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. Niepozorne, leżące nieco na uboczu ośrodki miejskie wydają mi się „solą ziemi" w środkowej Serbii. Wiele z nich do niedawna było bastionami Serbskiej Partii Postępowej. Ostatnie miesiące przyniosły jednak znaczące zmiany.

Myślę o słowach Mileny na temat serbskiej prowincji. Gdy zapytałem ją o „Jugonostalgię", społeczną tęsknotę za dawnymi czasami, gdy Serbowie byli dominującą nacją w wielonarodowej federacji, uśmiechnęła się: – Wszyscy jesteśmy rozdarci, nawet ja. Ale to dlatego, że jako dziewczynka każde lato spędzałam z rodzicami w Budvie.

Budva to urokliwy kurort nad Adriatykiem. Dziś w Czarnogórze: państwie, które niepodległość uzyskało 20 lat temu. Czarnogórcy wypowiedzieli wspólnotę Serbom jako ostatnia z republik dawnej Jugosławii.

Natomiast Čačak, położony u podnóża gór, jest pod względem narodowym rewersem Novego Pazaru: tu panuje etnos serbski. Wczesnym popołudniem miasto spowalnia, ulice są ciche. Niewiele tu napisów w językach innych niż serbski. W większości sklepów i lokali płacić można wyłącznie gotówką. Przysklepowe stragany uginają się od owoców i warzyw.

W pobliżu dworca autobusowego uwagę zwraca mural, przedstawiający Jugo 45. Był to najbardziej popularny w Jugosławii samochód osobowy. Dla tych, którzy tęsknią za dawnymi czasami, stanowi on symbol. Jeszcze jeden dowód – choć ciepły, nieagresywny – na nieustające, mimo że w ostatnich latach słabnące przywiązanie do mitu Jugosławii.

Serbia wybiera swoją przyszłość

Właśnie tropem jugosłowiańskiego mitu udaję się na zachód, w stronę gór. Ostatnim celem tego dnia jest Küstendorf, zwany też Drvengradem – niemal nierealna wieś, zbudowana w 2000 r. kilka kilometrów od granicy z Bośnią na potrzeby filmu „Życie jest cudem" Emira Kusturicy.

Na miejsce docieram o zachodzie słońca, o tej porze jest tu pusto. Kilkadziesiąt drewnianych domów tworzy kompleks, w którym mieści się m.in. hotel. Od chwili, gdy dawny plan filmowy udostępniono turystom, stał się on atrakcją dla Serbów z całego kraju.

Przechadzam się uliczkami, które noszą imiona jugosłowiańskiego pisarza Ivo Andricia, włoskiego reżysera Federica Felliniego, serbskiego tenisisty Novaka Đokovicia. Myślę o Kusturicy, pełnym sprzeczności: dziś popierającym protestujących studentów, zarazem znanym z poglądów nacjonalistycznych i prorosyjskich. Kto wie, czy to nie on stworzył najpełniejszy, i najbardziej tragiczny, obraz schyłkowej Jugosławii, ulegając zarazem jej mitowi?

Już po zmroku słucham sentymentalnej piosenki „Jugo 45", przeboju z 1999 r., nagranego przez zespół rockowy Zabranjeno Pušenje. Rozpadająca się Jugosławia istniała wtedy ostatkiem sił. Cztery lata później w jej miejsce powstała federacja Serbii i Czarnogóry. Kilka lat później także Czarnogóra poszła na swoje.

Dzisiaj to Serbia jest na rozdrożu. Wiele wskazuje, że najbliższe miesiące zdecydują o tym, jaki obierze kurs.

© JULIUSZ PIELICHOWSKI

eprasa.pl 2ed1dec601



AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Rita Cifuentes, współzałożycielka The Home Academy, która uczy dbania o dom, ze swoimi uczniami. Madryt, lipiec 2026 r.

Fartuch zamiast garnituru

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MADRYTU

STYL ŻYCIA | Jeszcze kilkanaście lat temu byli rzadkością. Dziś w Hiszpanii prawie pół miliona mężczyzn deklaruje, że „na pełen etat" zajmują się prowadzeniem domu. Zmieniają się role, ale czy społeczeństwo nadąża za tą zmianą?

Pedro Caballero otwiera drzwi swojego domu na przedmieściach Madrytu, zaprasza. Wysoki brunet po pięćdziesiątce. Niebieska koszula, jeansy – i towarzyszący mu ciągle brązowy fartuch.

Jest sobota rano. W drzwiach mijam się z jego partnerką, która tego dnia wyjeżdża w delegację. Trójka dzieci Pedra nie mieszka już z nim, ale mimo to mężczyzna nie zamierza wracać do dawnej pracy. Jest gospodarzem domu (hiszp. *amo de casa*) już od 18 lat.

Wspomina, że gdy jego ówczesna żona dostała awans, postanowił porzucić pracę w marketingu i zająć się prowadzeniem domu. – Nigdy wcześniej nie sprzątałem w domu, bo moja praca mi na to nie pozwalała, kiedy do niego wracałem, robiłem niewiele – przyznaje.

Towarzyszę mu przy robieniu prania. – Uszczelka w pralce zbiera zabrudzenia i osady, dlatego trzeba ją regularnie czyścić. Dzięki temu zapobiegamy powstawaniu pleśni i bakterii, które mogłyby przenosić się na ubrania, a z ubrań na naszą skórę. To taki prosty trik gospodarza domu – komentuje Pedro Caballero.

DOMOWA REWOLUCJA | Pedro ma więcej swoich patentów. Np. co robić, aby podeszwy wypranych butów się nie zawijały. Albo jak wieszać koszulki, aby nie trzeba ich było potem prasować.

Tego wszystkiego musiał nauczyć się od zera. Pochodzi z bardzo konserwatywnej rodziny. W domu rodzinnym wszystkim zajmowały się babcia, mama i siostra. Mężczyźni nie wchodzili do kuchni, nie chwytali za mopa.

– Gdy zacząłem funkcjonować w tej nowej roli, przez pierwsze miesiące często bywało tak, że o siódmej wieczorem wracała matka moich dzieci, a ja nie miałem nawet chwili, by usiąść, choć np. łóżka wciąż były niepościelone. Wtedy zdałem sobie sprawę, jak ogromną pracą jest bycie panią lub panem domu – mówi Pedro.

Początkowo planował zająć się domem i dziećmi „na jakiś czas". Tak zresztą deklaruje większość mężczyzn, którzy w Hiszpanii robią to „na pełen etat". Zwykle mówią, że to „na chwilę" lub „do czasu znalezienia lepszej pracy". Wielu wstydzi się etykiety „kury domowej".

Pytam o to w madryckim stowarzyszeniu dużej rodziny (*Asociación Familias Numerosa de Madrid*) oraz w związku stowarzyszeń rodzinnych (*Unión de Asociaciones Familiares*). Wszędzie ta sama odpowiedzieć: „Znamy takie rodziny, w których to kobieta przynosi pieniądze, a mąż oddaje się pracy w domu". Jednak gdy proszę o wywiad, mężczyźni odmawiają.

MACHO Z MOPEM | Krajowy Instytut Statystyczny podaje, że 20 lat temu jako „gospodarze domu" definiowało się 89 tys. Hiszpanów. Dziś jest ich ponad 445 tysięcy.

Według Maríi Ángeles Sepúlvedy, specjalistki ds. przemocy ze względu na płeć, Hiszpania to wciąż kraj maczystowski (od hiszpańskiego: *machismo*). Według słownika Królewskiej Akademii Hiszpańskiej to „postawa wyższości mężczyzn wobec kobiet".

Sepúlveda uważa, że maczyzm jest tak głęboko zakorzeniony w kulturze, iż łatwiej jest zrobić dwa kroki wstecz niż jeden naprzód. Być może dlatego wielu mężczyzn wstydzi się przyznać, że zamiast swoich żon to oni prowadzą dom.

Natomiast Pedro uważa, wszyscy w pewnym momencie stajemy się paniami i panami domu. – Każdy z nas musi czasem ugotować, posprzątać kuchnię, od czasu do czasu wyczyścić łazienkę i ogarnąć mieszkanie – przekonuje madrycki *amo de casa*.

INNA GENERACJA | O zmianie pokoleniowej opowiada mi María, lat siedemdziesiąt kilka, którą spotykam w Torrelodones pod Madrytem. – Mój mąż w ogóle nie pomagał w domu, za to moi synowie robią to na co dzień. To już zupełnie inne pokolenie. Kiedyś, co widziałam u moich rodziców, uważano za niestosowne, aby kobieta pozwalała mężczyźnie zmywać czy zajmować się innymi domowymi obowiązkami. Mężczyzn, którzy chcieli coś zrobić w domu, nazywano pantoflarzami – wspomina María.

40-letni Diego ma dziś już inne doświadczenie: – Praktycznie wszystkie obowiązki domowe spoczywają na mnie. To ja gotuję, robię pranie. W wielu rzeczach pomagamy sobie nawzajem z żoną, w zależności od tego, kto akurat ma więcej czasu po pracy. W domu, w którym się wychowałem, było inaczej: całą odpowiedzialność za dom brała na siebie mama.

Diega spotykam pod podstawówką, gdy odbiera dzieci ze szkoły.

eprasa.pl 2ed1dec601

PÓŹNO I GWAŁTOWNIE | Socjolog profesor Héctor Cebolla-Boado ocenia, że dziś większość Hiszpanów powiedziałaby, iż nie ma znaczenia, kto z dwojga przejmuje większość obowiązków domowych, choć oczywiście to kobiety nadal najczęściej je wykonują.

Kiedy rozmawiamy w centrum Madrytu, w godzinach porannych, co jakiś czas widzimy ojców z wózkami dziecięcymi. – Jeszcze dwie dekady temu to byłaby rzadkość – komentuje socjolog.

– Coraz częściej spotyka się sytuacje, w których panuje duża równość, jeśli chodzi o obowiązki domowe, a czasem nawet pewne przesunięcie w stronę mężczyzn. Jest to jednak coś bardzo, bardzo nowego, zwłaszcza jeśli mówimy o młodych do 30. roku życia. Doszło do ogromnej zmiany społecznej, która nastąpiła w bardzo krótkim czasie – uważa Cebolla-Boado.

I dodaje: – W Hiszpanii zmiany nie dzieją się stopniowo, jak w większości krajów. Tu przychodzą późno, ale gwałtownie.

BÓJ O PRZEWIJAK | Tyle że, zdaniem ekspertów, infrastruktura publiczna nie jest przygotowana na rosnącą liczbę gospodarzy domów czy choćby ojców, którzy po pracy zajmują się dziećmi.

Weźmy przewijaki w toaletach publicznych. W 2019 r. pewien ojciec pozwał restaurację w Walencji, bo nie pozwolono mu wejść do damskiej toalety, aby mógł zmienić dziecku pieluszkę. W toalecie męskiej przewijaka nie było.

Dwa lata wcześniej ratusz w Madrycie postanowił zainstalować pierwsze przewijaki w wybranych męskich toaletach w budynkach publicznych. Ale zdaniem stowarzyszenia Mężczyzn na rzecz Równości Płci (AHIGE), to wciąż kropla w morzu potrzeb.

Najlepiej w temacie przewijaków wypada region Galicji, na północnym zachodzie kraju. Tam tę kwestię rozwiązano prawnie: zgodnie z regulacjami, od 2019 r. każdy nowy budynek użyteczności, publiczny czy prywatny, musi mieć przewijak zarówno w toaletach damskich, jak i męskich.

SZKOŁA CODZIENNOŚCI | Tymczasem zainteresowanie mężczyzn prowadzeniem domu widać także w aulach The Home Academy. To pierwsza w Hiszpanii profesjonalna szkoła, która od 2014 r. uczy



DIEGO *mówi, że obowiązki domowe spoczywają na nim. On gotuje, robi pranie, odbiera dzieci ze szkoły.*



PEDRO CABALLERO *dzieli obowiązki „pana domu" z prowadzeniem programu na ten temat w lokalnej telewizji.*



AGNIESZKA ZIELIŃSKA x3

HÉCTOR CEBOLLA-BOADO *ocenia, że w Hiszpanii doszło do ogromnej zmiany społecznej w bardzo krótkim czasie.*

dbania o dom, prasowania, prania czy gotowania. Wśród uczniów coraz częściej są młodzi mężczyźni, którzy planują wyprowadzkę z domu, albo ci po rozwodach, którzy muszą nauczyć się tych rzeczy od zera.

– Uwielbiam ich uczyć, ponieważ są bardziej konkretni niż kobiety. Chcą od razu wiedzieć wszystko, są bardzo zainteresowani i pilni. Kiedyś sądzono, że mężczyźni potrafią tylko gotować, my widzimy, że oni chcą też sprzątać, prasować i myć łazienkę. I robią to z zaangażowaniem – mówi mi Rita Cifuentes, współzałożycielka szkoły.

Z jej obserwacji wynika, że podczas zajęć kobiety częściej się rozpraszają, za to mężczyźni wszystko skrupulatnie notują i zadają dużo pytań.

Rita mówi, że wielu jej uczniów i uczennic nie wie, jak wyczyścić żelazko czy dbać o palniki i okap. – Czasem pytam, z jakiego materiału jest ich podłoga albo okna. Nie wiedzą. Więc jak mają to czyścić? Myślą też, że potrzeba osobnego płynu do czyszczenia każdego przedmiotu – dodaje.

Rita Cifuentes i María González (również ucząca w Akademii) uważają, że w szkołach powszechnych brakuje edukacji, jak planować rodzinny budżet czy dzielić obowiązki domowe. Ważny jest też język. – Dlaczego kobiety zwykle mówią: „mąż pomaga mi w obowiązkach domowych". Dlaczego „pomaga"? Przecież cała rodzina powinna być w równym stopniu odpowiedzialna za dom – mówi mi María.

MIĘDZY PŁCIAMI | 50-letnia Yolanda z Madrytu cieszy się, że mężczyźni coraz częściej sprawują pieczę nad domem. Tak jest np. w domu jej młodszego brata. – Jeśli mężczyźni chcą być gospodarzami domu, dla mnie to idealne. Chcę, aby wiedzieli, co to znaczy prowadzić dom – mówi.

Pedro Caballero kilka lat po porzuceniu pracy i zajęciu się domem wpadł na pomysł prowadzenia programu radiowego „Amos de casa", czyli „Gospodarze domowi". Pedro wraz z ekspertami postanowili doradzać mężczyznom w podobnej sytuacji i uczyć prac domowych. Audycja szybko zyskała słuchaczy. Pedro stał się referentem od prac domowych i regularnie zapraszanym gościem do programów śniadaniowych – nie tylko w Hiszpanii, także za granicą.

Dziś dzieli obowiązki gospodarza domu z prowadzeniem programu w lokalnej telewizji w Kastylii i Leon.

Pedro żartuje, że wielu Hiszpankom podoba się to, że mężczyzna prowadzi dom. Dostaje nawet propozycje matrymonialne. – Niektóre panie żartują, że chciałyby mnie „zabrać do siebie do domu" – uśmiecha się.

I dodaje: – A mówiąc poważnie: kobiety bardzo dobrze postrzegają mężczyzn, którzy są gospodarzami domu, bo widzą w tym realne wsparcie dla swoich relacji. Nie chodzi o to, żeby wszyscy mężczyźni rezygnowali z pracy i całkowicie poświęcali się domowi, lecz o większe zaangażowanie w obowiązki domowe. ©

eprasa.pl 2ed1dec601

Sekrety tkaniny



ISOGOOD PATRICK / SHUTTERSTOCK

Aelfgyva, jedyna kobieta podpisana z imienia na Tkaninie z Bayeux.

PATRYCJA BUKALSKA

ZABYTKI | **Po ponad 960 latach Tkanina z Bayeux dotarła w końcu do Londynu. Bilety na ekspozycję na ten rok już wyprzedano.**

Był kwadrans po trzeciej nad ranem, w piątek 10 lipca, gdy ciężarówka z bezcennym ładunkiem dotarła do British Museum. Transport odbył się w tajemnicy, a całą operację starannie zaplanowano. Prowadzono nawet próby, sprawdzając np. poziom drgań w aucie, by upewnić się, że nie zaszkodzą ładunkowi.

Zagrożeń dla tego delikatnego haftowanego płótna, długości 68 metrów, jest zresztą więcej: wilgotność, światło, dotyk. Wszystko to szacowano, by zabezpieczyć jego podróż.

Na co dzień Tkanina z Bayeux, przedstawiająca historię podboju Anglii przez Wilhelma Zdobywcę w 1066 r., przechowywana jest, jak wskazuje jej nazwa, w Bayeux, miasteczku w Normandii. Na Wyspy Brytyjskie trafiła po raz pierwszy od momentu, gdy ją wykonano, a miało to miejsce pod koniec XI stulecia.

ZAPIS INWAZJI | O tym, gdzie wyhaftowano tę sagę o Normanach i ich zwycięskiej inwazji, czy we Francji, czy w Anglii, naukowcy dyskutują do dziś. Na Anglię (ściślej: na okolice Canterbury) wskazuje podobieństwo do ilustracji z manuskryptów z tutejszych klasztorów. Nie wiadomo, kto ją zamówił; wiele wskazuje na Odona, biskupa Bayeux i przyrodniego brata Wilhelma.

Hafty, wykonane kolorową wełnianą nicią, przedstawiają 58 scen: wydarzenia, które doprowadziły do bitwy pod Hastings, kładącej w 1066 r. kres rządom Anglosasów na Wyspach. Opowieść zaczyna się od wyprawy Harolda Godwinsona (angielskiego earla, później ostatniego anglosaskiego króla) do Francji, a kończy ucieczką Anglosasów z pola bitwy i wiktorią Normanów. Brakuje końcówki – prawdopodobnie ostatnią sceną była koronacja Wilhelma w opactwie Westminster.

Na 68 metrach uwieczniono nie tylko bohaterów tamtych wydarzeń – realistycznie przedstawiono też grozę wojny. Mamy tu także smoki, jak również kometę, dziś znaną jako kometa Halleya, która istotnie zjawiła się na niebie w 1066 r.

GARŚĆ KOBIET | Na Tkaninie można doliczyć się aż 626 postaci, ale tylko sześć z nich to kobiety. Trzy widnieją w głównej opowieści, a trzy na obramowaniu płótna (ta część odgrywa rolę swego rodzaju symbolicznego komentarza).

Tylko jedną podpisano z imienia: to Aelfgyva. Kim była? Pewności nie ma. Ostatnie badania sugerują, że to królowa Emma z Normandii, matka króla Edwarda Wyznawcy – miała przyjąć anglosaskie imię Aelfgyva, wychodząc za mąż za króla Ethelreda II. Na Tkaninie ukazano ją razem z duchownym, który dotyka jej twarzy. W pasie obramowania poniżej widnieje zaś nagi mężczyzna, co może sugerować, że scena dotyczy jakiegoś skandalu, wówczas znanego.

Kolejna z kobiet stoi przy łożu umierającego króla Edwarda Wyznawcy – to może być Edyta, jego żona. Jeszcze kolejna wyprowadza dziecko z płonącego budynku, o niej nic nie wiadomo. Podobnie jak nie wiadomo nic o kobietach, które haftowały Tkaninę. Tylko tyle, że zapewne były to zakonnice.

MĘSKI SZCZEGÓŁ | Wiele emocji – więcej niż tożsamość Aelfgyvy – budzi za to... liczba penisów wyhaftowanych na Tkaninie. W sumie jest ich ponad 90. Niemal wszystkie należą do koni, ale to przyrodzenie mężczyzn zaprząta uwagę historyków.

Według profesora George'a Garnetta jest ich pięć, choć doktor Christopher Monk doliczył się jeszcze jednego. Czy to jednak na pewno fallus, czy pochwa sztyletu? Debata trwa, podobnie jak o tym, dlaczego ten szczegół męskiego ciała został w ogóle wyeksponowany. Jest tu kilka teorii: że miał to być żart albo że to swoisty komentarz na temat charakteru niektórych postaci.

Co ciekawe, kopia Tkaniny – sporządzona w 1885 r. w Anglii – została ocenzurowana: penisów próżno tam szukać, a jednemu z nagich mężczyzn „założono" bieliznę. Tak zmieniała się mentalność: co dozwolone w średniowieczu, było źle widziane za pruderyjnej królowej Wiktorii.

BIEG ZA BILETAMI | Jak to się stało, że Francuzi zgodzili się wypożyczyć Tkaninę? Bo dotąd prośby Londynu, np. przed koronacją Elżbiety II w 1953 r., odrzucali. Tym razem inicjatywa miała wyjść od prezydenta Emmanuela Macrona, jeszcze w 2018 r. Negocjacje trwały dłużej niż brexit, jak żartował Macron, ale się udało.

Tkaninę ubezpieczono na sumę 800 mln funtów, a w zamian Brytyjczycy pożyczyli Francuzom anglosaski skarb z Sutton Hoo i słynne średniowieczne szachy z Lewis. Choć nie obyło się bez protestów: 70 tys. Francuzów podpisało petycję, by wstrzymać tę wymianę; protestowali też niektórzy muzealnicy, obawiający się uszkodzenia artefaktu.

Tkaninę z Bayeux będzie można oglądać w British Museum od 10 września do 11 lipca 2027 r. Lecz zdobycie biletów nie jest łatwe: pulę na ten rok wyprzedano w 24 godziny. ©℗

eprasa.pl 2ed1dec601

Przyszła **emerytura z ZUS** wyniesie 27 proc. pensji. **Co możemy z tym zrobić?**

Do 2060 roku liczba ludności Polski zmniejszy się o 6,5 mln, do zaledwie 30,9 mln [1]. Komisja Europejska szacuje, że na jednego emeryta będzie wówczas przypadać 1,1 pracownika.

Nieuchronnie spadnie więc stopa zastąpienia, czyli relacja między wysokością pierwszej emerytury z ZUS a wysokością ostatniego wynagrodzenia. Komisja Europejska przewiduje, że w latach 2050-2070 wyniesie ona w Polsce 27 proc., a więc znacznie poniżej dzisiejszego poziomu [2].

Wpłaty do Pracowniczych Planów Kapitałowych (PPK) są pomocne, ale nie wystarczą, by odwrócić ten niekorzystny trend. W tej sytuacji samodzielne odkładanie na emeryturę przestało już być jedynie wyborem czy potrzebą. Stało się koniecznością.

Warto wiedzieć, że istnieją rozwiązania ułatwiające takie oszczędzanie na korzystnych warunkach. Można zacząć od **Indywidualnego Konta Emerytalnego, czyli IKE**. Pozwala ono całkowicie uniknąć podatku Belki (jeśli sięgniemy po oszczędności po ukończeniu 60 lat lub po nabyciu uprawnień emerytalnych i ukończeniu 55. roku życia oraz spełnimy dodatkowe warunki). Możemy też wycofać środki wcześniej i wtedy zapłacimy podatek od zysków.

Równie interesującym produktem co IKE jest **Indywidualne Konto Zabezpieczenia Emerytalnego, czyli IKZE**. Wpłaty na to konto możemy odliczać od dochodu w corocznym zeznaniu PIT, dzięki czemu możemy zmniejszyć podstawę opodatkowania i wysokość podatku do zapłaty. Ponadto wypłata na preferencyjnych warunkach z IKZE przysługuje po skończeniu 65 lat, o ile oszczędzaliśmy co najmniej 5 lat. Podatek wynosi wtedy tylko 10 proc. Wcześniejszy zwrot środków też jest możliwy, lecz opodatkowany według skali podatkowej.

Pieniądze na IKE oraz IKZE cały czas pozostają naszą własnością i podlegają dziedziczeniu, co pozwala na wygodne budowanie trwałego majątku.

Wbrew pozorom oszczędzanie w IKE oraz IKZE nie wymaga zasobnego portfela. Można i warto zaczynać od małych kwot, które z czasem urosną do większych sum. Na przykład odkładając na IKE po 500 zł miesięcznie przez 30 lat, wpłacimy łącznie 180 tys. zł. Przy ostrożnym założeniu 4 proc. zysku rocznie nasz kapitał mógłby wzrosnąć do około 344 tys. zł. Jeśli wypłacimy środki po ustawowym terminie, to osiągniemy oszczędność podatkową rzędu 31 tys. zł (kwoty nominalne, bez uwzględnienia inflacji; rzeczywiste wyniki mogą się różnić).

IKE i IKZE w Pekao TFI można założyć w placówkach Banku Pekao S.A. Pekao TFI jest najstarszym polskim towarzystwem funduszy inwestycyjnych. Jego produkty emerytalne uhonorowano godłem „Teraz Polska", przyznawanym rodzimym produktom o udowodnionej jakości. Ponadto w rankingu przygotowanym przez Analizy.pl (dane na czerwiec 2026, dotyczące PPK) fundusze PPK Pekao TFI znalazły się na czele zestawienia.

Oszczędzający na IKE oraz IKZE w Pekao TFI mają do wyboru szeroką gamę funduszy różniących się strategią inwestycyjną. Pozwala to dopasować inwestycję do własnych potrzeb i akceptowanego poziomu ryzyka.

Bo ostatecznie nie chodzi tylko o liczby. Chodzi o spokój i poczucie, że we właściwym czasie zadbaliśmy o przyszłość swoją i najbliższych.

[1] Opracowanie własne Pekao TFI na podstawie danych Głównego Urzędu Statystycznego – „Prognoza ludności na lata 2023–2060" – scenariusz główny.

[2] Komisja Europejska, 2024 Ageing Report. Economic and Budgetary Projections for the EU Member States (2022–2070). Country Fiche Poland, s. 23-24.

Jest to materiał reklamowy. Inwestowanie w fundusz inwestycyjny wiąże się z ryzykami. Przed podjęciem decyzji inwestycyjnej zapoznaj się z prospektem informacyjnym funduszu zawierającym zwięzły opis praw uczestników, Dokumentem zawierającym kluczowe informacje i, w przypadku specjalistycznego funduszu inwestycyjnego otwartego, Informacją dla klienta alternatywnego funduszu inwestycyjnego, które wraz z tabelą opłat znajdziesz w jęz. polskim u podmiotów prowadzących dystrybucję i na **www.pekaotfi.pl**. Warunki uczestnictwa w IKE i IKZE znajdziesz na **www.pekaotfi.pl**. Fundusz nie gwarantuje realizacji założonego celu inwestycyjnego ani uzyskania określonego wyniku inwestycyjnego. Indywidualna stopa zwrotu z inwestycji zależy m.in. od wysokości opłat za zarządzanie oraz podatku od dochodów kapitałowych. Oceny zawarte w materiale wyrażają wyłącznie opinię ich autora. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu kodeksu cywilnego, usługi doradztwa inwestycyjnego, podatkowego ani udzielania rekomendacji dotyczących instrumentów finansowych lub ich emitentów. Pekao Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A. działa na podstawie zezwolenia Komisji Nadzoru Finansowego.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Pekao TFI
Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych

eprasa.pl 2ed1dec601

WIARA

ZDRADZENI PRZEZ KOŚCIÓŁ

Wciąż nie powstała zapowiadana od trzech lat kościelna komisja do zbadania przypadków przestępstw seksualnych. Osoby skrzywdzone czują, że ich krzywda się pogłębia.

MONIKA BIAŁKOWSKA



Pojęcie zdrady instytucjonalnej w zasadzie nie trafiło jeszcze do kościelnego języka. Sformułowała je Jennifer Freyd, amerykańska psycholożka zajmująca się badaniem traumy. Zaczęła od analizy tego, dlaczego dzieci często nie pamiętają nadużyć popełnionych przez osoby, od których są zależne. Odkryła, że mamy tu do czynienia z mechanizmem adaptacyjnym: niepamięć dziecka chroni jego więź z opiekunem, niezbędną mu do przeżycia. Mówiąc inaczej, przeżycie jest dla dziecka ważniejsze niż pamięć o krzywdzie. Tak działa ewolucyjny mechanizm przetrwania.

Z tego właśnie powodu wiele osób przez lata nie tylko nie mówi o tym głośno, ale realnie nie rozpoznaje w wydarzeniach z przeszłości przemocy. Dostrzeżenie zdrady ze strony tego, kto odpowiadał za nasze bezpieczeństwo, jest psychologicznie zbyt kosztowne.

Krzywda wypierana

Z czasem Freyd rozszerzyła swoją teorię poza relację dziecko–rodzic. Zajmując się ogólniej zdradą odkryła, że im bardziej ofiara jest uzależniona od sprawcy, również emocjonalnie, tym większą ma skłonność do tego, żeby nie rozpoznać krzywdy.

Opisała także mechanizm, który zachodzi wtedy, gdy instytucja, której człowiek ufa i od której jest zależny, zamiast chronić go przed krzywdą, aktywnie tę krzywdę pogłębia albo po prostu ją ignoruje. Taka zdrada instytucjonalna działa na kilku poziomach jednocześnie. Może być zdradą aktywną, kiedy instytucja ukrywa sprawcę i dyskredytuje ofiarę. Może być jednak również biernym zaniechaniem. W tym przypadku zdradą będzie na przykład milczenie zamiast udzielenia jakiejkolwiek choćby odpowiedzi. Zdradą instytucjonalną jest również sytuacja, kiedy różnego rodzaju procedury, zamiast wspomagać ofiarę, prowadzą do jej unieważnienia, kiedy służą sobie samym i instytucji, a nie osobie skrzywdzonej.

Badania prowadzone przez Freyd i jej współpracowników pokazują, że ten właśnie rodzaj krzywdy, zadanej przez instytucję, która miała człowieka chronić, bywa dla zdrowia psychicznego ofiar bardziej destrukcyjny niż pierwotne nadużycie. Jakkolwiek brutalnie zatem może to brzmieć, to właśnie milczenie i obojętność Kościoła dzisiaj, odwlekanie spraw, unikanie odpowiedzialności może być dla osób skrzywdzonych bardziej niszczące niż gwałt sprzed lat.

Więcej: trzeba mieć świadomość, jak duża jest zależność człowieka od Kościoła – zależność emocjonalna, duchowa, związana z sensem życia czy nadzieją zbawienia – żeby zrozumieć, jak druzgocąca staje się w tej sytuacji instytucjonalna zdrada. Jeśli instytucja, która miała być gwarantem prawdy i miłości, staje przeciwko człowiekowi, człowiek ten traci w życiu naprawdę wszystko.

Historia działań pozornych

To właśnie przez pryzmat zdrady instytucjonalnej trzeba zacząć patrzeć na to, jakie działania podejmuje, a jakich nie podejmuje Kościół w Polsce wobec osób skrzywdzonych przemocą seksualną w jego strukturach.

Zacznijmy od liczb, których prawie nie ma, bo dysponujemy jedynie fragmentarycznymi danymi. Wiemy, że od kiedy Episkopat wprowadził pierwsze proce-

eprasa.pl 2ed1dec601



HENRYK PRZONDZIONO / GOŚĆ NIEDZIELNY / FORUM

Zebranie plenarne KEP, pamiątkowe zdjęcie przed katedrą. Katowice, 11 czerwca 2026 r.

dury, do polskich kurii wpłynęło kilkaset zgłoszeń dotyczących przemocy seksualnej duchownych wobec małoletnich. Wiemy, że sytuacja dotycząca dorosłych jest dokumentowana znacznie gorzej, bo istniejące procedury skupiają się głównie na dzieciach. Przypadki dorosłych wpadają w prawną i instytucjonalną szarą strefę, w większości zapewne nie są nawet zgłaszane. Nie ma żadnego niezależnego ciała, które zbierałoby, weryfikowało i publikowało wszystkie dane dotyczące krzywd. Konferencja Episkopatu Polski powołała delegata do spraw ochrony dzieci i młodzieży, ale jego kompetencje są ograniczone, sam system zaś pozostaje wewnętrzny, a co za tym idzie – nieautonomiczny i nieprzejrzysty.

W 2023 r. KEP po długich naciskach ogłosiła plany powołania niezależnej komisji do badania przypadków pedofilii i przemocy seksualnej w Kościele. Komisja miała być wzorowana na podobnych ciałach działających w Niemczech, Francji czy Irlandii, gdzie niezależne instytucje, finansowane przez Kościół, ale działające autonomicznie, przeprowadziły systemowe badania skali zjawiska i opublikowały raporty. Raport francuski z 2021 r. był dla Kościoła w tym kraju wstrząsem. Komisja oszacowała, że ofiarami duchownych padło od 1950 r. nawet 330 tys. osób. Raport ten nie powstał z dobrej woli ze strony Kościoła, ale jako skutek zewnętrznych nacisków, wieloletnich batalii prawnych, a przede wszystkim odwagi osób, które przez dekady walczyły o to, żeby ich krzywda została nazwana po imieniu.

W Polsce po zapowiedziach powołania komisji niewiele się wydarzyło. Do wiernych dociera wiele słów, które zdają się maskować prawdziwą sytuację. Słyszymy o uwagach prawników, o zmianie odpowiedzialnych za stworzenie komisji, o tajemniczym kandydacie, nad którego przyjęciem i odrzuceniem biskupi będą rozmyślać przez kolejne miesiące, ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ bo przecież przyszły wakacje, a następne posiedzenie KEP odbędzie się późną jesienią. Biskupi zgodnym głosem powtarzają banały o trudnościach organizacyjnych, o potrzebie czasu, o kolejnych konsultacjach. Te uniki zaczynają wyglądać na świadomie przyjętą strategię.

Czego boją się biskupi

Prawdziwie niezależna komisja, działająca na wzór tych, które powstały w Niemczech czy Francji, musiałaby uzyskać dostęp do akt kurii, do akt personalnych duchownych, do dokumentacji postępowań wewnętrznych, protokołów ze spotkań, w których decydowano o przeniesieniu kapłana do innej parafii. Taka komisja musiałaby również zadawać pytania o system: jakie były wzorce postępowania, kto radził sobie z nimi lepiej, a kto gorzej, czy istniała sieć wzajemnej ochrony, czy odbywało się to na zasadzie zgody domyślnej, rezygnacji z trudnych pytań? Czy, kiedy i w jaki sposób była informowana nuncjatura apostolska? Ile informacji naprawdę docierało do Rzymu?

Odpowiedzi na te pytania nie szuka w Kościele w Polsce nikt poza skrzywdzonymi i stającymi po ich stronie dziennikarzami. Coraz wyraźniejsze staje się, że Kościołowi jako instytucji na tym zwyczajnie nie zależy. I trudno stwierdzić, dlaczego nie zależy. Czy rzeczywiście jest tak, że wszyscy „mają trupy w szafie" i zwyczajnie się boją: o pieniądze, o wstyd, o własne dobre imię? Czy rzeczywiście i szczerze obawiają się, że to jeszcze bardziej zaszkodzi wizerunkowi Kościoła? A może nadal uważają, że zachowanie jedności i wizerunku jest ważniejsze niż przyznanie sprawiedliwości skrzywdzonym?

Przemoc nie tylko seksualna

W debacie o przemocy seksualnej w Kościele w Polsce dominuje, słusznie, troska o dzieci i młodzież. Pedofilia jest przestępstwem, kodeks kanoniczny po reformach stawia tę sprawę relatywnie jasno, a presja społeczna i prawna jest wystarczająco duża, żeby Kościół musiał w tej sprawie pokazywać, że coś robi – nawet jeśli pokazywanie i robienie to nie zawsze to samo.

Znacznie trudniej jest z przemocą seksualną wobec dorosłych, choć i na to mamy stosowne paragrafy. Jeszcze trudniejszym tematem staje się przemoc duchowa, realna, ale nie ujęta w żadnych wyraźnych paragrafach czy kanonach. Nie tylko niezwykle trudno ją udowodnić, ale również w samej strukturze Kościoła istnieją narzędzia, które pomagają takiej przemocy nie widzieć.

> Bycie zdradzonym przez instytucję, która miała człowieka chronić, bywa dla zdrowia psychicznego skrzywdzonych **bardziej destrukcyjne niż pierwotne nadużycie.**

Kobieta mówiąca, że ksiądz ją wykorzystał czy skrzywdził – w konfesjonale, w kierownictwie duchowym, w relacji, w której jej uległość była przez niego budowana miesiącami – słyszy najczęściej, że przecież była dorosła. Mogła powiedzieć „nie". Mogła odejść. W takich słowach ujawnia się fundamentalne nierozumienie tego, czym jest przemoc w kontekście władzy kościelnej. Dorosłość biologiczna nie jest tu żadnym argumentem. To nie wiek, ale psychologiczna dynamika relacji z autorytetem duchowym, szczególnie w przypadku osób w kryzysie, po traumie, szukających sensu, wytwarza zależność porównywalną z tą, którą przeżywają dzieci. Z tego właśnie powodu również dorośli, wykształceni, bardzo gorliwi religijnie ludzie przez długi czas nie przyznają sami przed sobą, że to, co ich spotyka, jest przemocą – bo straciliby wówczas swój główny punkt odniesienia, straciliby sens.

Motu proprio papieża Franciszka „Vos estis lux mundi" z 2019 r., zaktualizowane w 2023 r., wprowadziło wprawdzie kategorię „osób wrażliwych", czyli dorosłych, których zdolność do samoobrony może być ograniczona ze względu na sytuację życiową, chorobę, zależność emocjonalną. Stosowanie tych przepisów w Polsce pozostaje jednak niekonsekwentne, a procedury istnieją wyłącznie na papierze i w praktyce wciąż bardziej chronią strukturę niż człowieka. Na dodatek w VELM dotyka się tylko jednego rodzaju krzywdy: krzywdy seksualnej. Tam, gdzie osoba nie została skrzywdzona w ten sposób, nadal nie widzimy żadnej innej krzywdy.

Wyjątki, nie reguła

Zdrada instytucjonalna, której świadkami jesteśmy właśnie w Kościele w Polsce, to prawdopodobnie nie rezultat wyłącznie złej woli poszczególnych biskupów. Są tacy (niewielu, ale jednak), którym zależy na stanięciu po stronie skrzywdzonych. Pojawiają się też prekursorskie działania. 2 lipca kard. Grzegorz Ryś powołał Komisję „Wysłuchanie i Wyjaśnienie", która ma badać wykorzystanie seksualne w Kościele krakowskim dorosłych osób bezbronnych i zależnych. Do pracy metropolita krakowski zaprosił troje ekspertów z komisji „Wyjaśnienie i Naprawa", powołanej w październiku 2024 r. przez bp. Artura Ważnego dla badania wykorzystania seksualnego w diecezji sosnowieckiej. W lutym br. ta właśnie komisja opublikowała pierwszy w Polsce raport o wykorzystaniu seksualnym małoletnich. Obecnie kończy raport dotyczący skrzywdzonych osób dorosłych zależnych. Jeszcze jako metropolita łódzki w październiku 2025 r. kard. Ryś, nie mogąc doczekać się komisji ogólnopolskiej, powołał niezależną komisję historyczną do badania przypadków nadużyć seksualnych w archidiecezji łódzkiej od 1945 r.

Te nieliczne pozytywne przykłady nie są jednak w stanie szybko zmienić kultury instytucji, która przez dziesiątki lat powtarzała określony model reagowania: chroniła strukturę, ignorowała skutki skandali, reinterpretowała krzywdę, nazywając ją „grzechem" albo „słabością" księdza. To właśnie w ten model reagowania wpisują się powtarzane nadal przez wielu argumenty: „to były inne czasy", „ksiądz się zmienił", „nie możemy niszczyć człowiekowi życia przez jeden błąd".

To w kulturze instytucji Kościoła wyrosła postawa dziesiątek księży pytających: „dlaczego mamy płacić za pedofilów?" (chodzi o składki na Fundację św. Józefa wspierającą osoby skrzywdzone), a nie stawiających sobie pytania, komu realnie przekazywane przez nich pieniądze pomagają. To w tej kulturze wychowano tysiące wiernych, którzy zamiast reagować na krzywdę jeśli nie współczuciem, to przynajmniej uwagą, reagują zarzutem: „dlaczego przypomniał sobie o tym tak późno?".

eprasa.pl 2ed1dec601

Każda z tych reakcji składa się na mechanizm instytucjonalnej zdrady, kiedy osoba raz skrzywdzona zaczyna rozumieć, że ze swoim bólem nie ma do kogo iść.

Ślepota zdrady

Jednym z mechanizmów, który Freyd opisuje jako kluczowe dla funkcjonowania systemów przemocowych, jest tak zwana *betrayal blindness*, czyli ślepota zdrady. Jest to mechanizm, który powinien zapalać w Kościele bardzo wyraźną lampkę alarmową, a którego zdaje się zupełnie nie jesteśmy świadomi. Chodzi o coś prostego, ale zarazem przerażającego: ludzie, którzy zdradzają lub współuczestniczą w zdradzie, często nie postrzegają siebie jako zdrajców. Mechanizmy instytucjonalne, kultura organizacyjna i system wartości, w których funkcjonują, sprawiają, że widzą swoje działanie zupełnie inaczej.

Biskup, który przenosił księdza do innej parafii zamiast powiadomić prokuraturę, nie musiał być cynicznym człowiekiem. Mógł być – czasem nadal jest – przekonany, że chroni w ten sposób zarówno wielu wiernych, jak i samego kapłana: daje mu szansę nawrócenia, unika skandalu, który mógłby zniszczyć wielu innych. W jego narracji wewnętrznej to nie zdrada ofiary, ale duszpasterska troska, miłosierdzie albo po prostu działanie zgodne z tym, jak ów biskup przez lata rozumiał swoje zadanie: ma chronić Kościół przed skandalem, bo Kościół jest większy niż jednostka. To narracja oczywiście błędna i krzywdząca, ale w wielu sytuacjach nadal obecna.

Świadomość działania mechanizmu ślepoty zdrady nie służy tutaj oczywiście apologii biskupów i próbie ich usprawiedliwienia. Jest jednak prostą diagnozą, jak to działało oraz jak i dlaczego nadal w wielu miejscach działa.

Ślepota zdrady dotykać też może całych wspólnot. Ludzie lojalni wobec instytucji, ale też ludzie po prostu głęboko wierzący i również emocjonalnie zaangażowani we wspólnotę, parafię czy zgromadzenie często nie są w stanie dostrzec i przyjąć tego, że w ich grupie komuś dzieje się krzywda. Zamiast tego dostrzegają to, że ofiara „przesadza", że jest niestabilna, że zmanipulowały nią „siły wrogie Kościołowi" albo że z jakiegoś powodu próbuje się mścić.

Postawa taka znów nie wynika z cynizmu czy złej woli, ale z psychologicznej niemożności połączenia dwóch prawd: że grupa, którą kochamy i w której znajdujemy dla siebie dobro, komuś innemu mogła zrobić coś złego.

Cena do zapłacenia

W tym kontekście wróćmy do komisji KEP, która od dłuższego czasu próbuje powstać i która, dzięki kolejnym działaniom biskupów, już teraz w oczach wielu utraciła swoją wiarygodność. Niezależnie od intencji przyświecających poszczególnym biskupom, efekt jest jednoznaczny i wysyła do osób skrzywdzonych równie jednoznaczny komunikat: twoja krzywda nie jest wystarczająco ważna, żeby się nią naprawdę zająć. Twoja krzywda nie jest naszym priorytetem.

Kolejni zgorszeni i zasmuceni ludzie odchodzą od Kościoła zranieni i zdradzeni. Często tracą również wiarę w Boga: bo jak wierzyć w Miłość, kiedy w Kościele nie patrzy się na człowieka z miłością? Freyd pisze, że zdrada instytucjonalna jest szczególnie niszcząca dlatego, że uderza w fundamentalną zdolność człowieka do zaufania systemom, od których jest zależny. Kiedy rodzic zawodzi dziecko, dziecko uczy się nie ufać rodzicom. Kiedy Kościół zawodzi dorosłego wierzącego, ten uczy się nie ufać Bogu.

Właśnie w tym miejscu, gdzie ofiara traci wiarę, bo Kościół ją zranił i nie okazał żalu, ujawnia się pełna cena zdrady instytucjonalnej. Jej ceną jest ostatecznie utrata wiarygodności Kościoła: kiedy Kościół w praktyce okazuje się zupełnie inny, niż sam siebie głosi.

W debatach o krzywdzie w Kościele często używa się argumentu kosztów. Ile to będzie kosztowało? Ile czasu musi to zająć? Jakie skutki pociągnie? Jak to wpłynie na wizerunek Kościoła? Te pytania są zasadne, tyle że odpowiedzi wciąż szukamy w złym miejscu.

Pytanie o koszty poniesienia odpowiedzialności za krzywdy z przeszłości zadawane jest z perspektywy instytucji. Zapytać należałoby raczej, kto płaci cenę braku owej odpowiedzialności? Odpowiedź będzie brutalnie prosta: płacą ją ludzie skrzywdzeni. Płacą ci, którzy w Kościele i często w imię Boga doświadczyli zła i pozostawiono ich z tym samych. Płacą rodziny, które widziały, jak ich bliscy tracili grunt pod nogami.

Płaci też – i warto to powiedzieć wprost – sam Kościół, choć jeszcze nie rozumie, jak wysoka to będzie cena. Badania z krajów, w których skandale wybuchły z pełną siłą, z Irlandii, Australii, USA czy Francji, pokazują, że utrata zaufania do instytucji kościelnych następuje wolno, ale jest głęboka i trudna do odwrócenia. Każde kolejne opóźnienie komisji KEP, każde kolejne milczenie w sprawie konkretnych przypadków, każda kolejna próba ochrony sprawcy jest inwestycją w ten właśnie proces.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

POŻEGNANIE

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość, że 15 lipca w wieku 53 lat zmarł

prof. Piotr Oczko

wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego,
wybitny znawca kultury holenderskiej,
kawaler orderu Oranje-Nassau,
autor kochanych przez czytelników książek o sztuce.

Z urodzenia Krakowianin-Podgórzanin, z serca tęczowy feminista,
z talentu obywatel wiecznej republiki uczonych.
Cenił i kolekcjonował piękne przedmioty. Był dobrym i hojnym
przyjacielem. Żył na swoich zasadach.

Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Przyjaciele z Miesięcznika i Wydawnictwa ZNAK

eprasa.pl 2ed1dec601

Ciekawe miejsce dla teologów

MAGDALENA LAJEWSKA

EKUMENIZM | W Białorusi Wschód spotyka się z Zachodem. W efekcie prawosławie jest trochę katolickie i katolicyzm trochę prawosławny.

Sama bym tego nie wymyśliła. Co dwa tygodnie smażę stertę naleśników dla całej rodziny i o wpół do czwartej rano wyruszam w drogę. Moja wieś, Mohylew, bus do Mińska. Potem autobus 148c i wreszcie – Kolegium Teologiczne im. św. Jana Chrzciciela. Wieczorem mąż odbiera mnie z przystanku. Jestem wykończona i szczęśliwa.

W 2025 r. zostałam studentką katolickiej teologii. Od lat fascynowała mnie Biblia, ale drażniło traktowanie jej wyłącznie jako zbioru moralnych recept: co jeść i jak się ubierać. Intuicja podpowiadała mi, że Pismo Święte to przestrzeń wolności i dialogu. Gdy wahałam się z powodu logistyki i finansów, a przepadł mi pierwszy termin, zadzwonił ksiądz biskup z informacją o drugim terminie naboru. Poleciałam jak na skrzydłach.

Królowa nauk

Zdałam egzamin wstępny. Następnego dnia poszłam po zaświadczenie do przychodni. Pielęgniarka zapytała, kim będę po skończeniu kolegium. „Teologiem". „Technologiem?". „Nie, teologiem". „Teologiem? 30 lat pracuję w tej przychodni i pierwszy raz słyszę taką specjalność".

A przecież niegdyś teologię nazywano „królową nauk" – to ona nadawała sens filozofii czy medycynie. Już dawno jednak teologia zeszła z tronu. Stała się raczej towarzyszką w nienazwanym jeszcze doświadczeniu Boga. Często wydaje się „zamknięta" w podręcznikach, przez co traci dawny ogień, no i do tego nie można na niej zarobić. Może właściwa więc była intuicja pielęgniarki, że obecnie „królową nauk" jest technologia? Kto by pomyślał, że w IV wieku na targowiskach Konstantynopola zwykli rzemieślnicy spierali się o współistotność Osób Boskich!

Studia w Mińsku rzuciły mnie w sam środek sporu o *filioque*. Zawsze myślałam, że katolicyzm różni się od prawosławia głównie obrzędem, estetyką, stosunkiem do papieża i dogmatem o Niepokalanym Poczęciu. Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że od wieków zarzewiem konfliktu była właśnie formuła *filioque*! Czemu nie słyszałam o tym na katechezie? Przepytałam znajomych z Polski – okazuje się, że tylko teolodzy wiedzą, o co chodzi.

Współczesne wyznanie wiary powstało na soborach: nicejskim (325 r.) i konstantynopolitańskim I (381 r.). Obowiązywała wówczas formuła mówiąca, że Duch Święty pochodzi od Ojca. Święty Augustyn sformułował później tezę, że pochodzi „od Ojca i Syna". Rzym oficjalnie przyjął tę formę do liturgii na początku XI wieku, natomiast Wschód pozostał przy pierwotnej wersji. Spór o *filioque* (dosłownie: „i od Syna"), obok kwestii użycia przaśnego chleba i prymatu papieża, stał się oficjalną przyczyną schizmy z 1054 r. Co ciekawe, Jan Paweł II odegrał przełomową rolę w łagodzeniu tego sporu – uznał pierwotny tekst za fundament jedności i w 1995 r. w Rzymie odmówił Credo z patriarchą Bartłomiejem I bez tego dodatku. Tak samo modlą się grekokatolicy. Coś, co przed wiekami rozpalało krwawe emocje, okazało się możliwe do pogodzenia.

Jezus w Starym Testamencie

Przygotowując się do zaliczenia z „Wprowadzenia do Pisma Świętego", musiałam opanować skróty biblijne. Przy szóstej księdze nie mogłam uwierzyć własnym oczom: Księga Jezusa Nawina, skrót „Naw.". Jezus w Starym Testamencie? Sięgnęłam po polską Biblię – chodzi oczywiście o Księgę Jozuego. Hebrajskie imię *Jehoszua* nosił zarówno następca Mojżesza, jak i Jezus z Nazaretu. Rozróżnienie utrwaliło się dopiero w łacińskiej Wulgacie, gdzie św. Hieronim dla postaci ze Starego Testamentu użył formy *Iosue*, a dla Zbawiciela – *Iesus*.

W samej Biblii na nowo spotykam dawnych znajomych, wypisuję sobie w zeszycie ich imiona i tworzę podwójne paszporty. Eliasz – Illia. Tomasz – Foma. Betszeba – Wirsawia. Mateusz – Macwiej. Józef – Jazep. Zastanawia mnie samo imię Bogarodzicy: po polsku Maryja, a tam – Maria. Na Wschodzie nie ma tego ścisłego rozróżnienia na „sakralną" Maryję i „zwyczajną" Marię. Wszystkie dziewczyny są Mariami, a dziewczynki Maryjkami albo Maszami. Często forma imienia zależy po prostu od tradycji: katolickiej, prawosławnej czy protestanckiej. Istnieją aż cztery warianty imienia Jezus w różnych tłumaczeniach: *Езус*, *Icyc*, *Ісус* i *Iicyc*.

Pamiętam, jak pracując w szkole, opowiadałam uczniom o Bożym Narodzeniu. Byli zdziwieni, że Betlejem w języku polskim się nie odmienia! Maryja i Józef poszli do Betlejem. Jezus urodził się w Betlejem. Czemu nie do Betlejemu i nie w Betlejemie? Jak do Sztokholmu i w Sztokholmie? Słownikowe tłumaczenie mówi, że to przez wzgląd na wyjątkowość świętego miasta. Jednak ta intencja nie do końca się sprawdziła – dziś nie odczuwamy nieodmienności jako formy kultu, w ogóle jej nie zauważamy. Dopiero kontakt z językiem białoruskim uświadomił mi tę różnicę. We wschodniej tradycji językowej dystans między *sacrum* a *profanum* wydaje się mniejszy.

Czy Duch Święty pochodzi od Ojca przez Syna, czy od Ojca i Syna – można dyskutować. Na Wschodzie przyimek, na Zachodzie spójnik. Na Wschodzie chleb na zakwasie – na Zachodzie bez zakwasu. Na Wschodzie czerwone wino – na Zachodzie białe (by tak nie plamić ręczników). Na Wschodzie do wina dodaje się wrzątek – na Zachodzie wodę w temperaturze pokojowej. Na Wschodzie zawsze Komunia pod dwiema postaciami – na Zachodzie najczęściej pod jedną. Na Wschodzie Komunia z łyżeczki – na Zachodzie do ust lub na rękę. Na Wschodzie nie ma ławek, trzeba stać – na Zachodzie

eprasa.pl 2ed1dec601



ALEXANDER NEMENOV / AFP / EAST NEWS

Kościół katedralny katolickiej archidiecezji mińsko-mohylewskiej. Mińsk, 22 lipca 2022 r.

są ławki, można siedzieć. W tym zestawieniu Wschód jawi się jako bardziej tradycyjny, wierny, dokładny, kontemplacyjny, wymagający i mniej komfortowy. Zachód jest bardziej nowoczesny, analityczny, dążący do zrozumienia, praktyczny, przystępny i otwarty na reformy.

Wzajemne wpływy

W Białorusi Wschód spotyka się z Zachodem, zarówno w prawosławiu, jak i w katolicyzmie. Prawosławie jest trochę katolickie i katolicyzm jest trochę prawosławny. Widać to np. w czasie postów. Posty prawosławne są o wiele surowsze od katolickich, w sklepach w tym okresie pojawiają się produkty z etykietką „postny", np. majonez postny, jogurt postny, herbatniki postne, które kupują również katolicy.

Czy prawosławie zmienia się pod wpływem katolicyzmu? Na pewno na poziomie rodzinnym, gdy dwie wiary śpią na jednej poduszce. Wtedy zamówienie mszy 30 oraz 40 dni po śmierci lub świętowanie Radunicy i dnia Wszystkich Świętych, katolickiego i prawosławnego Bożego Narodzenia jest całkiem naturalne. Z autopsji znam tylko jeden przykład wpływu katolicyzmu na prawosławie na nierodzinnym poziomie – prawosławne ruchy prorodzinne nauczają naturalnych metod planowania rodziny, które poznały dzięki katolikom.

Przykładem żywego ekumenizmu była moja teściowa. Wychowała się w prawosławiu, w latach 2000. słuchała protestanckich pastorów w telewizji, pod wpływem syna przyszła do Kościoła. W swoim pokoju trzymała w kącie ikonę otuloną w ręcznik, znała modlitwy katolickie, prawosławne, cytowała Biblię z pamięci. Kiedy urodziła się nasza najstarsza córka Alina, lekarze zdiagnozowali przepuklinę i wyznaczyli datę operacji. Przyjęłam to spokojnie, a moja teściowa przed samym wyjściem z domu na operację zaczęła się modlić o uzdrowienie. Myślałam wtedy: „Przecież to standardowa operacja, po co się modlić, Alina nie jest chora, to zwykły zabieg i w ogóle przepuklina pachwinowa nie może sama zniknąć". W szpitalu lekarze z niedowierzaniem zbadali Alinę i powiedzieli, że możemy wracać, zniknęły wskazania do operacji. Wtedy pierwszy raz pomyślałam, że ten białoruski katolicyzm jest fascynujący, nie tylko katolicki: bywa ludowy, prawosławny, protestancki. A może to ja mam takie wąskie rozumienie katolicyzmu?

Nie istnieje przecież jedna, lepsza formuła; wszystko może obrócić się przeciwko Duchowi – zarówno radykalny tradycjonalizm (muzeum), jak i bezkrytyczny modernizm (rozrywka).

Kiedy napisałam o swoich rozważaniach do bliskiej przyjaciółki, karmelitanki bosej z Wrocławia, odpisała mi: „Zaskakujące, że możesz studiować teologię tam, gdzie wydaje się to niemal niemożliwe". A ja myślę dokładnie odwrotnie. Białoruś ze swoim stykiem tradycji, pokorą wobec wielu wariantów jednego imienia, brakiem dystansu między językiem a świętością, ze swoją trudną współczesnością jest idealnym miejscem do studiowania i uprawiania teologii. ©

Autorka (ur. 1981) ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, pochodzi z Poznania. W 2006 r. wyjechała na Białoruś jako nauczycielka języka polskiego. Razem z mężem mieszka pod Mohylewem.

eprasa.pl 2ed1dec601

O. WACŁAW

Oszajca:
Poławiacze pereł



Kto reformuje Kościół? – pytanie, które znowu szczególnie ostro wybrzmiało podczas święceń biskupich czterech mężczyzn z Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X. Odpowiedź wydaje się prosta – Bóg. Bóg żydów i chrześcijan nie robi tego samodzielnie, gdyż nie potrafi działać inaczej, jak wspólnie z ludźmi. Nie może właśnie dlatego, że jest wszechmocny. Z nami jest inaczej. Nie jesteśmy wszechmocni.

Paweł Apostoł z całą mocą mówi: „Jestem pewny, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani władze, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani moce, ani wysokości, ani głębie, ani jakiekolwiek inne stworzenie nie zdoła nas oddzielić od miłości Boga, objawionej w Chrystusie Jezusie, naszym Panu”. Po prostu, wszechmoc Boga polega na tym, że nie potrafi On zmienić swego nastawienia do rzeczywistości. W Księdze Mądrości czytamy: „Cały świat jest dla Ciebie jak maleńki ciężarek na wadze, jak kropla rosy, co spada rankiem na ziemię. Nad wszystkimi się litujesz, bo dla Ciebie wszystko jest możliwe, nie skupiasz wzroku na ich grzechach, by dać im możliwość nawrócenia. Kochasz wszystko, co istnieje, nie brzydzisz się żadnym swoim dziełem, bo gdybyś miał nienawidzić któreś z nich, to byś go nie stworzył. Czy mogłoby coś trwać, gdybyś tego nie chciał? Jakże coś by się ostało, gdybyś wciąż tego nie wzywał do istnienia? Troszczysz się o wszystko, gdyż wszystko należy do Ciebie, Władco, Przyjacielu życia!”. To właśnie dlatego, że: „Tak bardzo Bóg umiłował świat, iż dał swojego jednorodzonego Syna, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, lecz miał życie wieczne”. Bóg reformuje więc swój Kościół nie sam jeden, ale przez współdziałanie z tymi, którzy uwierzyli w Jego miłość. Ale co się dzieje, gdy odmawiamy współpracy z Bogiem? Bóg nadal robi swoje. Dowód?

W Polsce posługuje już 163 diakonów, żonatych mężczyzn i robi to ten sam Kościół, który jeszcze wczoraj uważał to za niemożliwe. Dlatego dajmy spokój lefebrystom, nie oni pierwsi i pewnie nie ostatni, przypomnijmy sobie, jak po I Soborze Watykańskim powstali starokatolicy. Niech lefebryści idą swoją drogą. Przecież ekumenizm nie jest taktyczną zagrywką, ale zwyczajnym sposobem działania Kościoła. Nie ma co łatać dziur, skoro wciąż w Kościele i poza nim rodzą się piękne perły i dorodne ryby dla poławiaczy i rybaków. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Nie teraz



W niedawne święto św. Benedykta Kościół podczas Liturgii czytał jego życie – i nasze – fragmentem Ewangelii św. Mateusza dokumentującym szczególny dialog Jezusa z Apostołami. Piotr w imieniu uczniów pyta: „Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą, cóż więc otrzymamy?”. Jezus odpowiada zasadą: „Każdy, kto dla mego imienia opuści dom, braci, siostry, ojca, matkę, dzieci lub pole, stokroć tyle otrzyma i życie wieczne posiądzie na własność” (zob. Mt 19, 27-29). Wcześniej wszakże ogłasza jeszcze inną obietnicę: „Przy odrodzeniu, gdy Syn Człowieczy zasiądzie na swym tronie chwały, wy, którzy poszliście za Mną, zasiądziecie również na dwunastu tronach, aby sądzić dwanaście szczepów Izraela” (w. 28).

Kluczowe w tej obietnicy jest określenie czasu: „przy odrodzeniu”, „gdy Syn Człowieczy zasiądzie na swym tronie chwały” – to znaczy nie teraz! Pan nam nie daje teraz władzy sądzenia. Aż strach pomyśleć, co by się działo, gdyby nam ją dał. Nie mamy ani prawa, ani kompetencji, ani umiejętności. Dokąd się nie odrodzimy!

Tak długo, jak długo trwa w nas stary człowiek – nigdy nie osądzamy w prawdzie. Mylimy się co do osoby, łatwo zapominamy, że wszystko, co w niej najważniejsze, jest przed nami zakryte, nie znamy jej motywów, nie znamy historii życia i wpisanych w nią możliwości, nie znamy jej domu, szkoły, środowiska – tysiąca rzeczy, które uformowały ją na takiego, a nie innego człowieka. Wszystko, co wiemy, to jakieś przerażające *pars pro toto*. Dokąd się jednak nie odrodzimy, wyrokujemy o innych i o ich działaniach z pewnością, której kiedyś będziemy głęboko się wstydzić.

Tak jak mylimy się co do drugich, tak pewnie nieraz mylimy się głęboko co do nas samych. Stanowczo za łatwo nazywamy naszym obiektywizmem coś, co nim z całą pewnością nie jest. Nasze „dobre intencje” nierzadko kryją w sobie i drugie, i trzecie dno... Najważniejsze jednak jest to, że Jezus wyraźnie mówi: nie spodziewajcie się tronów jako nagrody za opuszczenie wszystkiego i pójście za Mną. Teraz nie jest chwilą tronów – teraz jest chwilą służby! Bez „odrodzenia” nie sięgajcie po żadną władzę, byście nie krzywdzili ludzi... ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 2ed1dec601

REKLAMA

NOHO™
INVESTMENT





ARCHITEKTURA DOŚWIADCZEŃ. ODKRYJ STYL ŻYCIA NOHO.





NOHOINVESTMENT.COM

WARSZAWA | KRAKÓW | WROCŁAW | KATOWICE

eprasa.pl 2ed1dec601

PSYCHE

OSOBISTA HISTORIA CHOROBY

Po diagnozie zmienia się sposób patrzenia na świat.
Rzeczy nieistotne odchodzą,
pojawia się ciekawość „tu i teraz".

MAREK MIGALSKI

Pobyt w więzieniu, wojna, śmierć bliskiej osoby. To doświadczenia graniczne, całkowicie zmieniające życie i sposób patrzenia nań. Demolują dotychczasowy ogląd rzeczywistości, rewidują wyznawane wartości, skłaniają do powtórnego przyjrzenia się światu. I samemu sobie.

Doświadczeniem granicznym jest też choroba nowotworowa.

W moim przypadku wszystko zaczęło się w październiku zeszłego roku, gdy po zabiegu kolonoskopii, zafundowanym samemu sobie w ramach „okresowego przeglądu technicznego", któremu winien podlegać każdy po pięćdziesiątce, zostałem poinformowany przez lekarza, że wykrył w moim jelicie grubym zmianę nowotworową i że ma ona już charakter operacyjny. Było to coś, czego się zupełnie nie spodziewałem – uprawiałem sport, jadłem zdrowo (prawie wyeliminowałem ze swojej diety mięso), nie skarżyłem się na żadne dolegliwości. Ok, pijałem czerwone wino – ale nie w nadmiarze (zwłaszcza jak na polskie warunki). Oczekiwałem więc, iż po badaniu lekarz powie mi, że jestem „czysty" i że widzimy się za pięć lat.

Rokowania

Nie od razu dotarło do mnie, że mam raka. Reakcja przewidywalna i często opisywana – wyparcie, niezgoda, niedowierzanie. Ten okres nie trwał długo, bo następnego dnia już zrozumiałem, w jakiej sytuacji się znalazłem i co powinienem zrobić. Tym czymś, co chyba oczywiste, była wola walki z nowotworem i to z pomocą medycyny i nauki, a nie filipińskich szamanów czy rodzimych hochsztaplerów. Czekałem na wyniki badań histopatologicznych, które miały albo zaprzeczyć obecności w moim organizmie tego świństwa, albo ostatecznie potwierdzić diagnozę wydaną przez lekarza przeprowadzającego kolonoskopię.

Po trzech tygodniach przyszły wyniki. Co prawda wskazywały jasno, że mam raka, ale po pierwsze, regionalnego, czyli usytuowanego tylko w jelitach, a po drugie mało złośliwego (tzw. *low grade* na poziomie drugim, w czterostopniowej skali). Miałem zatem nowotwór, ale wykryty na wczesnym etapie i o niskiej inwazyjności. Rokowania? 80 proc. szans przeżycia następnych pięciu lat. W sumie nieźle – pomyślałem.

Miesiąc później miałem operację usunięcia 25 centymetrów jelita. Wszystko odbyło się tak, jak trzeba, a ja dzień po tym wydarzeniu już stałem na nogach. Szybko dochodziłem do siebie i rychło wypisano mnie ze szpitala. Wiele wskazywało na to, że chyba uda mi się wyjść z tego cało. Zwłaszcza że jak na pacjenta onkologicznego, byłem... młody. Żartowałem z personelem medycznym, że warto było zachorować, by usłyszeć coś takiego.

Najgorszy moment

Ale potem nastał 3 grudnia. Przyszły wyniki badania histopatologicznego, z którego wynikało, że po pierwsze mam przerzuty do węzłów chłonnych, a po drugie, że zmienił się „grade" mojego raka – z dwójki przeskoczył na trójkę. Co to oznaczało? Że według medycznych definicji mam zaawansowany stopień choroby nowotworowej o wysokiej złośliwości oraz że moje szanse na przeżycie pięciu lat spadły do 50 proc.

To był najgorszy moment w całej historii mojej walki z rakiem. Gorszy nawet niż ten, w którym dowiedziałem się o trawiącej mój organizm chorobie. Wtedy chronił mnie szok (i niewiedza), teraz wszystko było jasne. Nie muszę chyba dodawać, że święta nie należały do najszczęśliwszych.

W takim nastroju przystąpiłem do chemioterapii. I to był ważny moment w mojej historii, bo mogłem powiedzieć, że o ile do tej pory rak dojeżdżał mnie, o tyle teraz to ja dojeżdża-

eprasa.pl 2ed1dec601



ARCHIWUM PRYWATNE

Marek Migalski podczas chemioterapii, grudzień 2025 r.

łem raka. Bardzo zmieniło to mój nastrój. Poprawiło go. Miałem poczucie sprawczości, prowadzenia walki, zadaniowości. Bój o życie wyszedł z fazy użalania się nad sobą i czytania w necie o szansach przeżycia, a wszedł w tryb wojny z tym, co mnie powoli zabijało od środka.

Jak się później okazało, chemioterapia była gorsza, niż miałem nadzieję, ale lżejsza, niż się obawiałem. W czasie jej trwania doświadczyłem połowy skutków ubocznych – i to jest zła wiadomość. Dobrą było to, że... nie doświadczyłem połowy skutków ubocznych.

Stawka

Moja pierwsza refleksja na temat wojny z chorobą nowotworową brzmiała: „to stałe *ups and downs*, wzloty i upadki, euforia przemieszana z depresją". Bo podczas terapii co chwila dostajemy dobre wieści, które zaraz potem zastępowane są przez złe.

W październiku dowiaduję się, że mam raka, ale trzy tygodnie później okazuje się, że jest mało zawansowany i o niskiej złośliwości. W grudniu już wiem, że jednak to zaawansowana faza i wysoka złośliwość. Pod koniec roku mam pierwszą chemię, więc cieszę się, że ruszamy do walki, ale przed drugą lekarze informują mnie, że gwałtowanie spadły mi leukocyty i musimy na tydzień przerwać terapię. Następne sesje przebiegają jednak już według harmonogramu, ale za to pojawiają się pierwsze skutki uboczne i związany z tym ból. Leki jednak osłaniają mnie i można kontynuować chemię. Na badaniach USG wychodzi, że mogę mieć przerzuty na prostatę, ale przyjrzenie się temu dwa tygodnie później tomografem komputerowym i rezonansem magnetycznym zaprzecza tym wieściom i daje nadzieję. I tak dalej.

Tak właśnie wygląda życie pacjenta onkologicznego – od wzlotów do upadków i z powrotem. To być może doświadczenie każdego poważnie chorego na jakąkolwiek dolegliwość, ale u pacjentów z rakiem w sobie ma to wymiar nieomal filozoficzny, bo stawką nie jest stały niedowład jakiejś kończyny czy zaćma, ale – Państwo wybaczą patos – życie lub śmierć. ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

Nieprzewidywalne

↦ Ta ostatnia może przyjść w każdym momencie i z każdej strony. Bo rak jest w sumie nieprzewidywalny. I to kolejna jego specyficzna cecha. Lekarze są bardzo ostrożni w dzieleniu się prognozami. Zbyt często nowotwór ich zaskakiwał – zabijał pacjentów dobrze rokujących i opuszczał tych źle rokujących.

Medycyna dokonała ogromnego postępu w onkologii (leczenie nie wywołuje już takich skutków ubocznych jak kiedyś, zamiast podawania chemii do żył, wpuszcza się ją za pomocą „portu" wszytego pod skórę na klatce piersiowej, diagnostyka zapobiega wielu przypadkom zachorowania, środki medyczne chronią pacjentów), ale nadal pozostaje duży obszar „nieznanego", swoista rakowa *terra incognita*.

Do opisania tego fenomenu używam nomenklatury zaczerpniętej... z boksu. Jerzy Kulej powiedział kiedyś, że w jego dyscyplinie nie ma twardych, są tylko źle trafieni. Podobnie jest w onkologii – tu nie liczy się twardość, hardość, pozytywne myślenie, optymizm czy co tam jeszcze. Jeśli rak zaatakuje gwałtownie i z nieznanej strony, nic nie może pomóc choremu.

Uważność

Czy choroba nowotworowa ma jakieś zalety? Pytanie wydaje się nie tylko prowokacyjne, ale nawet niestosowne. To jednak nieprawda, bo w rzeczywistości zmaganie się z tym czymś, co nas zabija od środka, miewa jednak jasne strony. Np. w kwestii – znów proszę o wybaczenie – jedzenia. Co prawda w czasie chemioterapii traci się po części smak i pojawiają się nudności i wymioty (dopiero chorując dowiedziałem się, że to nie to samo), ale za to można, a nawet należy, jeść ile się da. Mówiąc wprost – obżarstwo jest wskazane!

Ileż to razy otwierałem lodówkę, wybierałem to, co akurat mnie nie odrzucało i z czystym sumieniem pochłaniałem koleje porcje tegoż. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów sięgałem po jedzenie o każdej porze dnia i objadałem się do syta – i czyniłem to bez wyrzutów sumienia. Chemioterapia zabija komórki rakowe, jednocześnie niszcząc nasz organizm i osłabiając go. Dlatego dostarczając mu kalorii i substancji pozwalających zachować wagę, skutecznie walczymy o własne zdrowie. Czyż to nie cudowne?

Ale są także korzyści nieco mniej banalne. Np. uważność. Pacjenci onkologiczni mogliby zarabiać jako couchowie mindfulness. Bo po usłyszeniu „wyroku", czyli diagnozy, całkowicie zmienia się sposób patrzenia na świat. Rzeczy nieistotne odchodzą na dalszy plan, a nawet znikają za horyzontem zdarzeń, przepadając w czarnej dziurze poprzedniego życia. Za to pojawia się ciekawość „tu i teraz".

W czym to się przejawia? W powolniejszym tempie życia, w przypatrywaniu się szczegółom, w podziwianiu banalności codzienności, w zachwycie biedronką na liściu czy pięknym układem chmur. Wszystko to oczywiście ze śmiercią w tle. I dlatego tak wyostrzone.

Zaczęły mnie drażnić życzenia w stylu: „wszystko będzie dobrze", „uśmiechem pokona pan raka", „ważne jest pozytywne myślenie. Chciałbym zaapelować do bliskich i rodzin pacjentów o podarowanie sobie tego typu przejawów solidarności. **O wiele bardzie stosowne będą słowa wsparcia.**

Przed zakrętem

Nikt, kto nie cierpi na zabójczą chorobę, nie będzie chyba w stanie pojąć, jak bardzo uważnym jest się w czasie jej trwania. To jakby dostać kalejdoskop lub lornetkę i na przemian używać ich prawidłowo i nieprawidłowo. W pierwszym przypadku wszystko się przybliża – dymiąca kawa, zmarszczka na twarzy kogoś bliskiego. W drugim wszystko się oddala – irytujący sąsiad, mobbingujący szef, polityka. Tak jest na początku. Potem ten proces nieco słabnie, bo habituacja nie omija także chorujących na raka.

Jest jeszcze coś ciekawego w przypadku pacjentów onkologicznych – radość z każdego przeżytego dnia. Wiadomo, że młodzi nie myślą, ile im zostało do końca, i żyją teraźniejszością, jakby byli nieśmiertelni. Dorosłych także to dotyka – wszak pamiętam siebie z „poprzedniego" życia. Niby ma się świadomość kruchości własnej egzystencji i nadchodzącego kresu, ale ten ostatni jawi się jako coś bardzo odległego, coś od czego oddzielają nas planowane wakacje, kłopoty w pracy, kolejna wizyta u stomatologa.

W przypadku mierzących się z nowotworem jest inaczej – widoczny tuż za zakrętem znak z kostuchą czekającą na nich niecierpliwie powoduje radość z każdej niemal chwili oddzielającej ich od tego spotkania. Nie ma czasu na dąsy i marnowanie cudownych momentów. Jeśli za chwilę wszystko ma zniknąć, warto na to rzucić ostatnie spojrzenie.

Slow motion

Rak bowiem decyduje, jak długo będziemy żyli, ale nie powinien mieć wpływu na to, jak będziemy żyli, jak spożytkujemy pozostawiony nam czas. Lekarze zresztą zachęcają do aktywności, do życia – w miarę możliwości – tak jak przed chorobą, na poświęcanie się swoim pasjom. Nie można pozwolić, by nowotwór stał się całym naszym życiem.

Skrzętnie podporządkowałem się radom lekarzy i oddawałem się przyjemnościom, którym hołdowałem w przeszłości. Przede wszystkim podróżom. Chemia była mi podawana przez pół roku w cyklach co dwa tygodnie. W pierwszym dogorywałem najpierw w szpitalu, a potem w domu, ale w drugim jakoś dało się żyć.

Moje peregrynacje ograniczały się jedynie do Polski i Europy, bo dalszy wyjazd był jednak zbyt ryzykowny. Z tego samego powodu moje podróżowanie odbywało się w trybie *slow motion* – zwiedzałem mniej więcej jedną trzecią tego, co przed chorobą. Co zresztą miało swoje dobre strony – co chwila gdzieś przysiadywałem, by odpocząć, a w ten sposób dostrzegałem cudne krajobrazy, szczegóły architektoniczne czy inne artefakty, na które w czasie „normalnego" zwiedzania nie zwróciłbym uwagi.

Miało to jednak także ciemniejsze strony. Do dziś pamiętam, jak będąc w Atenach postanowiłem po raz kolejny odwiedzić Akropol. Idzie się do niego lekko pochyłym podej-

eprasa.pl 2ed1dec601

ściem, którego pokonanie zdrowemu człowiekowi zajmuje kilka minut. Ja w połowie „zdobywania szczytu" musiałem założyć obóz przejściowy, który stanowiła ławeczka osłonięta przed słońcem przez drzewko oliwne. Siedziałem tam kilka minut – dysząc i ocierając pot z czoła. Nigdy nie zapomnę wzroku niemieckich emerytów, dziarsko i szybko idących ku propylejom, którzy patrzyli na mnie ze zdziwieniem i troską.

Wiara

Osoby wierzące chyba lepiej znoszą diagnozę raka niż ateiści. To nie twierdzenie naukowe, ale raczej moja intuicja badawcza wypracowana na szpitalnych korytarzach.

Wierzący postrzegają ewentualną śmierć jako przejście. Przejście do lepszego, a na pewno innego świata. Świata, w którym mają nadzieję spotkać swoich bliskich i żyć wiecznie w obliczu Pana. Nie ma znaczenia, czy to prawda – ważne, że w to wierzą i w tym pokładają nadzieję. To myślenie czyni śmierć fenomenem strasznym, ale przejściowym. Po drugiej jej stronie czeka wszak inny wymiar.

Ateiści, do których należę, mają gorzej. Dla nas śmierć jest końcem. Końcem wszystkiego. Nie wierzymy w istnienie innej rzeczywistości. Dlatego doczesna egzystencja jest jedynym, co mamy. Z tego powodu jej utrata jest o wiele boleśniejsza niż w przypadku osób wierzących. Życie jest dla nas jedyne i niepowtarzalne. Oraz niekompensowane przez perspektywę funkcjonowania w innym wymiarze. Stąd właśnie większy, moim zdaniem, żal i strach przed nadchodzącą śmiercią.

Nauka, czyli to, co dla mnie ważne (nie tylko z tytułu wykonywanego zawodu), nie potwierdza wpływu modlitwy na stan zdrowia. Z wyjątkiem stanu zdrowia modlącego się. A przynajmniej jego samopoczucia. Mówiąc wprost: modląc się za kogoś, nie wpływamy na skuteczne zwalczenie jego choroby, ale za to poprawiamy swój dobrostan. Także modląc się za siebie. Pewnie działa tu efekt placebo. Ale jeśli działa, nic nie szkodzi skorzystać.

Ateiści są w gorszej sytuacji – nadzieję muszą pokładać tylko w medycynie i nauce. Jeśli jednak ze względu na zaawansowanie raka jest za późno, pozostaje im tylko pogodzenie się ze stanem rzeczy. To także czyni ich walkę z chorobą nieco trudniejszą psychicznie niż w przypadku wierzących.

Życzenia

Choć może pozostaje uśmiech i życzenia zdrowia? Niekoniecznie. W tym miejscu muszę przyznać się do czegoś wstydliwego. O ile na początku terapii z radością witałem wszelkie objawy wsparcia i solidarności, o tyle w jej połowie zaczynały mnie drażnić. Nie chodzi o wszystkie formy tego tsunami życzliwości, którego doświadczyłem, ale o jeden jego aspekt. A mianowicie o życzenia w stylu: „wszystko będzie dobrze", „uśmiechem pokona pan raka", „ważne jest pozytywne myślenie – uda się".

Nie muszę chyba wyjaśniać, że nie wierzę w to, że jak się będę szeroko uśmiechał i miał radosne myśli, to nowotwór spakuje się i opuści mój organizm. Ale najbardziej wkurzała mnie ta pierwsza fraza: o tym, że wszystko będzie dobrze. Nie miałem wątpliwości, że płynie ona ze szczerej życzliwości i sympatii do mnie, ale irytujące było to, że ludzie, którzy nie mieli bladego pojęcia o fazie zaawansowania mojego raka, stopniu jego złośliwości, wynikach ostatnich badań, wiedzą, że się z tego wywinę.

Podkreślam – jestem pewien, że te życzenia płynęły z czystego serca, ale były denerwujące. Jeśli mógłbym o coś zaapelować do bliskich i rodzin pacjentów onkologicznych, to o podarowanie sobie tego typu przejawów solidarności. O wiele bardzie stosowne będą słowa wsparcia. To wystarczy.

Zakończę jeszcze jedną prośbą – o jak najszybsze udanie się na badania profilaktyczne i przesiewowe: na kolonoskopię i gastroskopię, na wykonanie markerów nowotworowych, na przegląd poszczególnych organów ciała za pomocą USG, tomografu, rezonansu. To byłaby najlepsza i najbardziej przeze mnie oczekiwana reakcja na powyższy tekst.

© MAREK MIGALSKI

Autor jest politologiem, profesorem Uniwersytetu Śląskiego, byłym posłem do Parlamentu Europejskiego. Autor wielu książek, m.in. „Nieudanej rewolucji. Nieudanej restauracji. Polski w latach 2005-2010", „Narodu urojonego" i „Czeskiej lekcji".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 2ed1dec601

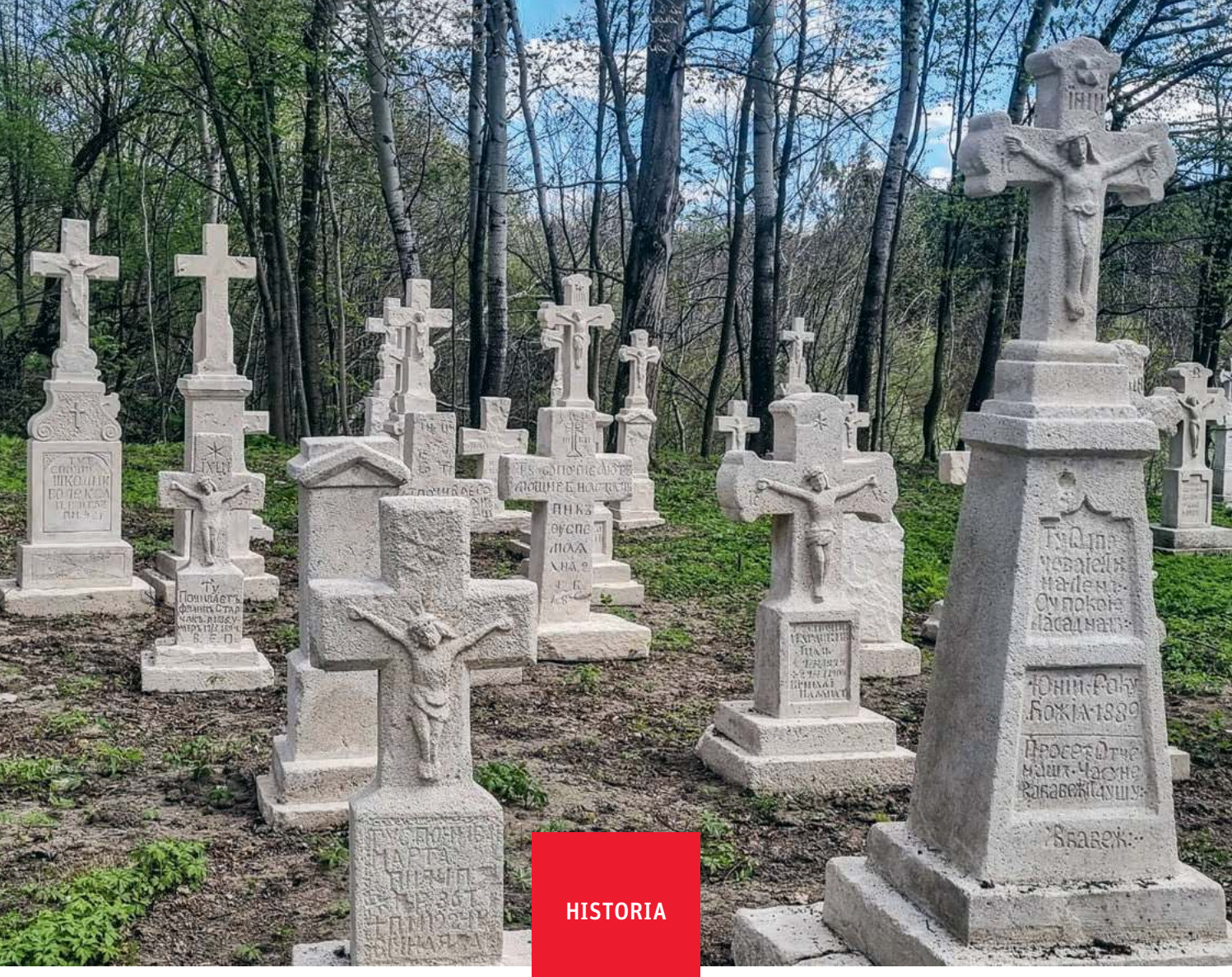

HISTORIA

GULA W GARDLE

Historia zbrodni na Wołyniu i w Galicji zeszła na poziom relacji twarzą w twarz. Trzeba o niej rozmawiać. Tylko jak? Oto obserwacje ze stolicy i prowincji – w tym z Radruża, gdzie wystąpił prezydent Nawrocki.

ANNA WYLEGAŁA

Jest 9 lipca. Pojutrze kolejna rocznica rzezi wołyńskiej (a właściwie wołyńsko-galicyjskiej). W atmosferze politycznego napięcia, oskarżania Polaków o nacjonalizm i ksenofobię, a Ukraińców, dla odmiany, o ksenofobię i nacjonalizm, prezydent Karol Nawrocki ogłasza, że hołd ofiarom odda w Radrużu, gdzie w latach 1944-46 UPA zamordowała 25 osób: czternaścioro Polaków i jedenaścioro Ukraińców.

Radruż leży w powiecie Lubaczów, w gminie Horyniec. Tuż przy granicy z Ukrainą. Granicę czuć tu w powietrzu; gdy dwa miesiące temu wracam ze spotkania z zespołu cerkiewnego w Radrużu do Horyńca, zatrzymuje nas straż graniczna, grzecznie sprawdza. Jeśli się nie może (albo nie chce) jechać dalej, na Wołyń, to Radruż jest dobrym miejscem, by upamiętnić polskie ofiary.

IRYNA | Tymczasem w przeddzień rocznicy siedzę na progu domu rodzinnego na tzw. Ziemiach Odzyskanych, domu z czerwonej cegły. W styczniu 1945 r. zajęła go Armia Czerwona. Na cegłach w ob-

eprasa.pl 2ed1dec601

Na greckokatolickim cmentarzu w Radrużu spoczywają miejscowi Polacy zabici przez UPA oraz miejscowi Ukraińcy zabici przez UPA i wojska NKWD. W ostatnich latach groby na tym cmentarzu są stopniowo odnawiane na koszt państwa polskiego. Radruż, kwiecień 2026 r.

ramowaniu drzwi do dziś widać wyskrobany napis „Iwan. Tu byłem".

Siedzę na tym progu z Iryną, nauczycielką spod Kijowa, która do Polski przyjechała wiosną 2022 r. Pijemy kawę, jest ranek, powietrze nabrzmiewa upałem. Zapewne takim samym nabrzmiewało w lipcu 1943 r. na Wołyniu. Iryna spogląda na mnie zagubionym wzrokiem i pyta: „Anuszka, ty mi powiedz, bo nie rozumiem, o co z tym Wołyniem chodzi, ja w ogóle o tym usłyszałam dopiero, jak do was przyjechałam, a nikt z moich w lesie przecież nie był".

Na moje pytanie, czy w ostatnim miesiącu zdarzyły jej się nieprzyjemne sytuacje w związku z tym, że jest Ukrainką, Iryna zaprzecza. Ci Polacy, którzy byli w porządku, dalej są w porządku; ci, którzy nie byli, lepsi się nie stali. Praca dalej jest parszywa i ciężka (Iryna pracuje przy przetwórstwie owoców i runa leśnego). W mediach społecznościowych nie siedzi, bo nie ma na to czasu.

OLGA | Tak się składa, że od wybuchu pełnoskalowej wojny większość mojego życia zawodowego toczy się we współpracy z ukraińskimi koleżankami naukowczyniami i zakłada częste kontakty z tzw. zwykłymi Ukraińcami w Polsce, gdyż zajmujemy się badaniem doświadczenia ukraińskich uchodźczyń.

Chwilę wcześniej rozmawiam więc z Olgą, która, w odróżnieniu od Iryny, wie o Wołyniu, bo jest historyczką. Zapewne także nikt z jej bliskich w lesie nie był, bo jest z Charkowa. Olga mówi, że ostatnio stara się nie mówić na ulicy po ukraińsku, na wszelki wypadek. I że gdy czyta o patrolach obywatelskich, które w Lublinie sprawdzały dokumenty cudzoziemcom, robi jej się nieprzyjemnie. Jednak jej w Polsce nigdy nie spotkało nic przykrego.

To samo mówi jej mąż, pracujący w przemyśle: jego zdaniem więcej złych emocji znaleźć można w sieci niż w relacji twarzą w twarz.

MARIJA | Gdy o to samo pytam Mariję (tłumaczkę przysięgłą z ukraińskiego, w Polsce od 2022 r.), najpierw wygłasza tekst pochwalny o wdzięczności wobec Polski i Polaków. Bardzo szczery.

Potem milknie i w końcu zaczyna opowiadać, jak to ostatnio podczas podpisywania aktu notarialnego (polskie małżeństwo przedłuża o kolejny rok wynajem mieszkania Ukraińcowi) najpierw notariusz zapytał, czy polscy i ukraińscy historycy kiedyś się dogadają. Ukraiński klient się zaperzył i powiedział, że nikt nie będzie Ukrainie mówił, jakich ma czcić bohaterów. Polka, właścicielka mieszkania, poprosiła, by o historii nie mówić. Na koniec notariusz dodał, że tylko z jego rodziny dwie osoby poszły do piachu na Wołyniu.

Akt notarialny sporządzono. Marija powiedziała notariuszowi, że bardzo jej przykro z powodu tego, co Ukraińcy zrobili jego rodzinie. Marija ma syna, który właśnie celująco zdał polski egzamin ósmoklasisty.

POD ŻABKĄ | To, co przywołuję, to oczywiście tzw. dowody anegdotyczne. Ale na ten moment trudno o inne. Policyjne statystyki aktów przemocy wobec cudzoziemców publikowane są zwykle w zestawieniach rocznych. Ostatnie dotyczą roku 2025 i nie wynika z nich, aby takich aktów było więcej niż wobec etnicznych Polaków.

Z kolei pobieżny *research* w ogólnodostępnych źródłach pokazuje, że (znów, stan na koniec 2025) poziom przestępstw wobec obcokrajowców w Polsce, po uwzględnieniu liczby cudzoziemców, nie różni się od analogicznego poziomu w innych krajach, które po 2022 r. przyjęły licznych ukraińskich uchodźców (np. Czechy, Niemcy). Ale te dane nie obejmują ostatnich miesięcy.

Pozostają oczywiście wątpliwości związane z tym, że obcokrajowcy rzadziej zgłaszają na policję fakt bycia ofiarą przestępstwa. A także z tym, co kwalifikujemy jako przemoc na tle etnicznym. Czy jeśli Rusłanowi, który remontował moje mieszkanie (w Polsce żyje od 10 lat, od kilku ma obywatelstwo RP, wciąż mówi z lekkim akcentem), osprejują auto, będzie to zwykły wandalizm, czy już przemoc na tle etnicznym?

Czy jeśli pijak pod Żabką nazwie Irynę głupią Ukrainką, a jej polską koleżankę „tylko" głupią babą, czy ta pierwsza obelga będzie przemocą na tle etnicznym? I co zrobić ze strachem, jak go przeliczyć na procenty i paragrafy?

OLENA | Opublikowany przez „Krytykę Polityczną" raport o sytuacji Ukraińców w Polsce mówi o pogarszających się nastrojach, poczuciu zagrożenia i narastającej fali agresji (głównie słownej) wobec Ukraińców od 2025 r. Bazuje głównie na danych jakościowych, ale trudno, by nie wywoływał zaniepokojenia.

Moja współpracowniczka w projekcie, Olena, waha się, gdy pytam, czy się boi. Mówi, że przez ostatnie cztery lata nauczyła się myśleć o Warszawie jak o domu. Czasem zresztą przyłapuję ją na tym, że gdy wracamy z Ukrainy i przekraczamy granicę, Olena mówi: „Jeszcze cztery godziny i będziemy w domu".

Teraz mówi, że zdarzyło jej się w tramwaju skończyć rozmowę po ukraińsku i schować telefon, gdy wsiadła grupa głośnych młodych mężczyzn. I że gdy jej nastoletni syn wraca sam do domu wieczorem, ona myśli, że lepiej by było, gdyby on też nie rozmawiał przez telefon po ukraińsku, idąc ciemnym parkiem. Wcześniej takie myśli nie przychodziły jej do głowy.

WE LWOWIE | Odwróćmy teraz sytuację o 180 stopni. Gdy myślę, że miałabym teraz jechać na Ukrainę, mam mieszane uczucia. Poziom nienawistnych antypolskich komentarzy w mediach społecznościowych na Ukrainie i jadu lejącego się z mediów, także tych liberalnych i prozachodnich, jest przerażający.

Przykłady? Poważny i liberalny portal Zaxid.net zamieścił na swoim profilu na FB ankietę: „Karol Nawrocki – klaun czy pirat?". Koleżanka, która właśnie wróciła ze Lwowa, przyznała, że pierwszy raz w życiu mówiła tam po angielsku, a nie swoim łamanym ukraińskim z wyraźnym polskim akcentem – po tym, jak usłyszała kilka niepochlebnych słów na temat tego, skąd przyjechała i gdzie powinna wracać.

Ukraińskie społeczeństwo gotuje się z obrazy. Jego emocje pośrednio wpływają też na nakręcanie poczucia (błędnego przecież), że w Polsce za chwilę będą pogromy. Gdy rozmawiam ze znajomą ukraińską studentką, Anastasiją, mówi mi, że bliscy z Ukrainy kazali jej, aby 11 lipca, w dniu rocznicy, nie wychodziła z domu.

Gdy mówię po ukraińsku, mój polski akcent słychać, choć nie tak wyraźnie. Na Ukrainę pojadę we wrześniu. Może ↦

ANNA WYLEGAŁA

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ do tego czasu sytuacja się uspokoi. Podstawowa różnica między mną a moimi ukraińskimi rozmówczyniami jest taka, że pojadę tam, bo chcę, po czym wrócę. One są w Polsce, bo muszą.

„JESZCZE POLSKA" | Tymczasem, gdy wysyłam zwyczajowego maila do ukraińskiego kolegi, który od 2022 r. jest na froncie, by upewnić się, że żyje, dostaję w odpowiedzi dziękczynne wideo. Na nagraniu jego towarzysze broni, stacjonujący na kierunku kupiańskim, dziękują mi i Polsce za wsparcie wszelakie. Wyrażają nadzieję, że nasi politycy się opamiętają, jedni i drudzy, bo ważny jest wspólny wróg, a oni go widzą z bardzo bliska.

Kończą słowami „Jeszcze Polska nie zginęła, herojam sława!". Zwykle to zawołanie, ukute kiedyś w strukturach OUN, a po 2014 r. na Ukrainie upowszechnione, mnie drażni. W zestawieniu z „Jeszcze Polska nie zginęła" sprawia, że mam nagle gulę w gardle.

Powiedzieć, że historia nas dzieli, to truizm. Istotne jest jednak, że dziś dzieli nie tylko historyków i polityków; nie tylko tych, którym upowcy zabili dziadków, i tych, którzy upowców honorują; nie tylko prezydentów Zełenskiego i Nawrockiego. Dzieli zwykłych Polaków i Ukraińców.

W oczywisty sposób najbardziej dotyka to Ukraińców żyjących w Polsce – tych 700 tys., którzy przybyli przed 2022 r., i niemal milion korzystających z ochrony tymczasowej po 2022 r. Bo to oni dostają rykoszetem za głupią i szkodliwą decyzję ich prezydenta, tę o „Bohaterach UPA", oraz głupią i szkodliwą – naszego. Za podatność obu społeczeństw na populistyczne treści, na których najwyraźniej łatwo zbić kapitał polityczny.

To oni są ofiarami przedkładania partykularnych interesów politycznych nad szacunek dla ofiar z Wołynia i Galicji. Nad dbałość o to, by Polacy i Ukraińcy żyli w Polsce w zgodzie, teraz.

RADRUŻ, KIEDYŚ | Tu możemy zatoczyć koło i udać się do Radruża. Bo fakt, że historia nas dzieli, nie oznacza, że mamy ją zamieść pod dywan. Przeciwnie, mamy o niej rozmawiać. Mamy nazywać ofiary po imieniu, a sprawców potępiać. Wtedy w końcu historia przestanie nas dzielić. Radruż jest przykładem tego, jak można by to zrobić.



Polacy z Radruża zamordowani przez UPA zostali pochowani w kilku mogiłach. Tutaj zbiorowy grób pięciu ofiar z 1944 r.



ANNA WYLEGAŁA x2

W sierpniu 1944 r. wojska NKWD dokonały pacyfikacji wsi, zabijając kilkunastu Ukraińców, w tym księdza greckokatolickiego Wasyla Huczkę, jego żonę i córkę. Na zdjęciu: grób ks. Huczki, być może symboliczny.

Przed wojną była to duża wieś, żyli w niej głównie Ukraińcy; Polacy stanowili mniej niż 10 procent. Była tu cerkiew greckokatolicka (dziś nie funkcjonuje jako świątynia, lecz zabytek do zwiedzania; jedna z najstarszych cerkwi drewnianych w Polsce). Ukraiński ruch narodowy był silny, w czasie wojny wielu młodych wstąpiło do UPA.

Jak wspomniałam, upowcy zamordowali tu 25 mieszkańców wsi, z czego ponad połowa była Polakami; pozostali pochodzili z rodzin mieszanych bądź ukraińskich. Po wojnie polskie władze komunistyczne wysiedliły wszystkich ukraińskich mieszkańców (większość do Związku Sowieckiego, resztę na Ziemie Odzyskane). Dziś żyje tu nie więcej niż 200 osób.

Mimo tragicznego finału, przed wojną Polacy i Ukraińcy w Radrużu potrafili żyć w pokoju. Liczne były małżeństwa mieszane. Mordy nie miały charakteru sąsiedzkiego, dokonały ich regularne oddziały UPA. Spotkały się zresztą w tym regionie z odwetem polskiego podziemia.

Część ofiar UPA pochowano na miejscowym cmentarzu greckokatolickim, część na rzymskokatolickim w Horyńcu. Gdy wiosną spaceruję po radruskim cmentarzu, widzę świeże kwiaty na grobach ofiar UPA (kilka dni wcześniej upamiętniano rocznicę mordu). W zbiorowej mogile spoczywają m.in. Romanikowie: Jadwiga lat 14, Maria lat 20, Zofia lat 40, Stefan lat 37.

Obok grób tutejszego księdza greckokatolickiego Wasyla Huczki, zamordowanego przez NKWD w sierpniu 1944 r. wraz z żoną i córką. W tej akcji NKWD zabiło kilkunastu ukraińskich mieszkańców Radruża.

CIĘŻKI WZROK | Gdy uczestniczę w zwiedzaniu cerkwi, mam poczucie dysonansu. Miejscowy przewodnik z zaangażowaniem opowiada o architekturze świątyni, potem przechodzi do opisu masakr UPA. Kończy wezwaniem, by nie dzieliła nas nienawiść. Gdy pytam, dlaczego nie wspomniał o wysiedlonych Ukraińcach – w końcu w ich cerkwi jesteśmy, to ich cmentarz Muzeum Kresów w Lubaczowie odnawia za pieniądze polskiego podatnika – przewodnik spogląda ciężkim wzrokiem i mówi, że kto będzie chciał, to sobie doczyta.

Piotr Zubowski, dyrektor wspomnianego Muzeum Kresów, któremu podlega cerkiew w Radrużu, mówi, że ta okolica ma swoją specyfikę: historia głęboko tkwi tu w ludziach, w dużej mierze zasiedziałych, a w ostatnim czasie nastroje antyukraińskie narastają. Krótko po 2022 r. można było zorganizować wydarzenia dotyczące wielokulturowego dziedzictwa dawnej Rzeczypospolitej, w tym takie, które łączą Ukraińców i Polaków, np. koncerty sakralnej muzyki cerkiewnej. Teraz byłoby to nie do pomyślenia.

Radruż stał się też elementem „wojny pomnikowej", zainicjowanej zapewne przez rosyjskie służby. W 2015 r. zdewa-

eprasa.pl 2ed1dec601



JACEK NIECKARZ / SHUTTERSTOCK

Świątynia św. Paraskewy w Radrużu to jedna z najstarszych drewnianych cerkwi w Polsce.

stowano na cmentarzu ukraiński pomnik, postawiony (nielegalnie) kilkanaście lat wcześniej ku pamięci miejscowych upowców. Sprawcy zniszczyli tablicę i zastąpili napisem upamiętniającym polskie ofiary oraz w sposób wulgarny określającym sprawców. Całość sfilmowali, a nagranie szybko ukazało się na portalu Novorossia Today (związanym z ówczesnymi „republikami ludowymi" w Donbasie).

DZISIAJ | Podobne incydenty miały wtedy miejsce w pobliskich wsiach, a całość doprowadziła do konfliktu wokół upamiętnień w Polsce i na Ukrainie, w tym do trwającego kilka lat zakazu poszukiwań i ekshumacji polskich ofiar na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

Myślę o tym wszystkim, gdy media podają informację, że 11 lipca prezydent Nawrocki będzie właśnie w Radrużu. Myślę o pochowanych tu ofiarach, polskich i ukraińskich, oraz o tutejszych Ukraińcach, którzy w ramach zbiorowej odpowiedzialności stracili domy. Zapewne nie wszyscy z nich popierali UPA.

Myślę o tym, że moje ukraińskie znajome boją się mówić w Polsce po ukraińsku. Myślę też o ciężkim spojrzeniu przewodnika z Radruża i o tym, że właściwie zgadzam się z tym, co powiedział – oby nigdy nie podzieliła nas nienawiść.

W sobotę 11 lipca w Radrużu padają słowa o powojennej historii miejscowości i wysiedleniu Ukraińców w ramach odpowiedzialności zbiorowej. Ale nie z ust prezydenta, a to jego przemówienie po tej uroczystości zostanie.

DZIEŃ PAMIĘCI | Prezydent tymczasem wygłasza gniewne przemówienie. Podobnie jak ja, spośród miejscowych polskich ofiar wyławia 14-letnią Jadwigę i każe się zebranym zastanowić, co czuła, gdy banderowcy podrzynali jej gardło.

Poza tym jednak nie skupia się na ofiarach. Niemal całość jego przemówienia, wygłoszonego podniesionym głosem, dotyczy sprawców. Prezydent omawia etapy rozwoju ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego (popełniając sporo błędów faktograficznych), a potem przechodzi do (krytycznej) analizy polityki historycznej współczesnej Ukrainy.

To przemówienie nie przyczyni się do tego, by nie podzieliła nas nienawiść. Słychać to w sarkaniu publiczności, gdy pojawia się stwierdzenie, że tak jak Jadwiga zginęła przez ukraiński nacjonalizm, tak dziś na Ukrainie jej rówolatki giną przez nacjonalizm rosyjski.

Widać to także w nienawistnych komentarzach ukraińskich i polskich internautów pod (stonowanym) postem Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej po uroczystości w Ołyce na Wołyniu, z udziałem wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza, w którym mowa jest o tragicznym konflikcie polsko-ukraińskim w czasie II wojny światowej, a nie o ludobójstwie na Wołyniu. Dla Polaków to wciąż za mało. Dla Ukraińców wciąż za dużo.

Radruż mógł być miejscem, w którym wykonalibyśmy krok ku sobie, przy grobach Polaków i Ukraińców, nazywając rzeczy po imieniu; miejscem po wysiedlonych Ukraińcach, o które z dużym szacunkiem dbają dziś Polacy.

JUTRO | Tymczasem następnego dnia po obchodach pewien Polak (mieszkający we Lwowie i aktywny na Facebooku) publikuje serię zdjęć z cmentarza w Radrużu, które, jak twierdzi, zrobił 12 lipca. Są skadrowane tak, by pokazać wykrzywioną rzeczywistość: są na nich wywrócone greckokatolickie krzyże na tle zadbanych grobów polskich ofiar.

To sugeruje, że ukraińskie groby są dewastowane – gdy w istocie cmentarz jest od lat odnawiany, nagrobek po nagrobku (chciałabym, by polskie cmentarze na Ukrainie tak wyglądały). To sugeruje nawet, że prezydent i świta po nich deptali.

Zdjęcia niosą się po sieci. Podbija je Wołodymyr Wjatrowycz, historyk znany z gloryfikacji UPA. Stają się wiralem w ukraińskim necie, wywołują komentarze o „zdziczeniu Polaków". Polemiki polskich internautów, że to nieprawda, że cmentarz jest zadbany, większość nagrobków odnowiono w minionych latach (tylko w okresie 2024-2026 wydano na to 660 tys. zł), a reszta będzie odnowiona, giną w masie złych emocji.

To internet. W realu, wbrew prognozom Kiryły Budanowa, szefa biura Zełenskiego, obchody 11 lipca nie doprowadzają do nowej eskalacji w relacji Polska-Ukraina. Przynajmniej nie na szczeblu politycznym – bo internet wciąż wrze.

Tymczasem w poniedziałek 13 lipca ruszają planowo ekshumacje we wsiach Ostrówki i Wola Ostrowiecka na Wołyniu. Wcześniej polscy badacze zidentyfikowali tam groby, może w nich spoczywać kilkaset ofiar. Zgodnie informują o tym polski IPN i ukraiński UIPN.

Niech nie podzieli nas znów nienawiść.

© ANNA WYLEGAŁA

Dziękuję Piotrowi Zubowskiemu za pomoc przy pisaniu tekstu.

Autorka jest socjolożką, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W latach 2017-20 jej polsko-ukraiński zespół nagrał ponad 250 wywiadów z najstarszymi mieszkańcami polskiej i ukraińskiej Galicji. Obecnie koordynuje polską część projektu „Świadectwa wojny", badającego doświadczenie Ukraińców podczas pełnoskalowej wojny.

eprasa.pl 2ed1dec601



NAUKA

WIRUS, KTÓRY DOSTAŁ SKRZYDEŁ

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Znany od lat wirus H5N1 wywołał już globalną epidemię. Poza ptakami zagraża także ssakom, choć ludziom – umiarkowanie.

eprasa.pl 2ed1dec601



BLICKWINKEL / ALAMY / BE&W

W położonych blisko siebie koloniach ptaków (na pierwszym planie wydrzyk brunatny i pingwin królewski w sąsiedzkim sporze) i morskich ssaków (w tle słonie morskie) wirus ptasiej grypy łatwo się rozprzestrzenia i przeskakuje na kolejne gatunki. Wyspa Macquarie na Oceanie Spokojnym, położona w połowie drogi pomiędzy Australią i Antarktydą.

„Skąd taki wzrok? żeglarzu mów!
Niech strzegą cię niebiosa”
„Ukarz mnie Bóg! Do ręki łuk –
Zabiłem albatrosa”

Samuel Taylor Coleridge
„Pieśń o Starym Żeglarzu”,
tłum. J. Kasprowicz

Dla żeglarzy mórz południowych nie było gorszego omenu niż śmierć albatrosa. Tym razem złym omenem nie był jednak ten majestatyczny żywy szybowiec, a wydrzyk brunatny. Mniejszy od albatrosa antarktyczny łotr i łobuz, który rabuje gniazda i kradnie zdobycz innym ptakom.

Ten konkretny wydrzyk już nie był w stanie nikomu zagrozić. Ptak, odnaleziony w odludnej części Parku Narodowego Cape Le Grand w południowo-zachodniej Australii, ledwie żył, gdy natknęła się na niego miejscowa pracowniczka. Próbki pobrane od chorego zwierzęcia trafiły do ośrodka badawczego prowadzonego przez australijską akademię nauk CSIRO.

Wyniki były dokładnie takie, jakich przyrodnicy, rolnicy i politycy kraju z antypodów obawiali się najbardziej. 20 czerwca Australia poinformowała Światową Organizację Zdrowia Zwierząt (WOAH) o pierwszym wykryciu wysoce zjadliwego wirusa ptasiej grypy H5N1 u dzikiego ptaka na swoim kontynencie. Analiza genetyczna wykazała linię 2.3.4.4b – tę samą, która od kilku lat rozprzestrzenia się na całym świecie wśród dzikich ptaków, drobiu (wcześnie wykrytą ją także na polskich fermach) i coraz większej liczby gatunków ssaków.

Wcześniej dotarła do obu Ameryk, Europy, Afryki, Azji i regionu antarktycznego. Australia pozostawała ostatnim zamieszkanym kontynentem poza jej zasięgiem. Z tego powodu WOAH uznała australijskie zgłoszenie za wydarzenie o szczególnym znaczeniu epidemiologicznym. Wirus H5N1 oficjalnie podbił cały świat.

Zaczęło się

Do 30 czerwca federalna minister rolnictwa Julie Collins mówiła o pięciu potwierdzonych wykryciach wirusa ptasiej grypy u migrujących ptaków morskich: czterech w Australii Zachodniej i jednym w Australii Południowej. Nie było zakażeń w fermach drobiu, w których wirus może powodować olbrzymie straty, ani sygnałów masowego padania dzikich zwierząt.

Na początku lipca CSIRO potwierdziła szósty przypadek: petrela olbrzymiego znalezionego w pobliżu Hawks Nest w Nowej Południowej Walii na wschodzie kontynentu. W tym samym czasie badano kolejnego ptaka tego samego gatunku z plaży Mullaloo w Australii Zachodniej. Główny lekarz weterynarii kraju podkreślał, że H5N1 nadal nie pojawił się w komercyjnej produkcji drobiarskiej, a ryzyko dla ludzi pozostaje niskie. Chore zwierzęta odnajdowano jednak w miejscach odległych od siebie o tysiące kilometrów.

Australia zna ptasią grypę. W latach 2024-2025 zmagała się z ogniskami innej ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ odmiany, H7, w fermach drobiu, ale po ich wygaszeniu odzyskała status kraju wolnego od wysoce zjadliwej ptasiej grypy. Szczep H5N1 2.3.4.4b pojawił się tam po raz pierwszy.

Kontynent długo chroniła geografia. Najważniejszymi nosicielami wirusów grypy są migrujące kaczki i gęsi przemieszczające się między Eurazją a innymi częściami świata. Australia leży poza głównymi szlakami tych wędrówek, a rodzime ptaki blaszkodziobe rzadko opuszczają region australijsko-papuaski. Dodatkową przeszkodą dla wirusa jest brak rozbudowanej na tym kontynencie sieci targów żywego drobiu, które w wielu krajach Azji sprzyjają powstawaniu nowych wariantów patogenów.

Wirus H5N1 ominął oba zabezpieczenia. Nie przyszedł z północy wraz z kaczkami ani przez handel drobiem. Nadleciał z południa. Dotarł więc do Australii szlakiem, którego przez lata obawiano się mniej niż północnych tras migracji.

Straty w dzikiej przyrodzie

Kontynentalne przypadki są na razie pojedyncze, ale wirus potrafi się szybko i daleko rozprzestrzeniać.

Na niezamieszkanych przez ludzi Wyspach Heard i McDonalda, położonych ok. 4 tys. km na południowy zachód od Australii, grypę H5N1 wykryto u pingwinów królewskich i białobrewych, petreli nurkujących oraz u płetwonogich ssaków – słoni morskich i kotików antarktycznych.

Zdjęcia z dronów wykonane podczas wypraw w październiku 2025 i styczniu 2026 r. pokazały skalę strat. Średnia śmiertelność młodych słoni morskich wyniosła 76 proc., a w jednej kolonii sięgnęła 97 proc. Z około 17 tys. urodzonych młodych padło blisko 13 tys. Podwyższoną śmiertelność odnotowano również w koloniach pingwinów.

Analizy genetyczne wskazują, że wirus prawdopodobnie dotarł tam z francuskich Wysp Crozeta, oddalonych o około 1800 kilometrów. Jak podkreślała kierująca badaniami Julie McInnes, H5N1 „nadal przesuwa się na wschód wokół regionu subantarktycznego".

W innych częściach świata także sieje od kilku lat spustoszenie w dzikich populacjach. W 2022 r. w Kanadzie H5N1 zabił w ciągu sześciu miesięcy ponad 8 tys. nurzyków i 25 tys. głuptaków północnych spośród ponad 213 tys. policzonych ptaków lęgowych. W kolejnych sezonach liczebność największych kolonii głuptaków spadła o około 40 proc., a nurzyków o 9 proc. W USA między styczniem a czerwcem 2022 r. wirusa wykryto u 136 bielików amerykańskich w 24 stanach. W Parku Narodowym Voyageurs w Minnesocie zniknęły dwie trzecie par lęgowych. W 2023 r. H5N1 zabił także 21 kondorów kalifornijskich, podczas gdy światowa populacja tego gatunku liczyła mniej niż 600 osobników. Rozpoczęto wtedy pierwsze szczepienia kondorów przeciw ptasiej grypie.

W Chile z powodu ptasiej grypy zginęło ponad 2,7 tys. pingwinów peruwiańskich, w Grecji przeszło 2 tys. pelikanów kędzierzawych, w Republice Południowej Afryki ok. 24,5 tys. kormoranów przylądkowych, w Holandii blisko 10 tys. rybitw czubatych, w Idaho 7 tys. śnieżyc dużych, a w Peru 5,5 tys. pelikanów peruwiańskich.

Dotąd potwierdzono zakażenia u co najmniej 406 gatunków dzikich ptaków i 51 gatunków dzikich ssaków, dla których ten „ptasi" z nazwy i pochodzenia wirus staje się coraz bardziej niebezpieczny.

W Argentynie niemal zniszczył kolonię słoni morskich. W 2023 r. padło 96 proc. młodych – około 17,5 tys. zwierząt. Rok później na główne plaże lęgowe wróciła zaledwie jedna trzecia typowej liczby samic. Odbudowa populacji może potrwać nawet sto lat.

Coraz częściej wirus pojawia się również w ogrodach zoologicznych. W 2024 r. w Wildlife World Zoo w Arizonie padły m.in. gepard, puma, gęś indyjska i kukabura. W wietnamskich ogrodach zoologicznych H5N1 zabił 47 tygrysów, trzy lwy i panterę.

Większości ofiar nigdy nie uda się policzyć. Giną na morzu, w tundrze, na odległych wyspach i w koloniach lęgowych, do których naukowcy docierają raz lub dwa razy w roku. Często pierwszym sygnałem katastrofy nie są martwe zwierzęta, lecz puste kolonie w następnym sezonie lęgowym.

Bariera gatunkowa

H5N1 nie jest nowym wirusem. Po raz pierwszy wykryto go w 1996 r. u gęsi w chińskiej prowincji Guangdong, a rok później w Hongkongu odnotowano pierwsze zakażenia ludzi. Przez kolejne dwie dekady nowsze odmiany wirusa pojawiały się i znikały. Powodowały lokalne epidemie w fermach drobiu, czasem zakażały ludzi, ale nie potrafiły utrzymać się na długo w populacjach dzikich ptaków. Obecna linia H5N1 2.3.4.4b okazała się inna.

Na przełomie 2020 i 2021 r. ten wariant zaczął skutecznie krążyć wśród dzikich ptaków. Zamiast wygasać po likwidacji kolejnych ognisk, przemieszczał się wraz z migracjami na następne kontynenty.

Według wspólnej oceny światowych organizacji zajmujących się zdrowiem i żywnością (FAO, WHO i WOAH), między 1 lipca 2025 a 1 marca 2026 r. zgłoszono 185 zdarzeń związanych z H5N1, obejmujących ponad 1 tys. ognisk na fermach drobiu, przeszło 6 tys. u dzikich ptaków i dziewięć u bydła. Trudna sytuacja jest m.in. w Europie. Od września do listopada 2025 r. zgłoszono ponad 3,2 tys. wykryć wirusa u dzikich ptaków w 28 krajach – około dziesięć razy więcej niż rok wcześniej.

To dlatego epidemiolodzy coraz częściej używają słowa „panzootia". Pandemia opisuje chorobę szerzącą się między ludźmi. Panzootia oznacza epidemię obejmującą zwierzęta na wielu kontynentach. H5N1 zmienił przede wszystkim świat zwierząt, a nie ludzi.

Najbardziej niepokojącą zmianą ostatnich lat nie jest jednak liczba zakażonych ptaków, lecz rosnąca liczba zakażonych ssaków. Jeszcze kilka lat temu takie przypadki uznawano za wyjątki. Dziś H5N1 wykryto już u fok, słoni morskich, lisów, niedźwiedzi polarnych, kotów, zwierząt hodowlanych i bydła mlecznego.

Największy przełom nastąpił w Stanach Zjednoczonych. Od 2024 r. wirus zaczął rozprzestrzeniać się w stadach bydła mlecznego. Do 1 marca 2026 r. dodatnie wyniki potwierdzono w ponad tysiącu stadach w 19 stanach. Analizy genetyczne wskazują, że doszło co najmniej do czterech niezależnych przejść wirusa z ptaków na bydło.

To właśnie bydło zmieniło sposób myślenia o H5N1. Krowy żyją w stałym kontakcie z ludźmi, są codziennie przemieszczane między gospodarstwami i regularnie badane. Każde zakażenie daje wirusowi kolejną okazję do przystosowania się do organizmu ssaka.

eprasa.pl 2ed1dec601

W USA odnotowano również zakażenia ludzi związane z kontaktem z chorymi krowami. Amerykańskie Centra Kontroli i Prewencji Chorób (CDC) uznało zdarzenie z Teksasu za prawdopodobnie pierwszy udokumentowany przypadek przeniesienia H5N1 z zakażonego ssaka na człowieka.

Kury i ludzie

Olbrzymie straty notują hodowcy. Według WOAH między 2005 a 2024 r. wysoce patogenna grypa ptaków doprowadziła do śmierci lub wybicia ponad 633 mln sztuk drobiu. W samym 2022 r. – aż 146 mln.

Tylko w ciągu ostatnich 18 miesięcy zgłoszono ponad 2 tys. ognisk szczepów wysoce zjadliwej ptasiej grypy w 64 krajach i terytoriach. W ich wyniku padło lub zostało wybitych ponad 140 mln sztuk drobiu. Za tymi liczbami idą odszkodowania, ograniczenia eksportowe i wzrost cen jaj oraz mięsa. Australia zna ten mechanizm z własnego doświadczenia. Epidemia wariantu H7 z lat 2024--2025 zakończyła się wybiciem około 2 mln kur, blisko 7 proc. krajowego stada niosek.

H5N1 stawia jednak przed służbami weterynaryjnymi trudniejsze zadanie. Wirus nie ogranicza się do ferm. Krąży w populacjach dzikich ptaków, dlatego nawet po wygaszeniu jednego ogniska może wrócić wraz z kolejną falą migracji. Do australijskich ferm jeszcze nie dotarł. Nie wpłynął również na produkcję jaj ani mięsa. Mimo to Papua-Nowa Gwinea wstrzymała import australijskiego drobiu i jaj. W przypadku H5N1 skutki gospodarcze często wyprzedzają epidemię.

Najlepszą wiadomością w kontekście panzootii ptasiej grypy jest to, że H5N1 nadal bardzo słabo przenosi się pomiędzy ludźmi. To najważniejszy powód, dla którego eksperci nie mówią dziś o nowej pandemii.

Jak podaje WHO, od 2003 r. do 31 marca 2026 r. potwierdzono 997 zakażeń ludzi wirusem w 25 krajach. Zmarło 478 osób. Śmiertelność wśród potwierdzonych przypadków wyniosła więc blisko 50 proc., choć rzeczywista może być niższa, ponieważ część łagodnych zakażeń nigdy nie została rozpoznana.

Do 10 czerwca 2026 r. amerykańskie CDC odnotowały 1022 potwierdzone zakażenia u ludzi. Między sierpniem 2025 a czerwcem 2026 r. poza USA wykryto jeszcze 12 przypadków – w Bangladeszu, Kambodży i Indiach. Trzy osoby zmarły. W żadnym z nich nie potwierdzono trwałego przenoszenia wirusa z człowieka na człowieka.



BLICKWINKEL / ALAMY / BE&W

Ignorowanie stanu środowiska i zdrowia dzikich populacji zwierząt zawsze prędzej czy później **odbija się na ludziach – ich pracy, zdrowiu i życiu.**

Najbardziej narażeni pozostają pracownicy ferm drobiu, weterynarze, osoby usuwające padłe zwierzęta, opiekunowie dzikiej fauny, pracownicy laboratoriów oraz – w niektórych sytuacjach – gospodarstw mlecznych.

Dlatego australijscy lekarze rodzinni otrzymali zalecenie zwracania szczególnej uwagi na pacjentów mających kontakt z zakażonymi zwierzętami. Objawy infekcji obejmują gorączkę, kaszel, ból gardła, katar, bóle mięśni, ból głowy, zmęczenie, dolegliwości ze strony przewodu pokarmowego oraz zapalenie spojówek. To ostatnie łatwo przeoczyć, choć u osoby mającej kontakt z patogenem może być pierwszym objawem.

Jedno zdrowie

Pojawienie się H5N1 w Australii nie zwiększa bezpośrednio zagrożenia dla Polski. Europa żyje z tym wirusem od kilku sezonów. Krąży on zarówno w populacjach dzikich ptaków, jak i na fermach drobiu.

Australijski przypadek ma jednak znaczenie wykraczające poza jeden kontynent. Po raz pierwszy od początku epidemii nie ma już miejsca na świecie, które pozostawałoby poza zasięgiem linii H5N1 2.3.4.4b. Nawet kontynent chroniony przez ocean, szlaki migracji ptaków i rygorystyczną bioasekurację na fermach, nie uniknął wirusa.

To przypomnienie, że bezpieczeństwo biologiczne nie kończy się na granicach państw. Dla hodowców oznacza konieczność wzmocnienia ochrony ferm, dla weterynarzy i epidemiologów – stały monitoring dzikich zwierząt, a dla zwykłych ludzi jedną prostą zasadę: nie dotykać chorych ani padłych ptaków i zgłaszać takie przypadki odpowiednim służbom.

Australia przygotowywała się na ten moment od kilku lat. Powołała międzyresortowy zespół ds. H5N1, rozbudowała monitoring dzikiej przyrody, stworzyła system AviFluMap śledzący migracje ptaków i ogniska choroby oraz włączyła do obserwacji rdzennych strażników terenów północnej Australii. Wszystkie te działania opierają się na koncepcji One Health (Jedno Zdrowie), zakładającej, że zdrowia ludzi, zwierząt i środowiska nie da się oddzielić.

Ten sam wirus może najpierw krążyć wśród dzikich ptaków, potem zabić tysiące słoni morskich lub pingwinów, przedostać się do ferm drobiu, zakazić bydło mleczne, a w końcu człowieka mającego kontakt z chorym zwierzęciem. Każdy z tych etapów jest częścią jednego procesu. Ignorowanie stanu środowiska i zdrowia dzikich populacji zwierząt zawsze prędzej czy później odbija się na ludziach – ich pracy, zdrowiu i życiu.

Wydrzyk z Cape Le Grand był jednym chorym ptakiem znalezionym na odludnym odcinku australijskiego wybrzeża. Ale jego przypadek zamknął pewien etap. W poemacie Coleridge'a martwy albatros zawisł żeglarzowi na szyi „zamiast krzyża". W Australii nie było winy ani kary. Był tylko chory ptak, próbka wysłana do laboratorium i wynik, który pokazał, że nawet ocean nie wystarczył, by zatrzymać H5N1.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

eprasa.pl 2ed1dec601

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 2ed1dec601



TYGODNIK POWSZECHNY

30/2026

92. BONIECKI

e-prasa.pl 2ed1dec601



GRAŻYNA MAKARA

Piotr Mucharski, ks. Adam Boniecki i Jacek Stawiski, trzej naczelni „Tygodnika Powszechnego". Kraków, maj 2026 r.

Sztuka życia

JACEK STAWISKI, PIOTR MUCHARSKI

Adam – redaktor senior ksiądz Adam Boniecki – jest kotwicą tożsamości naszego „Tygodnika Powszechnego". Nie tylko dlatego, że z perspektywy młodych i najmłodszych pracowników redakcji jest tu od zawsze. W jego postawie wobec życia, zarówno spraw błahych, jak i ostatecznych, jest miara, której staramy się sprostać, redagując, pisząc, zamawiając teksty i ilustracje do kolejnych numerów pisma.

Adam – tak się tu wszyscy do niego zwracamy – jako dziennikarz i duszpasterz był zapewne najbliżej nerwu codziennego życia – najbliżej z nas wszystkich, zajmujących się tymi powołaniami. Nie tylko jako spowiednik i duszpasterz akademicki, który siłą rzeczy staje się powiernikiem najskrytszych spraw, rozterek i euforii, powierzanych mu w zaufaniu przez bliźnich.

Adam nigdy nie brał życia z drugiej ręki. Kiedy, całkiem niedawno, przez nasze media przetaczała się wywołująca skrajne opinie „sprawa Alicji Tysiąc", był jedynym dziennikarzem, który pojechał do bohaterki, by na miejscu ją poznać i wysłuchać. W redakcji o tym, że był tym jedynym, dowiedzieliśmy się po latach z innych mediów, wracających do sprawy już po śmierci Alicji Tysiąc. Wyjaśnił nam to wówczas prosto: „Nie mogłem pisać komentarza, nie poznawszy żywych racji. I nie miałem upoważnienia, by opisywać nasze spotkanie". Pewnie jako doświadczony spowiednik najlepiej wie, gdzie przebiega granica między publicznym i prywatnym. Nie zajmował się sprawą, tylko osobą.

By cokolwiek powiedzieć o Adamie, erudycie, komentatorze spraw kłębiących się na powierzchni naszego wspólnego losu, musimy pamiętać o jego doświadczeniu biorącym się z głębokiego zanurzenia w potocznym życiu, czasem tragicznym, czasem zabawnym, zawsze jedynym w swoim rodzaju. Stąd pewnie bierze się jego niechęć do opinii radykalnych i jednoznacznych. Pamiętacie powód nałożenia na niego zakazu wystąpień medialnych z wyjątkiem łamów „Tygodnika Powszechnego"? Na pytanie dziennikarki: „Czy w sali posiedzeń polskiego Sejmu powinien wisieć krzyż. Proszę powiedzieć: tak czy nie?" odpowiedział: „Obie odpowiedzi są prawidłowe". No właśnie.

Wiemy też, i nie jest to pycha redakcji „Tygodnika Powszechnego", że Adam Boniecki jest branym od dekad na serio punktem odniesienia w innych miejscach, w tym oczywiście w mediach. Wspomniana odpowiedź na pytanie o krzyż w Sejmie padła właśnie podczas rozmowy z Adamem w stacji TVN24. Opinie Adama, jego punkt widzenia i również jego wątpliwości oraz rozterki są wyczekiwane i oczekiwane w różnych miejscach Polski. Niesłabnąca popularność książek, które zawierają jego wypowiedzi czy kazania, jest tego kolejnym dowodem.

W redakcji co tydzień czekamy na słowo od Adama – krótki, precyzyjny komentarz. W naszym roboczym slangu zwie się to z języka angielskiego „edytorial". Kontaktujemy się z nim i pytamy o przemyślenia dotyczące głównego tematu wydania. To, co niezmiennie nas fascynuje w osobie Adama, to fakt, że jego doświadczenie życia i pracy pozwala mu zawsze dopowiedzieć coś od siebie do tego, co piszemy w „Tygodniku" co tydzień, ponad pięćdziesiąt razy w roku. W samym tylko XXI wieku było to grubo ponad tysiąc owych edytoriali. Mamy poczucie, że powiedział coś dla nas ważnego, coś trwałego, choćby była to najbardziej prozaiczna opinia czy opowieść. Wiemy też, jak one są ważne dla czytelników „Tygodnika", tych stałych i tych, którzy zaglądają do niego czasami. No i dla tych, którzy zaglądają tutaj właśnie dla edytoriali Adama. To jest dla nas w redakcji owa sztuka życia. Sztuka życia ks. Adama Bonieckiego. ©℗

eprasa.pl 2ed1dec601

Krótki film o życiu

KS. ADAM BONIECKI:

Niektóre moje wspomnienia są jak czytanie powieści o kimś innym. Czy ja kąpiący się w balii w Potworowie na trawniku, w słońcu, to jestem ja teraz?



GRAŻYNA MAKARA

ANNA GOC: A gdybyśmy napisali sztukę życia według księdza Bonieckiego?

KS. ADAM BONIECKI: Prowadziłem ostatnio człowieka, który mieszka w tym samym DPS-ie. Szliśmy dziarsko, dopóki nie przewróciliśmy się na środku placu.

Będzie o sztuce przewracania się, zgoda?

Wszystko w porządku?

Nauczyłem się przewracać. Wiem, jak to robić, żeby głowy nie rozbić i niczego nie połamać. Oczywiście, zawsze można się zachwiać i upaść znienacka na schodach kaplicy. Tym razem nic się nie stało.

Długo nam zeszło, zanim udało nam się wygrzebać. Zauważyłem go wieczorem, gdy wyszedłem z kaplicy. Trzymał się muru, bełkotał coś, trudno było go zrozumieć. Domyśliłem się, że potrzebuje wsparcia, żeby dojść do domu. Sam nie chodzę pewnie, ale co, ja mu nie pomogę? Wziąłem go pod rękę i w drogę. Jedno ramię miał bezwładne, nogi się pod nim uginały. Ja o lasce. Więc możesz nas sobie wyobrazić. Ale nic, szliśmy. I nagle, na środku placu, wywaliliśmy się obaj.

Szamotaliśmy się przez chwilę razem. Ciemno, dookoła nikogo. Jakoś się wygrzebałem. Chciałem go podnieść, ale za cholerę się nie dało. Więc on, odpychając się jakoś rękami i nogami, przeczołgał się po betonie do trawnika. Trawnik niewiele zmienił sytuację. Więc znowu przejechał na brzuchu do ganku i tam, przy murze, dźwignęliśmy się.

Trwało to chyba dobrą godzinę. Dziwny jest świat w domu starców, nie?

Jaki jest dla Ciebie?

Zachowuję jeszcze stare obyczaje, ale już mnie nie pociąga to, co dawniej – podróżowanie, poznawanie ludzi, nawet studiowanie nowych rzeczy. Nie zidiociałem całkiem, częściowo tylko. Jedyna pociecha.

Chodzę na lekcje, żeby utrzymać mózg w aktywności. Mam gimnastykę. I to na pewno pomaga. Choć chodzę coraz gorzej. Może tak jest nie od dziś, ale wcześniej lepiej umiałem udawać? Staram się nie poddać takiemu stanowi, rozkładowi za życia.

Jednak sprawy, które kiedyś mnie interesowały, trapiły, niepokoiły, teraz widzę inaczej, z dystansu. Mam takie poczucie, że jestem tu w innym miejscu rzeczywistości. Nowym dla mnie miejscu istnienia.

Czym ono się różni?

Nie można sobie wyobrazić tego, co czuje ktoś tak stary. To jest krótki etap, bo ileż można żyć w takiej starości? – ale z tego miejsca zupełnie inaczej się patrzy na wszystko. Z odkrywczo-zdobywczego podejścia do świata, z chęci, żeby poznać jak najwięcej, przechodzi się do pogodzenia z tym, że wiele z tych rzeczy nie jest już możliwych.

Mnie się udało, bo jestem w takim etapie życia, do którego nie wszyscy docierają. Ludzie umierają wcześniej. Co sprawiło, że żyję i żyję – nie wiem. Zastanawiam się nad swoim życiem, które się kończy.

Mówisz o tym ze spokojem.

Bo to jest spokój.

I jest czekanie na śmierć.

Czekanie?

Tak, bo na co można czekać w tym wieku?

Spotykam się z ludźmi, ale mam poczucie, że wszystko wokół mnie dzieje się już beze mnie. Śmierć jest jedynym wydarzeniem, które mnie interesuje. Jak to będzie? Czy do końca będę przytomny? A może wieczorem położę się spać i rano już nie wstanę? Nie wiem. I to jest ciekawe.

Myślisz o tym? ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ Bardzo często. Kiedy z kimś rozmawiam, to nie wiem, czy nie ostatni raz. Więc jeśli chciałabyś mi coś powiedzieć, to teraz. W sercu mam jakiś nowy mechanizm, ale on podobno nie przeszkadza w umieraniu.

Być może pomógł mi w tym mój zakon. To, że wybrałem samotne życie. I medytacja. W każdym razie nie przyszło mi to z trudem. Nie mówię, że jestem Kolumbem umierania. Pewnie inni to, że umrą, odkryli wcześniej. Ale nareszcie zdałem sobie z tego sprawę. Podobnie jak w innych sprawach, w których przechodzi się od teorii do rzeczywistości. Wiesz, że umrzesz? Niby każdy wie. Ale nie bierzesz pod uwagę tego, że to się stanie dzisiaj albo jutro.

Z człowiekiem, który odchodzi, nikt o śmierci nie chce rozmawiać. Być może bliscy nie poruszają tematu śmierci z delikatności.

Są takie pytania, których nikt Ci nie zadaje, a chciałbyś je usłyszeć?

Ludzie, z którymi teraz rozmawiam, najczęściej przychodzą do mnie ze swoimi sprawami. I to jest dobre, bo dzięki temu nie koncentruję się na sobie, na myśleniu o tym, że jestem – jak to się mówi – „stary i zdziadziały". Są też tematy bieżące, do przemyślenia, opracowania, napisania.

Ale porządek myślenia przesunął się w taki sposób, że myśli o nieodległym umieraniu wysunęły się na czoło. To już jest koniec życia, nie? I nie ma co się łudzić ani dramatyzować. Wszyscy ludzie umierają i trzeba się z tym oswajać. I tak się oswajałem, aż się oswoiłem zupełnie.

Zupełnie?

Nie wprawia mnie to w przerażenie, nie odpędzam tego jak czarnej myśli, jakiejś zgrozy. To należy do normalnego porządku. Widzę, jak ludzie reagują, gdy im mówię, że umrę.

Powoli sam dochodzę do różnych pytań. I to jest moja medytacja.

Mogę zapytać o te Twoje pytania?

Człowiek wierzący myśli o tym, co będzie potem. Nie wiem, czy każdy wierzący – ja myślę. I teraz to myślenie oczyszcza się z różnych atrybutów cielesnych. Uczta, tańce, śpiewy... w czym? Wszystko, co do tego służy, zgnije w trumnie. Więc to jest tajemnica.

A co z tu i teraz?

Oglądam wiadomości telewizyjne, czytam gazety. Jednak coraz więcej rzeczy mnie już nie dotyczy. Wojny, które się zaczynają. Mogę je jedynie obserwować. Czy są interesujące? Są. Ale patrzę na to, co się dzieje dookoła, jak ktoś, kto właśnie wyjeżdża.

Już Cię to nie dotyczy?

W pewnym sensie to jest jeszcze moje, bo będzie dotyczyło ludzi mi bliskich, młodszych. Ale ja pakuję walizki. I mam z tym kłopot – co z tymi rzeczami, które zostają, zrobić. Książki, papiery, dokumenty. Tu, w krakowskim mieszkaniu, w klasztorze w Warszawie. Porządkuję je od dawna, żeby nie zostawiać kłopotu.

A te walizki, które się zabiera ze sobą?

One są puste. Jest miłosierdzie Boże i Pan Bóg się ulituje nad człowiekiem, o którym wie, jaki był. I że święty nie był.

Będzie Ci przed Nim głupio z jakiegoś powodu?

Oczywiście. O tym będę mówił na spowiedzi przedśmiertnej. Trzeba zachować coś dla siebie. Pociecha w tym, że zrobiłem też trochę rzeczy dobrych, szlachetnych. Oddaję to Panu Bogu, pamięci ludzkiej, oby nie była za dokładna. Cóż, przyjaciele pamiętają, a inni – czy będą wiedzieli, kim był ksiądz Boniecki? Raczej nie.

Żałujesz, że czegoś nie zrobiłeś?

Chciałem być duszpasterzem wszystkich ludzi i to się chyba udało. Miałem jednak moment zawahania. Krótko po święceniach rozbiłem namiot na Hali Gąsienicowej. I nagle w nocy ogarnęła mnie rozpacz, że się nie ożenię, nie będę miał dzieci.

To był smutek za tym rodzajem miłości?

Raczej objaw miłości samego siebie. Teraz myślę, że całe szczęście, że nie mam dzieci, bo byłbym kiepskim ojcem.

Dobry ojciec to jaki?

Mądry. Musi umieć rozeznawać, co jest naprawdę ważne, a co błahe. Nie daje się nabrać. Wie, jaka jest prawda, choć nie zawsze daje to po sobie poznać. Ja jestem naiwny. Dlatego myślę, że dobrą drogę wybrałem. Od tamtej nocy już nie opłakiwałem tej sprawy.

Nie żałuję żadnej decyzji. Oczywiście, że wybierając zakon, zaniedbałem rodzinę. Ale „co by było, gdyby było inaczej"? – nie myślę tak.

Miałem jedną zasadę w relacjach – żeby ludzi nie zatrzymywać przy sobie.

Nawet tych, których kochamy?

Tych też nie. Jeśli ktoś ma zostać w naszym życiu, zostanie. Choć większość pewnie odejdzie.

I mamy się o nich nie starać?

Jeśli ma się ludzi, których się kocha, to się o nich dba. To jest jasne. Cieszę się, gdy ktoś mnie tutaj odwiedzi. Jeśli nie przyjdzie, nie wyję z rozpaczy.

Mam kilka takich historii w życiu – kilka, nie kilkanaście! – kiedy powiedziałem komuś, że nie chcę go widzieć. Wiedziałem, że to donikąd nie prowadziło, a mnie na pewno szkodziło. Ale mam też takie historie, kiedy nie wiedziałem, co mogę zrobić.

W duszpasterstwie akademickim była dziewczyna, o której wiedzieliśmy, że pije. Znaleźli ją martwą w mieszkaniu zawalonym butelkami. Nie umiem określić swojej winy i czuję się winny temu, że zostawiłem człowieka. To sprawa, która ciąży na sumieniu. Jak ona umierała? Nie byłem w tym mieszkaniu, nie widziałem jej w zaawansowanym stadium. Ale czułem, że ją zostawiałem. Nie znalazłem sposobu dotarcia do niej. Być może sposoby były, tylko ja ich nie odkryłem. Nie umiałem, po prostu nie umiałem. W każdym razie nie pomogłem jej.

Bałeś się czegoś w życiu?

Kary bożej.

Nie wszystkie elementy życia były wspaniałe. Zależy od tego, na jaki moment padnie reflektor. Co za idiotą byłem? – myślę czasem. Co za kretynem. I jest taki odruch, żeby o tym, co się nie udało, nie pamiętać. A potem znów ten moment do nas wraca.

O tym, jak żyć, wie się więcej, gdy życie się kończy.

Zawsze miałeś ten spokój?

Jak byłem generałem, nie miałem spokoju. Miałem nieraz poczucie, że za „duży wiatr na moją wełnę". Bardzo trudno było powiedzieć komuś, że powinien odejść ze

eprasa.pl 2ed1dec601

zgromadzenia. Usunąć go, jeśli nie chciał. Ale bezsennych nocy nie zaznałem. Może dlatego, że generał ma swoich zastępców.

Co z tej sztuki życia, o której rozmawiamy, było ważne?

To będzie moje subiektywne przekonanie, ale myślę, że ważne jest próbowanie nadawania sensu życiu, wyznaczania go sobie. Może i fajnie się czasem żyje bez sensu, traci czas na byle co. Odpuścić sobie, wrzucić na luz. Wejść w wir zabawy. Jeśli ktoś tego nigdy nie doświadczył, to *chapeau bas*. Przeżyłem takie momenty, one też czemuś służyły, lepiej czy gorzej. Jednak jeśli tego jest za dużo, to potem, z perspektywy, pamięta się to jako czas stracony.

I dużo lepiej wspomina się to, co wtedy wydawało się ciężką pracą. Co było skupione wokół czegoś ważniejszego. Sensowne było zaangażowanie w duszpasterstwo akademickie. Praca w polskim wydaniu „L'Osservatore Romano", w „Tygodniku Powszechnym". Ale też chodzenie po górach. Na szczęście większa część mojego życia była podporządkowana sprawom ważniejszym. I tam był też smak życia.

Potrafisz dobrze wybierać?

Bez przerwy wybieram. Z jednym człowiekiem rozmawiam długo, innego załatwiam krótko i rzeczowo. Dlaczego tak robię? Nie wiem, ale wybieram.

Podobnie z tym, co chciałem robić w życiu. Przecież mój zakon nie wysłał mnie do Francji, sam tego chciałem. „Tygodnik" też był moim wyborem. Na szczęście mój zakon jest takim, który człowieka nie osacza.

Najbardziej poczucie sensu dawała mi praca z konkretnymi ludźmi. Świadomość, że jestem potrzebny. Że się komuś na coś przydałem.

Co Cię zachwyca w innych?

Są ludzie bliscy, spontaniczni, od razu. Z niektórymi się rozumiem, nie muszę wszystkiego tłumaczyć. Poza wszystkim jest jakaś naturalna sympatia, którą jedni budzą od razu, a inni – może po czasie. Staram się temu nie poddawać, choć nie zawsze się udaje. Są ludzie, których obcość jest nie do pokonania, a przynajmniej nie do pokonania dla mnie. Nawet próby budowania z nimi wspólnoty nie są na moje siły.

Z człowiekiem, który odchodzi, nikt o śmierci nie chce rozmawiać. Być może bliscy nie poruszają tematu śmierci z delikatności.

Część z tych bliskich ludzi została. Nie mam jednak takiego odruchu, żeby teraz domykać stare sprawy. Co miałem domknąć, domknąłem. I to jest łagodne przejście.

Jest tylko dzieciństwo i starość – jak pisze Gospodinow.

Dzieciństwo przeżywa się potem. Różne elementy dzieciństwa są obecne w życiu przez pamięć późniejszą, nie przez bycie dzieckiem. Ale to się rzeczywiście przydaje. A starość jest medytacją nad życiem, które się kończy. W międzyczasie człowiek żyje bieżącymi sprawami.

A gdyby tak zamknąć na chwilę oczy – które obrazy, którzy ludzie z tego filmu życia wracają?

Rzym, w samym jego środku. Ale też Kraków. To, że czułem się tutaj potrzebny.

Grudziądz i pierwszy rok kapłaństwa, zajęcia, którymi byłem tak przejęty, że nie zwiedziłem dokładnie miasta.

Ale też Amazonia i pewien misjonarz, który trzy dni płynął łódką, żeby spotkać papieża.

Brazylia i dom księży marianów: młody człowiek, który męczył się tam okropnie. Moje pytanie, dlaczego tu właściwie jest. Jego odpowiedź, że tyle marianom zawdzięcza – zakon często wyciągał ludzi z biedy, edukował. I moja odpowiedź: człowieku, bądź ich przyjacielem, ale z zakonu odejdź. I kamień spadający mu z serca.

Film z życia, o który pytasz, jest nie do skompilowania. Ziemiańska rodzina, dwa majątki, dom w Warszawie. Okupacja, śmierć ojca. Wygnanie, bieda, aż piszczało. Co potem okazało się zaletą, bo nie budziło we mnie pożądania posiadanie kapitału. Będąc księdzem przekonałem się, że trzeba ciągle dawać. I że to jest dobre, ta wolność.

Niektóre części mojego życia pamiętam tak, jakbym czytał powieść o kimś innym. Jakby te wspomnienia nie były moje, choć wiem, że są moje. Jakby to była powieść o czyimś życiu.

Dobra to jest powieść?

W większości tak. Ale to wszystko są historie o innym człowieku. Czy ja kąpiący się w balii w Potworowie na trawniku, w słońcu, to jestem ja teraz? Może. A jednak.

Wiem, teoretycznie, że to byłem ja, są zdjęcia z tego okresu. Ale patrzę na tego Adama, jakbym to nie był ja.

Lubisz go? Tamtego Adama?

To zależy. Czasami nie znoszę.

Bardzo uroczy był, ale chyba nie wykorzystał wszystkich możliwości w życiu. Pewien profesor powiedział mu kiedyś: „Boniecki, dobre wrażenie robisz, a fizyki się nie uczysz". Genialne, prawda? Miał rację. Dobre wrażenie, moja specjalność.

Myślisz czasem o tych możliwościach, których nie wykorzystałeś?

Może byłem za leniwy?

Żałuję, że nie napisałem jednej książki. I wiem, że już jej nie napiszę. Ręcznie nie mogę już pisać, bo jest to nieczytelne. Na klawiaturze piszę powoli.

Czy to byłaby prawdziwa historia?

Powieść, którą próbowałem kiedyś napisać, ale nie potrafiłem.

Większość historii, które usłyszałem, jest nie do opisywania. Wiele razy ktoś mi coś opowiadał, ale to są historie o czyimś życiu, nie można tego ruszać. Przynajmniej ja nie mogę, bo jestem księdzem i jako ksiądz je usłyszałem.

Zmienia się to, jak się modlisz?

Z mszą zaczyna się wiązać duży wysiłek fizyczny. Momentem oparcia są teksty mszalne, bo skupiam się na nich, nie myślę o sobie. Odprawiam mszę codziennie. I te msze to jest dobra rzecz. Człowiek robi wszystko, żeby nie dać po sobie poznać wysiłku. Czasami przychodzi cała grupa, czasami jedna osoba. Zawsze ktoś.

Z wiarą jest tak, że w marszu życia przyjmuje się różne rzeczy. Ale potem samemu przejść na tamtą stronę – to już nie takie proste. Więcej jest tajemnicy. ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ Wiele rzeczy w Kościele zdaje się takich, a nie innych z powodu okoliczności historycznych, ale z Panem Jezusem nie ma wiele wspólnego. Może i są rozwiązaniami najlepszymi z możliwych, ale nie według pierwotnego zamysłu Założyciela.

Czyli?

Głoszę. I zostawiam.

Więc starość to jest taki dar. Jeszcze nie zupełna demencja, a jednak wyłączenie z mnóstwa rzeczy, które kiedyś były ważne. Świat idzie dalej swoim trybem i nie ma się jak w niego wpasować.

Zaczyna się kolejna wiosna, kolejne lato. Nie pamiętam co prawda już poprzedniej, czy jeszcze wcześniejszej. Ale chciałoby się, żeby to był początek.

A gdyby się tak dało jeszcze raz, od początku?

Wtedy można byłoby wszystko przemyśleć i być może zacząć inaczej. Ale nie oszukujmy się, to nie jest początek. Teraz można już tylko w inny sposób nastawić się do śmierci, do której, w gruncie rzeczy, człowiek nastawiał się i nastawiał, a nigdy nie był poważnie nastawiony.

Gdy się nie jest starym, śmierć traktuje się jako pewnik teoretyczny. Nie bierze się jej na poważnie. I dopiero teraz, na starość, kiedy wiadomo już, że ona może przyjść w każdej chwili, zaczyna się nastawianie na poważnie.

Czytałaś „Białość" Fossego?

Tak.

Rzeczywistość, do której się idzie, jest taka, jak u Fossego. Trochę jak sen, trochę jak majak, trochę jak świat, który znamy. To jest bardzo dobra książka, ale dla ludzi starych.

Młodzi nie zrozumieją?

Niech czytają. Czy im się przyda? Być może. To jest dojrzała opowieść o rzeczach, które wymykają się ludzkiej perspektywie.

Człowiek z trudem się dowiaduje, że skończył się pewien etap życia. I trzeba się nauczyć żyć w innym, końcowym. Wcześniej nie miałem czasu, żeby gruntownie przemyśleć pewne rzeczy. Przyjmowałem je jako pewniki, szedłem dalej.

A teraz?

Teraz mam tylko czas.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC



GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki przed Uniwersytecką kolegiatą św. Anny. Kraków, 19 maja 2025 r.

eprasa.pl 2ed1dec601



eprasa.pl 2ed1dec601

O służbie i zaufaniu

KS. ADAM BONIECKI

Trzy kazania: o istocie służenia drugiemu człowiekowi, o dziecięcej ufności wobec Boga oraz o wyborze między troską o dobra materialne a wiarą w Opatrzność.

Teściowa

Służenie tym, których się kocha, może być czasem dobrem czynionym źle.

„Zaraz po wyjściu z synagogi [Jezus] przyszedł z Jakubem i Janem do domu Szymona i Andrzeja. Teściowa zaś Szymona leżała w gorączce. Zaraz powiedzieli Mu o niej. On podszedł i podniósł ją, ująwszy za rękę, a opuściła ją gorączka. I usługiwała im" (Mk 1, 29-31).

Oczywiście teściowa musiała się niepokoić nowym trybem życia zięcia – kiedy odszedł do Jana, a teraz zbierał się do pójścia z Jezusem... Uzdrowienie było pewnie także darem uspokojenia. Tego nie wiemy. Wiemy, że uzdrowiona usługiwała im.

Dopiero co była chora, a teraz musi im usługiwać. Powie ktoś: oto katolicki model roli kobiety – mężczyźni siedzą, a dopiero co chora kobieta im usługuje... Ale przecież może być i tak, że usługiwanie nie jest krzywdą, lecz źródłem radości, kiedy się kocha... Nie jest powiedziane, że ktoś jej kazał.

Tę posługę trzeba umieć przyjąć. Można przywyknąć, bo zawsze tak było. A można za każdym razem zauważyć, że jest ktoś, komu sprawia radość służenie. I czasem wystarczy tyle. Służenie tym, których się kocha, może być czasem dobrem czynionym źle. Można służyć, by sobie podporządkować. By tą służbą (miłością?) panować, szantażować (Tak się dla was poświęcam, a ty, Piotrze, chcesz iść z tym nauczycielem?).

Św. Paweł: „dla słabych stałem się jak słaby, aby pozyskać słabych". Służąc, pozostać słabym – żeby ci, którym służę, poczuli się mocniejsi. „Stałem się wszystkim dla wszystkich, żeby w ogóle ocalić przynajmniej niektórych". Nie będąc św. Pawłem, należy postępować ostrożnie z tym staraniem się o bycie wszystkim dla wszystkich – wtedy można być nikim dla wszystkich, potrzebnym dla nikogo.

Służenie sobie nawzajem. Czasem ktoś nie umie inaczej powiedzieć o swojej miłości... Odpowiedź: zobaczyć, przyjąć, dziękować. Nieprzyjęcie jest odepchnięciem znaku miłości. Służenie, nie zabór... Kiedyś używano zwrotu: „czym mogę służyć?". Dziś: „w czym mogę pomóc?". Bo ten, który pomaga, jest mocniejszy od tego, który potrzebuje pomocy. Ale nie daj Boże uznać, że się służy komukolwiek.

I drugi szczegół: „Nad ranem, gdy jeszcze było ciemno, wstał, wyszedł i udał się na miejsce pustynne, i tam się modlił. Pośpieszył za Nim Szymon z towarzyszami, a gdy Go znaleźli, powiedzieli Mu: »Wszyscy Cię szukają«. Lecz On rzekł do nich: »Pójdźmy gdzie indziej...«". Dla Szymona i towarzyszy to nie jest czas na modlitwę, bo... wszyscy Go szukają. Stracony czas. Tu czeka apostolski sukces, rozgłos...

My często nie tyle nie mamy czasu na modlitwę, co na modlitwę szkoda nam czasu. Bo właśnie mamy coś ważniejszego, pilniejszego. Bo sytuacja, która się już pewnie nie powtórzy... I pędzimy przed siebie aż do wypalenia. I w końcu stajemy się jak Hiob, który „pędzi dni jak najemnik. Jak niewolnik, co wzdycha do cienia, jak robotnik, co czeka zapłaty". Wypalony, w depresji myśli: „Położę się, mówiąc do siebie: Kiedyż zaświta i wstanę? Lecz noc wiecznością się staje (...). Czas leci jak tkackie czółenko i przemija bez nadziei".

To o nas!

Nadzieja i sens – w modlitwie przed świtem. W usługiwaniu braciom z miłością... W byciu potrzebnym im, nie sobie.

5. niedziela zwykła, rok B, 2015, Stegny

Jak dziecko przed ojcem

Można być ministrem czy arcybiskupem – wobec Boga, w swoim wnętrzu, trzeba być dzieckiem.

Ten fragment Ewangelii Mateusza jest nazywany przez biblistów „tekstem janowym" ze względu na teologiczną głębię (Jan w Kościele Wschodnim zwany jest Janem Teologiem). Znaczenie tych słów Jezusa: „Nikt nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn" (Mt 11, 27) uważa się za odpowiedź na fundamentalne pytanie o samoświadomość Jezusa – czy rzeczywiście sam Jezus uważał się za Syna Bożego, czy jest to konstrukcja myślowa późniejsza, nadinterpretacja...

Dziś chcę jednak zatrzymać się na słowach dziękczynienia: „Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztropnymi, a objawiłeś je prostaczkom" (w. 25; Biblia Gdańska z 1632 r.: niemowlętom).

W kontekście: dopiero co byli u Jezusa wysłańcy Jana Chrzciciela („czy Ty jesteś...?"). O Janie mówi jako o Eliaszu – największa pochwała jego wiary. Ubolewa nad niezdolnością do przyjęcia Jego nauki i wyraża wdzięczność Ojcu: „wysławiam Cię, Ojcze, że objawiłeś »te rzeczy« prostaczkom...". Prostaczkom, nie „mądrym i roztropnym".

„Prostaczkom" – νήπιος (nēpios). Według Łukasza 10, 21: niemowlętom. Podobnie w Pierwszym Liście do Koryntian (3, 1): „A ja, bracia, nie mogłem powiedzieć wam jak duchowym, ale jak cielesnym, jak niemowlętom w Pomazańcu". Sens: ja też, bracia, nie byłem w stanie mówić do was jako

eprasa.pl 2ed1dec601

do duchowych, lecz jako do cielesnych, jako do niemowląt w Chrystusie.

Nie jest to pochwała głupoty – raczej należy je rozumieć w kontekście: „zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego” (Mt 18, 3).

Od chwili urodzenia „obrastamy” w wiedzę, doświadczenie, dorobek: naukowe i urzędowe tytuły, prestiż, majątek (większy czy skromniejszy), w dobre opinie o nas, szacunek. Tak bardzo, że to się staje elementem naszej tożsamości: „jestem kimś!”. Doświadczenie utraty – czasem będzie to przejście na emeryturę, czasem utrata stanowiska, czasem mały wylew – okazuje się śmiertelnie bolesne dla tego, kto się utożsamił z tymi nawarstwiającymi się... maskami.

Jak dziecko, niemowlę. Dziecko bierze. Dorosły wie: trzeba kupić, więc zarobić, albo pożyczyć i potem spłacić... Dziecko mówi „daj”. Boga traktujemy handlowo: dziewięć pierwszych piątków, za to dobra śmierć... Słowo dominujące w naszej religijności: „zasługa”.

Dziecko jest słabe, zależne. Zdane na dorosłych. Dziecko jest synem, nie niewolnikiem. Ufa. Synostwo. Spełniam to, czego oczekuje ojciec, by go ucieszyć. Polecenie ojca to co innego niż polecenie pana. Dlatego dzieciom nie płacimy za wyniesienie śmieci...

Można być profesorem, ministrem, arcybiskupem – wobec Boga, w samym swoim wnętrzu, trzeba być dzieckiem. Tak samo spowiada się papież i tak samo spowiada się sprzątaczka z Watykanu (żart o spowiedzi pani hrabiny przed prostym proboszczem: „Czym pani hrabina raczyła obrazić Boga?”). Zdjąć maski, kostiumy, wewnętrznie się zdystansować od prestiżu, tytułu, dorobku, pozycji w rodzinie, społeczeństwie. Odłożyć cały sztafaż, który ma nas chronić, stwarzać „wizerunek”.

Nie chodzi o infantylne udawanie dziecka, przymilne seplenienie – przychodzimy z bagażem przeszłych win i zasług. Co z dawnych grzechów trwa? Czyn należy do przeszłości, grzech został rozgrzeszony... ale skutki w kimś skrzywdzonym, zgorszonym, zranionym trwają; w nas blizny pozostały, pamięć tego, co się stało i czego już cofnąć się nie da. Zasług – zwykle wątpliwych, bo Bóg widzi nasze motywacje: aktów altruizmu wynikających jakże często z miłości własnej...

Z tym krzyżem przeżytej przeszłości stajemy jak dziecko przed ojcem, do którego ma bezgraniczne zaufanie, że On znajdzie wyjście także tam, gdzie ja jestem bezradny. Nie będzie zachwycony, ale jakoś mnie z tego wyciągnie, jakoś naprawi... bo mnie kocha.

Życie nie trwa bez końca (przynajmniej to na ziemi). Prawda o sobie – najpierw wobec samego siebie (siebie też człowiek potrafi oszukiwać) i wobec Boga. Wtedy, kiedy będziemy νήπιος (nēpios), niemowlętami (w tym sensie „prostaczkami”), Bóg nam objawi siebie, a kiedy objawi – my będziemy w stanie przyjąć Jego objawienie.

14. niedziela zwykła, rok A, 2014, Stegny

Sprawy materialne

Czego uczy i wymaga Jezus? By nie służyć Bogu i Mamonie. Nie da się tego pogodzić – albo, albo.

Służyć, znaczy zbytnio się troszczyć o sprawy materialne, o bezpieczeństwo... nie wierzyć naprawdę, że „przecież Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie”.

„Zbytnio” – ilustracja tej nauki: „ptaki w powietrzu, które nie sieją, ani nie żną i nie zbierają do spichrzów” – wskazuje, że nie jest to negacja potrzeby trudu o byt materialny. Bóg nie przynosi ptakom niebieskim pożywienia do gniazda. Jezus ma na myśli życiowy priorytet człowieka. I zapewnia: „Starajcie się naprzód o Królestwo Boga i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane” (Mt 6, 24-34).

Czy można w to poważnie uwierzyć? Kiedy myślimy o sytuacjach krańcowych, jak choćby o więźniach obozów koncentracyjnych, z Benedyktem XVI przemawiającym (28 maja 2006) w Oświęcimiu, że nasze serce „w przerażającej ciszy woła do Boga: Panie, dlaczego milczałeś? Dlaczego na to przyzwoliłeś?”. ↦



eprasa.pl 2ed1dec601

↦ Wielki papież i wielki teolog odpowiada: „Nie potrafimy przeniknąć tajemnicy Boga – widzimy tylko jej fragmenty i błądzimy, gdy chcemy stać się sędziami Boga i historii. Osądzając Boga, nie uratujemy człowieka... przeciwnie, przyczynimy się do jego zniszczenia. Ostatecznie powinniśmy wytrwale, pokornie, ale i natarczywie wołać do Boga: Przebudź się! Nie zapominaj o człowieku, którego stworzyłeś! To nasze wołanie do Boga winno jednocześnie przenikać i przemieniać nasze serca, aby obudzić ukrytą w nas obecność Boga – by Jego moc, którą złożył w naszych sercach, nie została stłumiona i zagrzebana w nas przez muł egoizmu, strachu przed ludźmi, obojętności i oportunizmu".

„Ukryta w nas obecność Boga, Jego moc...". W jakiej mierze Bóg bezpośrednio ingeruje w sprawy ludzi, w jakiej mierze odpowiedzialność za nie pozostawił nam, ludziom, w których drzemie ukryta obecność Boga, Jego moc...?

Za punkt wyjścia Orędzia na Wielki Post papież Franciszek wybrał słowa św. Pawła, który zwraca się do chrześcijan Koryntu i zachęca ich, aby szczodrze dopomogli wiernym w Jerozolimie, którzy są w potrzebie – w imię Chrystusa, który „stał się ubogim, aby was...". Orędzie mówi o naszej postawie wobec nędzy materialnej, moralnej i duchowej wokół nas: będzie to „świadectwo o orędziu Ewangelii, którego istotą jest miłość Ojca miłosiernego, gotowego przygarnąć w Chrystusie każdego człowieka". „Wielki Post to czas ogołocenia: dobrze nam zrobi, jeśli się zastanowimy, czego możemy się pozbawić, aby pomóc innym i wzbogacić ich naszym ubóstwem. Nie zapominajmy, że prawdziwe ubóstwo boli: ogołocenie byłoby bezwartościowe, gdyby nie miało wymiaru pokutnego. Budzi moją nieufność jałmużna, która nie boli".

Dzisiejszą Ewangelię czytamy z nieśmiałością. Bo Kościołowi, księżom często się zarzuca, że służymy Mamonie, że zbytnio się troszczymy o to, co mamy jeść, a nie o Królestwo Boże – i niespecjalnie ufamy w troskę o nas Ojca.

Można jak św. Paweł odpowiedzieć: „mnie zaś najmniej zależy na tym, czy będę osądzony przez was, czy przez jakikolwiek trybunał ludzki... Pan jest moim sędzią" (1 Kor 4, 3-5). Można, pewnie czasem trzeba... ale czy zawsze? Na pewno Kościół ma się starać „naprzód o królestwo Boże i Jego sprawiedliwość" – ma ufać, że wszystko inne będzie mu przydane. Wypróbował to i tego doświadcza w czasach prześladowań.

Z drugiej strony: czy w normalnych czasach staranie o Królestwo wyklucza staranie o bazę materialną? I pokusa populistycznego patrzenia: czy biskup ma nosić połataną sutannę (Wojtyła nie nosił!) i jeździć zdezelowanym samochodem? Może... Był taki, który na wizytacje jeździł PKS-em.

Dwa pytania. Pierwsze: czy to „wszystko, co zostało mu przydane", wciąż służy Królestwu Boga i Jego sprawiedliwości? Drugie: komu naprawdę ufa – Bogu czy Mamonie?

Te pytania do ludzi Kościoła to także pytania do każdego z nas: Komu służę? I komu naprawdę ufam?

8. niedziela zwykła, rok A, 2014, Stegny

©℗ KS. ADAM BONIECKI



GRAŻYNA MAKARA / FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Ks. Adam Boniecki. Dworzec Warszawa Centralna, 3 czerwca 2019 r.

eprasa.pl 2ed1dec601



eprasa.pl 2ed1dec601

MARIMEX
Z pasji do motoryzacji
OPEL FIAT

Czcigodny Księże Adamie,

z okazji 92. urodzin proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia zdrowia, pogody ducha oraz wielu kolejnych lat wypełnionych życzliwością ludzi i satysfakcją z dobra, które Ksiądz niezmiennie wnosi w życie innych.

Jest dla nas prawdziwym zaszczytem, że przez wiele lat mogliśmy towarzyszyć Księdzu Adamowi w codzienności, służąc pomocą przy wyborze kolejnych samochodów. Tę relację zawsze postrzegaliśmy nie tylko jako kontakt z cenionym Klientem, lecz przede wszystkim jako spotkanie z Człowiekiem niezwykłej klasy, skromności i serdeczności.

Od lat z podziwem obserwujemy, jak swoją postawą, mądrością i otwartością buduje Ksiądz przestrzeń dialogu oraz wzajemnego szacunku. Dla wielu osób jest Ksiądz autorytetem, który uczy, że prawdziwa siła płynie z uważności na drugiego człowieka, pokory i gotowości do rozmowy.

W dniu Jubileuszu życzymy przede wszystkim dobrego zdrowia, wewnętrznego spokoju oraz wielu chwil radości w gronie bliskich i przyjaciół. Niech każdy kolejny dzień przynosi poczucie, że dobro, którym Ksiądz od dziesięcioleci obdarza innych, nieustannie wraca.

Z wyrazami najwyższego szacunku i serdecznymi życzeniami

Zarząd firmy Marimex
Anna i Marcin Kus z Synami

Szanowny Księże Adamie,

z okazji 92. urodzin pragniemy złożyć Księdzu najserdeczniejsze życzenia zdrowia, spokoju oraz nieustającej siły do dzielenia się mądrością, która od lat inspiruje kolejne pokolenia czytelników i słuchaczy.

Z wielkim szacunkiem patrzymy na drogę Księdza - pełną odwagi, otwartości i konsekwencji w poszukiwaniu dobra oraz prawdy. Podziwiamy postawę, która pokazuje, że autorytet rodzi się z uważności na drugiego człowieka, gotowości do dialogu i umiejętności budowania porozumienia ponad podziałami. To wartości, które pozostają szczególnie ważne we współczesnym świecie.

Dziękujemy za słowa, które pomagają lepiej rozumieć rzeczywistość, za wrażliwość na sprawy ludzi oraz za przypominanie, że szacunek, odpowiedzialność i wzajemne zaufanie są fundamentem każdej trwałej wspólnoty.

Życzymy Księdzu nieustającej pogody ducha oraz wielu kolejnych lat w zdrowiu i otoczeniu życzliwych ludzi. Niech każdy dzień przynosi satysfakcję, radość i poczucie, że dobro, które Ksiądz od dziesięcioleci wnosi do życia publicznego, nadal owocuje i inspiruje następne pokolenia.

Z wyrazami najwyższego szacunku i serdecznymi życzeniami

Zarząd i Pracownicy

HERBEWO
HERLICZKA · BEŁDOWSKI · WOŁOSZYŃSKI S.A.
1924

eprasa.pl 2ed1dec601

PREZYDENT MIASTA KRAKOWA

Czcigodny Księże Redaktorze,

są ludzie, którzy potrafią nadać miastu ton — nie urzędem ani tytułem, lecz sposobem bycia wśród innych. Dla Krakowa takim człowiekiem jest Ksiądz: od ponad sześćdziesięciu lat najbardziej rozpoznawalny głos „Tygodnika Powszechnego". Dziś, w dniu Księdza 92. urodzin, mamy znów dobry powód, by powiedzieć to, co myślimy od dawna: dziękujemy.

Dziękujemy za styl myślenia, w którym powaga nie wyklucza humoru, a wierność własnym przekonaniom idzie w parze z ciekawością drugiego człowieka. Za dziennikarstwo, które nie podnosi głosu, a mimo to słychać je wyraźnie — od Krakowa, przez Paryż, po Rzym, gdzie na życzenie Jana Pawła II tworzył Ksiądz polskie wydanie „L'Osservatore Romano". Za lata kierowania „Tygodnikiem Powszechnym", ale i za wszystkie rozmowy — te wydrukowane i te prowadzone przy stole, na ulicy, w duszpasterstwie — w których uczył nas Ksiądz, że dialog nie jest słabością, lecz odwagą.

Kraków ma to szczęście, że o jego charakterze przesądzają nie mury, lecz ludzie. Sposób, w jaki Ksiądz słucha, pyta i spiera się — zawsze z życzliwością, nigdy z wyższością — od dziesięcioleci wyznacza miarę tego, jak w naszym mieście chcemy ze sobą rozmawiać. Trudno opowiedzieć Kraków ostatnich sześciu dekad, pomijając Księdza obecność: dyskretną, wierną, o niezwykłym wpływie na kolejne pokolenia Krakowian.

Proszę o przyjęcie gorących życzeń zdrowia i sił, niesłabnącej radości z ludzi i ze świata, a także tego, czego żadna okrągła ani nieokrągła rocznica nie zmienia: dobrych rozmów, wiernych przyjaciół i poczucia, że jest Ksiądz w Krakowie zawsze u siebie.

Z wyrazami najgłębszego szacunku i serdecznymi gratulacjami

Stanisław Kracik
p.f. Prezydenta Miasta Krakowa

Kraków, lipiec 2026 r.

eprasa.pl 2ed1dec601

Warszawa

Warszawa, lipiec 2026 r.

Wielce Szanowny Księże Jubilacie,

w imieniu własnym oraz Warszawianek i Warszawiaków chciałbym przekazać wyrazy wdzięczności za wszystko, czego uczymy się dzięki Księdza życiu i postawie – za poświęcenie człowiekowi i dobru wspólnemu.

Jako kapłan, publicysta, autorytet przypomina nam Ksiądz, że wspólnotę buduje się przede wszystkim poprzez rozmowę, uważność i wzajemny szacunek. Tak też Księdza postrzega Warszawa – miasto różnorodnych doświadczeń, przekonań i indywidualnych historii. Obecność Ks. Redaktora w życiu intelektualnym i społecznym stolicy od lat inspiruje do podejmowania dialogu i spotkania ponad podziałami oraz do odpowiedzialnego myślenia o drugim człowieku. Nasze miasto potrzebuje takiego świadectwa.

W swoich tekstach i wystąpieniach zachęca Ksiądz, aby nie ulegać pokusie prostych odpowiedzi. Przypomina, dojrzewamy nie tylko dzięki przekonaniom, lecz także dzięki stawianiu pytań, wsłuchiwaniu się w innych i gotowości do zmiany własnej perspektywy.

W czasach narastających podziałów szczególnie cenne jest to, że konsekwentnie wybiera Ksiądz drogę dialogu nie unikając trudnych tematów ani niewygodnych pytań stawianych współczesnemu światu. Zawsze z troską o człowieka, zawsze z przekonaniem, że szczera rozmowa jest warunkiem odnowy, a nie zagrożeniem dla wspólnoty.

W ostatnich miesiącach raz jeszcze przypominał Ksiądz, że chrześcijaństwo nie zaczyna się od oceniania, lecz od obecności przy drugiej istocie ludzkiej. To przesłanie nabiera dziś szczególnego znaczenia wobec dramatu wojen, społecznych napięć i doświadczania samotności przez wielu z nas. Towarzyszyć, słuchać, nie odwracać wzroku – Księże Adamie, dziękujemy za te mocne wytyczne. A ponadto za odwagę myślenia, wierność własnemu sumieniu oraz za przypominanie wciąż na nowo, że w centrum każdej debaty, decyzji i wspólnoty powinien pozostawać Człowiek. To perspektywa, którą wciąż tak trudno nam przyswoić.

Z okazji 92. urodzin życzę Księdzu zdrowia, pogody ducha i sił do dalszej misji. Proszę nie przestawać zadziwiać nas mądrością i pokorą.

Z wyrazami wdzięczności i szacunku,

Rafał Trzaskowski

eprasa.pl 2ed1dec601



REKLAMA

eprasa.pl 2ed1dec601

Prestige
MJM

Szanowny Księże Adamie,

od lat inspiruje Ksiądz swoją mądrością, otwartością
i umiejętnością budowania mostów między ludźmi.
W świecie, który często koncentruje się na szybkim sukcesie,
przypomina Ksiądz, że prawdziwa wartość rodzi się z uczciwości,
szacunku i odpowiedzialności za drugiego człowieka.

To również fundamenty dobrego biznesu. Wierzymy,
że trwałe przedsięwzięcia powstają tam,
gdzie zaufanie jest ważniejsze od doraźnych korzyści,
partnerstwo cenniejsze od rywalizacji,
a słowo ma taką samą wartość jak podpisana umowa.

Nasza wiara w te wartości to w dużej mierze zasługa Księdza.

Dziękujemy za Księdza odwagę, wrażliwość na drugiego człowieka oraz słowa,
które od lat zmuszają do refleksji, dialogu i nadziei.
Dobrze, że w naszym życiu możemy czerpać z takiego Autorytetu.

Z okazji Księdza urodzin życzymy zdrowia, pogody ducha, spokoju i wytrwałości.
Przede wszystkim zaś niesłabnącej radości w głoszeniu Słowa Bożego.
Sobie zaś, by kapłanów pokroju Księdza było w polskim Kościele jak najwięcej.

Mateusz Pawlicki, Janusz Stefański, Marek Kurzawa
Prestige MJM

eprasa.pl 2ed1dec601

Polska Rada Biznesu

Czcigodny Księże Adamie,

z okazji 92. urodzin proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia zdrowia i pogody ducha.

20 lat temu spotkaliśmy się w pokoju redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego". To był początek eksperymentu, który dzięki odwadze Księdza doprowadził do tego, że „Tygodnik" istnieje do dziś, pozostając ważnym głosem wśród polskich mediów.

Przez te wszystkie lata przypominał nam Ksiądz o czymś współcześnie coraz rzadszym: że można się spierać bez pogardy, a sprzeciw wcale nie musi się kłócić z szacunkiem dla drugiej strony. Że za każdym poglądem stoi człowiek, którego warto najpierw wysłuchać. I że czasem warto się po prostu zatrzymać.

Ta lekcja jest ważna także dla ludzi biznesu. Żyjemy pod nieustanną presją szybkich decyzji, a te najważniejsze wymagają namysłu – i pamięci o ludziach, których dotkną.

Dziękuję za lata wolnego i odważnego słowa. Życzę Księdzu spokoju, bliskości życzliwych ludzi i wielu dobrych dni.

Wojciech Kostrzewa
Prezes Zarządu Polskiej Rady Biznesu

eprasa.pl 2ed1dec601

Czcigodny Księże Adamie,
Drogi Jubilacie!

Jest nam ogromnie miło znaleźć się w gronie osób i instytucji przekazujących Ci serdeczne życzenia z okazji Twych 92. urodzin. Nie ukrywamy, że przynależność do tego gremium napawa nas satysfakcją i dumą – tym większą, że powinszowania składamy wszak wypróbowanemu przyjacielowi i członkowi honorowemu naszego Stowarzyszenia.

Nasi członkowie od lat, wręcz pokoleń, śledzą z uwagą Twoje wypowiedzi – książki, eseje, felietony i komentarze. Dla wielu z nich stanowią one niedościgły wzór głosu odpowiedzialnego, wyważonego w ocenie i niepodatnego na interpretacje. Twoje słowa prezentują obiektywny i rzetelny osąd, są pełne empatii, zrozumienia, optymizmu, nade wszystko wiary w człowieka i nieustającej życzliwości dla bliźniego.

Dziękując Ci za to,
życzymy Ci zdrowia i energii,
by cieszyć się z Tobą kolejnymi jubileuszami.

Twoi przyjaciele z ZAiKS-u

za KS
sprzyjamy wyobraźni

eprasa.pl 2ed1dec601

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

Księże Adamie,

Dostojny Jubilacie,

Drogi Laureacie Nagrody Specjalnej Muzeum POLIN,

przyjmij najserdeczniejsze życzenia z okazji 92. urodzin:
zdrowia, pokoju serca i tej szczególnej pogody ducha, która od lat pozwala Księdzu patrzeć na świat z mądrością, cierpliwością i nadzieją.

Życzę tego w imieniu własnym i całego Zespołu Muzeum POLIN, który widzi w Księdzu moralny autorytet i sojusznika w słusznej sprawie. „Tygodnik Powszechny" pod Księdza kierownictwem był wielekroć ważnym głosem i forum dyskusji, także w sprawach polsko-żydowskiej historii. Przyczynił się w ten sposób do zmiany w myśleniu wielu Polaków – zmiany, bez której Muzeum POLIN by nie powstało.

Jesteśmy wdzięczni za życzliwość, jaką od lat okazuje Ksiądz naszemu Muzeum, i dumni, że to właśnie u nas odbywały się spotkania autorskie i warszawskie premiery Jego książek.

Zgodnie z piękną żydowską tradycją,
życzymy Księdzu 120 lat w dobrym zdrowiu.

Z wyrazami szacunku,

Dariusz Stola

Dyrektor Muzeum

eprasa.pl 2ed1dec601

Czcigodny Jubilacie,

Prosimy przyjąć z okazji urodzin z serca płynące życzenia zdrowia, radości, siły. Dziękujemy za Twoją mądrość, za słowa, które skłaniają do refleksji, inspirują i dodają otuchy.

Drogi Księże Redaktorze, podziwiamy Twoją wnikliwość oraz uczciwość w komentowaniu rzeczywistości. Jesteś niedoścignionym mistrzem słowa – słowa pięknego, odpowiedzialnego, treściwego, opartego na ewangelicznych wartościach. W świecie wypełnionym pośpiechem, w hałaśliwej rzeczywistości, w epoce nienasycenia i niestałości pozostajesz punktem moralnego odniesienia. Twoja mądrość jest niczym płomień górniczego kaganka: rozprasza zwątpienie, strach, pozwala dojrzeć zupełnie nowe ścieżki.

Szanowny Jubilacie, życzymy Ci wszystkiego, co najlepsze i najpiękniejsze!

Z górniczym „Szczęść Boże",

Marian Leśny

Prezes Zarządu
Kopalnia Soli „Wieliczka" S.A.

Łukasz Sadkiewicz

Członek Zarządu ds. Ekonomicznych
Kopalnia Soli „Wieliczka" S.A.



znak

Czcigodny Jubilacie, Drogi Księże Adamie!

Korzystając z radosnej okazji, jaką są Twoje 92. urodziny, chcemy Ci podziękować za Twoją obecność pośród nas – Twoich czytelniczek i czytelników.
Twoja mądrość, spokój, humor, życzliwe spojrzenie na świat i odwaga, z jaką podejmujesz odwieczne ludzkie pytania, od lat są dla nas cennym świadectwem i wsparciem na krętych niekiedy ścieżkach wiary.
To dla nas ogromne wyróżnienie, że jesteśmy Twoim domem wydawniczym.

Życzymy Ci dużo sił, zdrowia, wewnętrznego światła, pokoju serca oraz doświadczenia bliskości Boga i człowieka. Niech ten czas jubileuszu będzie zwyczajnie radosny i dobry, a dalsze lata obfitują w potrzebne łaski.

Drogi Księże, w jednym ze swoich felietonów napisałeś:
„Wydarzenia są ważne, najważniejsi są ludzie" – i dodałeś: „Pamiętajmy o sobie".
Przyjmij zatem wyrazy naszej serdecznej pamięci, wdzięczności i szacunku.

Wszystkiego najlepszego!

Przyjaciele z Wydawnictwa i Miesięcznika Znak

WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

Szanowny Księże Adamie,

z okazji 92. urodzin prosimy przyjąć nasze najserdeczniejsze życzenia oraz wyrazy najwyższego szacunku i uznania.

Od ponad siedmiu dekad swoją działalnością duszpasterską, publicystyczną i społeczną wnosi Ksiądz nieoceniony wkład w życie publiczne oraz rozwój współczesnej myśli społecznej w Polsce. Jako wieloletni redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego", współpracownik św. Jana Pawła II, wybitny autorytet życia publicznego, stał się Ksiądz symbolem odpowiedzialności za słowo, kultury dialogu oraz otwartości na drugiego człowieka.

Księdza dorobek, niezależność myślenia i konsekwencja w promowaniu wartości opartych na szacunku, odpowiedzialności oraz wzajemnym zrozumieniu od lat inspirują kolejne pokolenia. Dzięki swojej postawie pozostaje Ksiądz jednym z najbardziej cenionych uczestników polskiego życia intelektualnego i społecznego.

Z okazji tego pięknego jubileuszu życzymy Księdzu dobrego zdrowia, pogody ducha, nieustającej energii oraz wielu powodów do radości i satysfakcji. Niech każdy kolejny dzień przynosi spokój, życzliwość otaczających ludzi oraz poczucie spełnienia płynące ze świadomości, że Księdza praca, słowa i postawa pozostawiły trwały ślad w życiu wielu osób i w historii współczesnej Polski.

Życzymy również niegasnącej inspiracji do dzielenia się swoim doświadczeniem, mądrością i refleksją z kolejnymi pokoleniami.

Z wyrazami najwyższego szacunku, ***ad multos annos!***

Rektor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie
dr Małgorzata Gosek

Prezydent Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie
dr hab. inż. Tadeusz Pomianek, prof. WSIiZ

Wiceprezydent Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie
dr Wergiliusz Gołąbek

eprasa.pl 2ed1dec601

WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Czcigodny Księże Adamie,

z okazji 92. urodzin proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia zdrowia,
pogody ducha oraz wielu kolejnych lat wypełnionych życzliwością,
spokojem i niegasnącą ciekawością świata.

Dla Wydawnictwa Poznańskiego wielkim zaszczytem
było towarzyszenie Księdzu w drodze do czytelników poprzez książkę „Testament".
To spotkanie z myślą człowieka, który od dziesięcioleci uczy, że najważniejsze
pytania warto stawiać z pokorą, odwagą i otwartością na drugiego człowieka.

Słowa Księdza nie tylko skłaniają do refleksji,
ale także budują mosty tam, gdzie łatwo o podziały.

Są świadectwem mądrości, która nie szuka prostych odpowiedzi,
lecz zachęca do uważnego wsłuchiwania się w drugiego człowieka
i do odpowiedzialności za słowo.

Życzymy, aby nie zabrakło Księdzu zdrowia, sił i wewnętrznego spokoju,
a każdy kolejny dzień przynosił radość płynącą ze spotkań z ludźmi,
którzy dzięki Księdzu odnajdują nadzieję, inspirację
i odwagę do mądrego przeżywania codzienności.

Z głęboką wdzięcznością za zaufanie, którym nas Ksiądz obdarzył,
oraz z wyrazami najwyższego szacunku
składamy najserdeczniejsze życzenia urodzinowe.

Robert Falewicz
Prezes Zarządu Wydawnictwa Poznańskiego

eprasa.pl 2ed1dec601

Szanowny Księże Adamie,

z okazji 92. urodzin pragniemy złożyć Księdzu najserdeczniejsze życzenia – zdrowia, sił i niegasnącej pogody ducha, które od lat są inspiracją dla tak wielu ludzi.

Dziękujemy za mądrość, którą Ksiądz dzieli się z czytelnikami i słuchaczami, za odwagę zadawania pytań, za umiejętność budowania mostów tam, gdzie inni widzą podziały, oraz za spokojny, pełen życzliwości głos, który pomaga odnaleźć sens nawet w najbardziej skomplikowanych sprawach.

Z ogromnym szacunkiem patrzymy na Księdza drogę – pełną spotkań, dialogu i uważności wobec ludzi oraz otaczającego świata. To piękna podróż, która inspiruje kolejne pokolenia.

Życzymy, aby każdy kolejny dzień przynosił Księdzu wiele powodów do radości, poczucie bliskości życzliwych osób oraz satysfakcję z tego, jak wiele dobra pozostawia Ksiądz w sercach innych. Niech nie zabraknie chwil wytchnienia, inspirujących rozmów i miejsc, które zachwycają swoją prostotą, pięknem i historią.

Niech zdrowie dopisuje, a wewnętrzny spokój, mądrość i ciekawość świata niezmiennie towarzyszą Księdzu na dalszych etapach tej wyjątkowej życiowej podróży.

Z wyrazami najwyższego szacunku, wdzięczności i serdeczności,

Zespół Albatros Travel

Albatros travel

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 30/2026

OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron, Janusz Sieńko | REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Grażyna Makara / Fundacja Tygodnika Powszechnego

WSPÓŁWYDAWCA

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNER GŁÓWNY WYDARZENIA

Kraków

PARTNERZY 92. BONIECKI

WODOCIĄGI Miasta Krakowa
125 lat! Jesteśmy z Wami. Każdego dnia.

mpec kraków

Polska Rada Biznesu

za KS sprzyjamy wyobraźni

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

znak

WP Wydawnictwo Poznańskie

HERBEWO HERBICZKA-BEŁDOWSKI-WOŁOSZYŃSKI S.A. 1924

WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA z siedzibą w Rzeszowie

Albatros travel

Prestige MJM

MELISANA Klosterfrau Original

MARIMEX FIAT

eprasa.pl 2ed1dec601

WOJCIECH

Bonowicz: *Piętro wyżej*



Śmierć Tadeusza Baranowskiego, podobnie jak wcześniej odejście Papcia Chmiela czy Bohdana Butenki, to bolesne odarcie ze złudzeń, że jeszcze kiedyś, choćby na moment, będziemy mogli być dziećmi. Ale za tą pierwszą zjawia się też inna myśl.

Bo dziecko w nas – cokolwiek z nim zrobiliśmy przez lata, my albo inni ludzie – nigdy nie znika zupełnie. Możliwe nawet, że to ono jest najbardziej upartą częścią naszego sumienia, która pyta: co zrobiłeś z moją wyobraźnią? Z moją radością życia? Z moją wolnością? Co zrobiłeś – ty dorosły ja?!

Komiksy Baranowskiego to była klasa sama w sobie. Gimnastyka nie tylko oka, ale również umysłu. Nieprawdopodobna językowa energia. Swoją debiutancką książkę zatytułował: „Na co dybie w wielorybie czubek nosa Eskimosa". Który wydawca zgodziłby się dziś na taki eksces? A „Antresolka profesora Nerwosolka"? Pyknięto 150 tysięcy pierwszego nakładu, choć naprawdę nie była to książka łatwa.

Ci, którzy od komiksu oczekiwali przygód, bywali Baranowskim zawiedzeni. Przygody, owszem, były, ale na ogół na tak zwanym metapoziomie. Postaci z jego komiksów wiedziały bowiem, w czym uczestniczą – że są narysowane i reżyserowane z zewnątrz – i bawiły się tą sytuacją. „Autorze! – krzyczały na przykład. – Nie pozwolimy sobą manipulować! Będziemy mieli takie przygody, jakie zechcemy!"

Historie opowiadane w książkach Baranowskiego rozpadały się, zwijały (najdosłowniej) i składały na powrót. Przetykane były aluzjami i inkrustowane purenonsensownymi żartami. W pierwszej scenie „Antresolki..." profesor Nerwosolek zwraca się do swojej gospodyni i asystentki: „Oto kosmos, Entomologio, patrz i podziwiaj!". A ona odpowiada: „Phi, profesorze, ja już to widziałam w telewizji i na filmach science fiction".

Kilka stron dalej w tej samej kabinie toczy się następujący dialog. „Oto Planeta Strachu – oświadcza Nerwosolek. – Zanim tam wylądujemy, spluń, Entomologio, trzy razy przed siebie i raz przez lewe ramię". „Nie ma strachu, profesorze", odpowiada zawsze opanowana asystentka. Na co naukowiec przyznaje ze wstydem: „Jesteś prawdziwym mężczyzną, Entomologio".

A kiedy oboje lądują w morzu i natykają się na węża morskiego, który wygląda zupełnie nieprawdopodobnie, wspólnie uznają, że on nie istnieje – bo istnieć nie może. „Gdyby chociaż miał głowę krowy i był pięćdziesiąt centymetrów dłuższy... Ale teraz mamy pewność. Widzieliśmy na własne oczy – takie zwierzę nie istnieje".

„Antresolkę..." czytałem już jako osiemnastolatek, więc specjalnych problemów ze zrozumieniem żartów nie miałem. Pamiętam jednak również swój wczesnonastoletni zachwyt „Eskimosem". Dziś myślę, że Baranowski – podobnie jak Chmielewski (Papcio Chmiel) – robił coś fenomenalnego: podążał za dziecięcą wyobraźnią i dziecięcym poczuciem humoru, a zarazem je rozwijał.

Nie podlizywał się swoim czytelnikom, tylko ich „podciągał", mobilizował, pokazywał, że można się bawić lepiej, wchodząc piętro wyżej. To było mądre po prostu; z zabawy formą wynikały najpoważniejsze pytania, nad którymi łamali sobie głowy filozofowie. Nieprzypadkowo najzabawniejsza – i najpopularniejsza – z wykreowanych przez niego postaci nosi imię Wielki Niepokój. Dziś dominuje tendencja do ułatwiania i uatrakcyjniania wszystkiego, tak jakbyśmy chcieli rozwijać umiejętności, unikając wyzwań. Nie omija ona także literatury dla dzieci. Piszą o tym w najnowszym „Ha!arcie" moje przyjaciółki, Sylwia Stano i Ewelina Szyszkowska. Ich tekst zawiera manifest, który warto wziąć sobie do serca. Zacytuję trzy pierwsze punkty (w sumie jest ich dwanaście):

1. Zaufajmy wyobraźni dziecka. Dzieci nie potrzebują uproszczeń, lecz przestrzeni. Potrafią myśleć metaforycznie i przyjmować niejednoznaczność.

2. Brońmy prawa do trudności. Literatura nie musi być natychmiast zrozumiała. Może stawiać opór, wymagać czasu, powrotów i skupienia. Tak właśnie rodzi się głębokie czytanie.

3. Chrońmy wolność formy i eksperymentu. Książka dziecięca ma wyjątkową zdolność przekraczania form, łączenia tekstu i obrazu, zabawy materią. Nie pozwólmy, by została zamknięta w schematach.

Jestem pewien, że Tadeusz Baranowski podpisałby się pod tym manifestem. Z jego książkami można było rosnąć; wraz z nabywaniem nowych doświadczeń i umiejętności rozumiało się z nich więcej, co innego też wywoływało uśmiech. A jednocześnie w trakcie lektury pozostawało się dzieckiem, które z zachwytem przewraca kartki książki, zawsze spodziewając się niespodziewanego.

Nawet teraz z przyjemnością patrzę na czwartą stronę okładki „Antresolki...". Pamiętacie, co na niej jest? Profesor i Entomologia kłaniają się podekscytowanemu tłumowi, a w ich stronę lecą zarówno kwiaty, jak i czajnik, ogryzek, jajko, pomidor, a nawet sztuczna szczęka. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl 2ed1dec601

REKLAMA

Albatros travel

Albatros 40 lat

Prowansja

historia, wino i lawenda

NOWOŚĆ

Pełna uroku podróż od Aix-en-Provence Cézanne'a przez papieski Avignon po wyborne wina Châteauneuf-du-Pape w otoczeniu lawendowych pól.

Program wycieczki: Dz. 1 Przylot do Marsylii i przejazd do Aix-en-Provence. **Dz. 2** Aix-en-Provence – Awinion. Wizyta na targu oraz pracownia Cézanne'a. Przejazd do Awinion. **Dz. 3** Awinion. Pałac Papieski, słynny most i degustacja win z Doliny Rodanu. **Dz. 4** Rzymski akwedukt Pont du Gard i urokliwe miasteczko Uzès. **Dz. 5** Papieskie winnice Châteauneuf-du-Pape i świat lawendy. **Dz. 6** Arles i Saint-Rémy-de-Provence – śladami Van Gogha i rzymskich budowli. **Dz. 7** Powrót do domu z Prowansją w sercu.

7 dni
Wyloty z Warszawy
28/10 2026
05/05 2027

od **6.998,-**



2 degustacje wina w cenie



2 posiłki dziennie

Klasyczna Toskania i Cinque Terre

Historyczne miasta, góry z marmuru w Carrara i malownicze wybrzeża Ligurii od Portofino aż do Pizy.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bolonia i przejazd do hotelu w Montecatini Terme. **Dz. 2** Lukka i Piza – historyczne perły Toskanii. **Dz. 3** Florencja – kolebka renesansu. **Dz. 4** Dzień wolny lub wycieczka fakultatywna do San Gimignano z wizytą w winnicy. **Dz. 5** Montecatini Terme – marmury Carrara – lardo w górskim miasteczku Colonnata – Cavi. **Dz. 6** Rapallo, Portofino i San Fruttuoso – Rejs wzdłuż liguryjskiego wybrzeża. **Dz. 7** Cinque Terre – podróż pociągiem przez pięć wyjątkowych miasteczek. **Dz. 8** Powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 13/10 2026 | od **6.298,-**



Przywitaj Bali i warany z Komodo

Zwiedzanie i wypoczynek na egzotycznej wyspie Bali oraz poszukiwanie waranów w parku narodowym Komodo.

Poznaj najpiękniejsze zakątki Bali – Ubud, Munduk i Sanur – odkrywając tarasy ryżowe, wodospady, las deszczowy oraz lokalną kulturę. Program uzupełnia całodniowy rejs po Parku Narodowym Komodo z obserwacją waranów, snorkelingiem przy rafach koralowych i wypoczynkiem na rajskich plażach.



15 dni | Wylot z Warszawy 28/10 2026 | od **11.598,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP16**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 2ed1dec601



W CIENIU MARZEŃ

„Vaiana" to przełomowa produkcja Disneya: studio zrezygnowało z rysowania świata z kolonialnej perspektywy. Ale nie oznacza to odzyskania zupełnej niewinności.

MACIEJ JARKOWIEC

W połowie lat 20. ubiegłego stulecia Amerykanin Robert Flaherty, uznany dziś za prekursora pełnometrażowych filmów dokumentalnych, wraz ze swoją żoną i współpracowniczką Frances Flaherty przybyli na Samoa. „Nanuk z północy", opowieść Flahertych o Inuitach z kanadyjskiej Arktyki, dopiero co rozbił bank i twórcy dostali od producentów pieniądze na następne, wymarzone dzieło. Chcieli nakręcić film o mitycznym potworze morskim z Polinezji.

Jednak gdy tam dotarli, nie znaleźli potwora, a jedynie wspólnoty tubylców wiodących sielankowe życie. Zostali z nimi przez prawie dwa lata. Setki metrów taśmy filmowej, jakie nagrali na samoańskiej wyspie Savai'i (wówczas, jak cały archipelag, pozostającej pod zwierzchnictwem Wielkiej Brytanii), zmontowali w film pod tytułem „Moana". Pokazali w nim codzienność tytułowego bohatera, chłopca z wioski Safune, i jego bliskich.

W 2016 r., dziewięćdziesiąt lat po premierze „Moany", do kin trafił film o takim samym tytule. W niektórych krajach Europy, w tym w Polsce, pokazywano go pod tytułem „Vaiana", aby uniknąć skojarzeń z włoską gwiazdą porno z lat 80. nazwiskiem Moana Pozzi.

Nowa Moana, czyli Vaiana, nie była dokumentem, lecz brawurową animacją wyprodukowaną przez wytwórnię Disneya, opowiadającą o dziewczynie z Polinezji, która wyrusza na oceaniczną wyprawę, aby ocalić swoją wioskę przed kataklizmem. Film okazał się światowym hitem i do dziś pozostaje jedną z najbardziej dochodowych pozycji na platformie Disney+. Na początku lipca premierę miała jego aktorska wersja.

Marzenie

A teraz przenieśmy się do roku 1966. Na wykupionych przez Walta Disneya terenach w okolicach Orlando na Florydzie, liczących łącznie ponad sto kilometrów kwadratowych, trwają prace ziemne i melioracyjne. Nowy park rozrywki ma być nawet sto razy większy niż działający od 1955 r. Disneyland w Kalifornii. Częścią projektu nazwanego „The Florida Project" jest EPCOT, czyli eksperymentalna, prototypowa społeczność przyszłości (Experimental Prototype Community Of Tomorrow). Disney chce stworzyć 20-tysięczne miasto, w którym nie będzie slumsów, przestępców, bezrobocia, korków, chorób. Ma to być zwieńczenie wizji, jaką realizuje przez całe życie.

Urodzony w 1901 r. Disney wychowywał się na biednej farmie w Missouri. Gdy jako siedmiolatek, nie mając przyborów malarskich, użył smoły do namalowania koni na białej ścianie domu, ojciec go wychłostał. W wieku lat 16, żeby uwolnić się spod tyranii starego, sfałszował dokumenty, dodając sobie dwa lata, i pojechał na wojnę do Europy. Był kierowcą ambulansu, swój wóz pokrywał karykaturami ludzi i zwierząt.

Po powrocie, jak opowiadał później wielokrotnie, był już innym człowiekiem. Doświadczenie okrucieństwa i absurdu wojny sprawiło, że zapragnął nieść ludziom radość. Zmieniać świat przez sztukę. Poznał rysownika Uba Iwerksa.

eprasa.pl 2ed1dec601



Catherine Laga'aia, odtwórczyni tytułowej roli w filmie „Vaiana", reż. Thomas Kail. dystr. Disney Polska

MATERIAŁY PRASOWE

Wkrótce narodziła się wytwórnia animacji. Jej pierwszym wielkim sukcesem był „Parowiec Willie", siedmiominutowa kreskówka z 1928 r., cytowana dziś w czołówce studia przed każdą jego produkcją. Głównego bohatera, Myszkę Miki, wymyślił Disney, a Iwerks go narysował i wprawił w ruch.

Szaleństwo

W następnej dekadzie wytwórnia pokazała pierwszy w dziejach pełnometrażowy film animowany. Na etapie produkcji „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków" (1937) uznawana była w Hollywood za szaleństwo, które zrujnuje Disneya. Sądzono, że widzowie nie wysiedzą w kinie na tak długiej kreskówce, a jaskrawe kolory zniszczą im wzrok.

Do pracy nad filmem wytwórnia zatrudniła 750 artystów. Przez trzy lata stworzyli oni ponad milion rysunków. Animowany świat ożywiono z użyciem pionierskiej wielopłaszczyznowej kamery, która dawała złudzenie trzech wymiarów. Budżet planowany na 250 tys. dolarów wzrósł do gigantycznej na tamte czasy sumy półtora miliona. Disney zastawił własny dom, żeby dokończyć dzieło.

Gdy film trafił do kin, nikt się nie nudził. Magazyn „Time" nazwał „Królewnę..." arcydziełem, prorokując, że spektakl „łączący Hollywood z braćmi Grimm i uniwersalną tęsknotą dzieciństwa będzie wzruszał kolejne pokolenia". Animacja szybko stała się najbardziej dochodowym filmem wszech czasów (kilka lat później prześcignie ją „Przeminęło z wiatrem"). Disney odebrał specjalnego Oscara w standardowym rozmiarze oraz siedem miniatur „za wybitną innowację otwierającą nową erę w historii kina".

Kolejne pełne metraże, m.in. „Pinokio" (1940), „Bambi" (1942), „Zakochany kundel" (1955) czy „101 dalmatyńczyków" (1961), uczyniły z Walta Disneya największego czarodzieja świata. Budując EPCOT, chciał dowieść, że potrafi projektować rzeczywistość nie tylko na ekranie. Jego miasto przyszłości miało być nowoczesnym poligonem amerykańskiego kapitalizmu i innowacji. Disney planował współpracę z największymi korporacjami. Rewolucyjne technologie przetestowane przez mieszkańców EPCOT miały później podbijać świat, eliminując wszystkie problemy ludzkości.

Inspiracja

Czterdzieści lat przed projektem EPCOT dokumentaliści Robert i Frances Flaherty też poszukiwali idylli, ale nie w przyszłości, lecz w samoańskiej wiosce Safune zastygłej w pradawnym stylu życia. Ich „Moanę" można dziś obejrzeć na YouTubie w cyfrowo odnowionej wersji, udźwiękowionej przez ich córkę Monicę, która w latach 80. wróciła do Safune, żeby nagrać autentyczne brzmienie otoczenia, dialogi i pieśni.

Sceny polowania, połowów, rytuałów wyrobu strojów, tatuowania ciał, tańca, przygotowywania posiłków czy niewinnej erotyki uwiecznione na panchromatycznej czarno-białej taśmie dają hipnotyzującą wręcz opowieść o bezkonfliktowej, harmonijnej społeczności żyjącej w zgodzie z naturą. ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ Choć studio Disneya nie przyznaje tego oficjalnie, wydaje się oczywiste, że film Flahertych był inspiracją do powstania współczesnej „Moany". Przeglądanie archiwów i zapomnianej klasyki w poszukiwaniu pomysłów dla nowych produkcji jest zwyczajową metodą hollywoodzkich wytwórni. W tym przypadku nie zmieniono nawet imienia głównej postaci, a jedynie, i aż, jej płeć.

Zapoczątkowana przez Walta Disneya „Królewną Śnieżką..." metoda misternego, mozolnego tworzenia rysunkowych arcydzieł w oparciu o innowacje dała w XXI w. widowiskowe efekty. Produkcja filmu, który w Polsce wyświetlano jako „Vaiana: Skarb oceanu", trwała pięć lat i kosztowała 170 mln dolarów. Interdyscyplinarna ekipa ponad 800 twórców z pomocą najnowocześniejszej technologii wygenerowała 154 tys. obrazów. W niektórych przypadkach (tysiące kropel spienionej wody albo falujące na wietrze włosy) obliczenie ujęć zajmowało komputerom nawet kilkanaście godzin dla zaledwie jednej klatki. Jednak w przypadku „Vaiany" najistotniejsze było coś innego: przełom dotyczący nie sposobu produkcji, lecz opowiadanej historii.

Żeby zrozumieć jego znaczenie, prześledźmy ewolucję narracji, jakie na przestrzeni stulecia Disney wypuszczał w świat.

Trauma

Choć dziś Myszka Miki kojarzy się z miłą maskotką, jej ekranowe początki cechowała anarchia, bezczelność, łamanie tabu. Tworząc pierwsze kreskówki takie jak „Szalony samolot", „Galopujący Gaucho" czy wspomniany „Parowiec Willie", Disney i Ub Iwerks czerpali z tradycji wodewilu i slapsticku spod znaku Charliego Chaplina czy Bustera Keatona. Co ważniejsze: odpowiadali śmiało na zapotrzebowanie rozkołysanej wówczas w Stanach ery jazzu. Nie obowiązywała jeszcze cenzura Kodeksu Haysa, która wkrótce wymaże z ekranów obyczajowe swobody i ekstrawagancje. Wczesny Miki nie jest wzorem cnót. Przeciwnie: pije alkohol, pali papierosy i molestuje Minnie, zmuszając ją do pocałunku.

Z czasem, między innymi pod wpływem listów, jakimi rodzice masowo zasypywali wytwórnię, protestując przeciw demoralizowaniu dzieci, kontent Disneya został ugrzeczniony. Powstałą w ten sposób lukę rynkową wykorzystali Warner Brothers. Sprytny i bezczelny Królik Bugs narodził się, gdy twórcy Warnera zauważyli, że dorośli widzowie przyprowadzający dzieci do kina nudzą się, oglądając przesłodzone kreskówki Disneya. Z użyciem prostych środków zaczęli robić niedrogie animowane krótkometrażówki, które sami chcieliby oglądać.

Disney poszedł w inną stronę: jego pełne metraże z lat 1937-1961 kosztowały krocie, były jednymi z najbardziej zaawansowanych technologicznie produktów Hollywood i opowiadały doskonale znane baśnie. Disney, czerpiąc ze stylistyki (i dydaktyzmu) braci Grimm i Hansa Christiana Andersena, oferował animacje momentami mroczne i wstrząsające, pozbawione jednoznacznych happy endów.

Śnieżka budzi się ze snu i odchodzi z księciem, ale widz musi obejrzeć brutalną śmierć Złej Królowej – zepchniętej z urwiska, zmiażdżonej przez głaz, z sępami krążącymi nad jej ciałem. „Bambi", owszem, kończy się objęciem przez Bambiego roli Wielkiego Księcia Lasu, jednak traumatyczna strata pozostaje nieodwracalna – matka nigdy nie wraca, a las zostaje spalony przez człowieka. Pinokio staje się prawdziwym chłopcem, ale jego koledzy zamienieni w osły nie odzyskują ludzkiej postaci.

Późniejsi krytycy i psychologowie będą pisać o modelowaniu przez takie opowieści odporności psychicznej dzieci, a biografowie o osobistej tragedii Disneya, jaka ukształtowała wczesne kino jego wytwórni. W 1938 r. jego matka zmarła w wyniku zatrucia gazem w domu, który jej kupił. Disney przez dekady żył ponoć w cieniu tej straty.

Wiele lat później Steven Spielberg, w wywiadzie rzece, jaki przeprowadzi z nim James Cameron, opowie, że to właśnie „Bambi", jeden z najstraszniejszych filmów, jakie widział, ukształtował jego filmową wyobraźnię.

Protesty

Po śmierci szefa w 1966 r. zbudowane przez niego imperium pogrążyło się w kryzysie. Wizja miasta przyszłości została uznana za utopijną i porzucona. Zamiast tego na florydzkich terenach należących do studia stworzono kolejny park rozrywki, udostępniany etapami w latach 80. i 90. Dopiero przejęcie firmy przez nowych menadżerów na początku lat 90. zapoczątkowało okres nazwany później renesansem Disneya.

Artystyczną rewolucję przyniósł duet broadwayowskich twórców – kompozytora Alana Menkena i tekściarza Howarda Ashmana. Stworzyli oni formułę animowanego musicalu, w którym piosenki popychały narrację do przodu i budowały głębię psychologiczną postaci. Powstały takie hity jak „Aladyn" (1992), „Król lew" (1994), „Pocahontas" (1995) czy „Mulan" (1998). Disney przeobraził się w jedną z najbardziej dynamicznych korporacji świata w branży mediów i rozrywki. Tylko „Król lew" na samym rynku amerykańskim zarobił prawie miliard w przeliczeniu na dzisiejsze dolary.

Jednocześnie większość tamtych produkcji budziła kontrowersje ze względu na brak wrażliwości na kwestie etniczne, rasowe i kulturowe. Filmy powielały zniekształcony obraz historii i świata rysowany z kolonialnej, zachodniej perspektywy. W „Aladynie" stworzono bezładną mieszankę kultur, wrzucając do jednego worka elementy arabskie, perskie, a nawet indyjskie. Dobrzy bohaterowie byli biali i mówili z nienagannym amerykańskim akcentem, źli mieli tak zwane orientalne rysy i karykaturalnie kaleczyli angielszczyznę.

Bliski Wschód był krainą, gdzie – jak śpiewano w otwierającej film piosence – „obetną ci ucho, jeśli nie spodoba im się twoja twarz. To barbarzyństwo, ale cóż, to mój dom!". Hieny i złe lwy w „Królu lwie" dziwnym trafem przypominały – również dzięki angielszczyźnie, jaką się posługiwały – gangsterów z afroamerykańskiego getta. W „Pocahontas" forsowano mit łagodnego, romantycznego kolonializmu, w którym konflikt europejskich najeźdźców i rdzennych ludów Ameryki wynikał jedynie z braku wzajemnego zrozumienia, a nie z imperialistycznej agresji. W finałowej scenie tytułowa bohaterka pogodziła oba światy. Tymczasem jej pierwowzór – Matoaka z ludu Powhatanów – została porwana, wywieziona do Anglii jako eksponat. Zmarła w wieku 21 lat na europejskie choroby.

Schemat maestrii produkcyjnej w połączeniu ze szkodliwym kulturowym niedbalstwem powtarzał się w następnych dekadach. Po premierze „Krainy lodu" (2013) głośno protestowała społeczność etnicznej mniejszości Saamów z Norwegii. Atrybuty ich kultury, jak stroje, pieśni

eprasa.pl 2ed1dec601

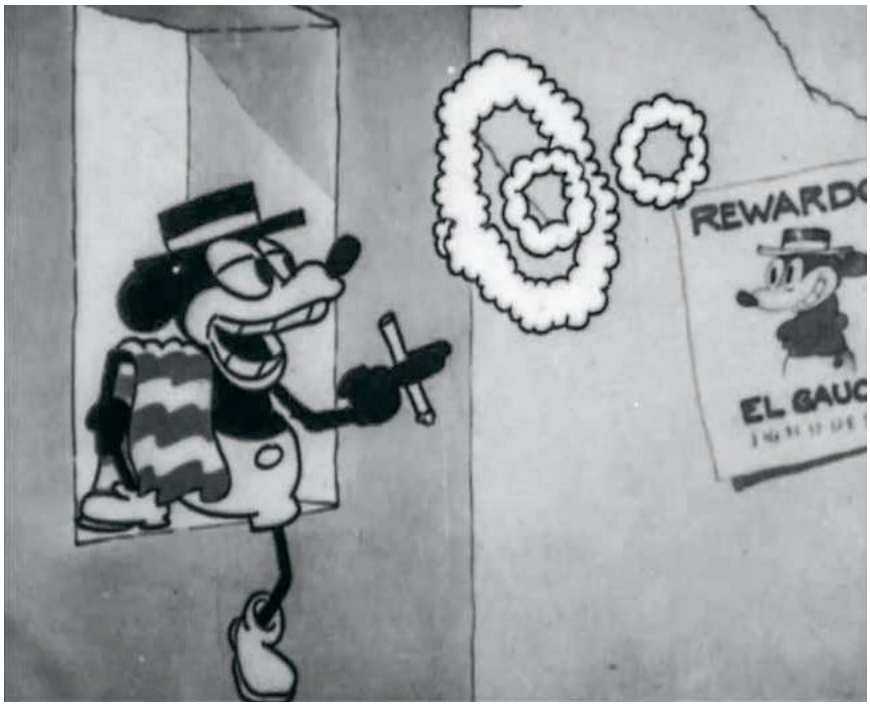

PIEMAGS / ALAMY STOCK PHOTO PIEMAGS / ALAMY STOCK PHOTO

„Galopujący Gaucho", 1928 r.

czy hodowlę reniferów, Disney ogołocił z ich religijnego charakteru i nałożył na postacie o klasycznie norweskiej urodzie. Wielowiekowy konflikt kolonialny między Skandynawami a społecznością Saamów został wymazany. Oburzenie, jakie wywołał film, okazało się otrzeźwiające.

Siłaczki

Przystępując do produkcji „Vaiany" (2016), wytwórnia postanowiła dokonać rewolucji. Powołano specjalną radę złożoną z pochodzących z Oceanii lingwistów, historyków, artystów, tatuażystów czy członków rdzennej starszyzny. Współtworzyła ona scenariusz, pomagała zaprojektować postacie, ich stroje, budowę i mowę ciała. Disney pierwotnie planował historię skupioną na legendarnym półbogu Mauim, ale pod wpływem rady powstała opowieść o młodej nawigatorce ratującej swój lud. Oparto ją na autentycznym historycznym fenomenie: około roku 800 p.n.e. polinezyjscy żeglarze zaprzestali nagle dalekomorskich podróży i osiedlili się na wyspach. Ponad tysiąc lat później równie niespodziewanie powrócili do wielkiej żeglugi.

Rada naciskała, aby główna bohaterka miała realistyczne ciało, siłę do sterowania łodzią, pływania, wspinaczki. Przyniosło to rozwód z klasycznym kanonem szczupłych księżniczek Disneya. Pod wpływem ekspertów zmieniono też wygląd Mauiego – zamiast przesadnie umięśnionego superbohatera, widzowie zobaczyli tradycyjną sylwetkę polinezyjskiego zapaśnika. Dbano o każdy detal. W scenie, w której Vaiana uczy się nawigacji, Maui pokazuje jej, jak mierzyć odległość gwiazd nad horyzontem za pomocą szerokości dłoni. Każdy ruch ręki, sposób obserwacji fal, moment zanurzenia dłoni w wodzie w celu określenia prądów zostały odtworzone zgodnie ze sztuką dawnej polinezyjskiej żeglugi.

Wczesny Miki nie jest wzorem cnót: pije alkohol i pali papierosy.

Z czasem, także na prośbę widzów, kontent Disneya został ugrzeczniony.

Po sukcesie „Vaiany" Disney zaadaptował nową strategię do następnych filmów. Przy produkcji „Krainy lodu 2" (2019) podpisano kontrakt z Radą Saamów, chroniący ich dziedzictwo. Grupa doradcza dbała o szczegóły w kwestii strojów, wierzeń, hodowli reniferów. Powstał dubbing w języku północnosaamskim.

„Nasze magiczne Encanto" (2021) nie dało ujednoliconego, kłamliwego obrazu Ameryki Łacińskiej, tylko wierną historycznie, pełną niuansów opowieść rozgrywającą się w etnicznym tyglu Kolumbii. Przenikają się w nim kultury rdzenne, europejskie i afrykańskie. Majstersztykiem była scena zaręczynowej kolacji. Rysownicy odtworzyli unikalną ceramikę, oddali gęstą konsystencję *ajiaco* – kolumbijskiej zupy z kurczakiem, trzema rodzajami ziemniaków i kukurydzą; drewniane łyżki miały widoczne słoje i ślady użytkowania. Detale ukryto nawet w zachowaniu postaci. Antonio, posiadający supermoc porozumiewania się ze zwierzętami, jako jedyny je zupę bez mięsa, co sugeruje jego wegetarianizm.

Nowe produkcje radykalnie zredefiniowały też kwestię płci w filmach dla dzieci. Współczesną disneyowską narrację dyktują Vaiana, Mirabel, albo Luisa Madrigal, kobieta o kulturystycznej muskulaturze, która pod maską fizycznej supermocy skrywa zmęczenie swoją rolą społeczną i lęk przed porażką. Ekrany przejęły bohaterki silne i niezależne, ale jednocześnie skomplikowane, definiujące siebie przez własne czyny, a nie przez relacje z mężczyznami.

Manipulacja

Walt Disney nie zbudował EPCOT. Moglibyśmy skonstatować, że jego wymarzoną utopię wiele lat przed nim Robert i Frances Flaherty odnaleźli w wiosce Safune. Ale to byłoby zbyt proste. Po latach okazało się, że film „Moana" był manipulacją.

Gdy Flaherty'owie dotarli na Samoa, miejscowi – pod wpływem chrześcijańskich misji – nosili już zachodnią odzież, używali nowoczesnych narzędzi, nie praktykowali na co dzień starych rytuałów czy metod polowań. Twórcy sfabularyzowali swój rzekomy dokument, odtwarzając we współpracy z mieszkańcami Safune świat, który przeminął. Tytułowy bohater nie był nawet spokrewniony z ekranowymi rodzicami. Flaherty wiedzieli, że fikcja – nawet w tak zwanym dokumencie – jest lepsza od prawdy.

Disney też świetnie zdawał sobie z tego sprawę. W jednym z wywiadów powiedział: „Ja nie jestem Waltem Disneyem. Palę i piję, czego Walt Disney na pewno nie robi". Jego nałogi skutecznie ukrywano przed dziecięcą publicznością, z którą się spotykał. Papierosy zaczął palić jako nastolatek na wojnie w Europie i później, przez całe życie, wypalał trzy paczki dziennie, ani na moment nie rozstając się z dymem. Nie zbudował EPCOT, bo zabił ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ go rak płuc. Po jego śmierci firma usunęła papierosy ze zdjęć i archiwalnych filmów. Pozostał charakterystyczny disneyowski gest wysuniętych palców wskazującego i środkowego, którym pracownicy parków rozrywki kierują dziś zwiedzających do następnych atrakcji.

Disney wiedział też, że to dorośli – nawet w przypadku filmów animowanych – są jego klientami. „To oni, a nie dzieci, mają pieniądze" – twierdził. Realizując upragnioną misję niesienia ludziom radości, rozbudowywał gigantyczną maszynę do robienia kasy. Dziś założona przez niego firma jest jednym z najpotężniejszych konglomeratów na planecie. Działa w niezliczonych branżach, posiada największe studia telewizyjne i filmowe w Hollywood, monopolizuje rynek animacji, przejmując konkurentów takich jak Pixar, Marvel, Lucasfilm czy 20th Century Animation.

Dostosowuje kontent do wymogów współczesności, oddając pole etnicznym mniejszościom i kobietom, bo stratedzy korporacji obliczyli, że się to opłaci. Filmy, jakie produkuje, są – z rynkowego punktu widzenia – jedynie kołem zamachowym jednego z największych mocarstw merchandisingowych świata, wtłaczającym zabawki, odzież czy gadżety setkom milionów dzieci.

Cień

Nowa aktorska „Vaiana" w korporacyjnym żargonie określana jest jako *IP capitalization*, czyli spieniężanie własności intelektualnej (*Intelectual Property, IP*). Produkt raz wymyślony, obrandowany i „omerchowany" należy później możliwie jak najdłużej sprzedawać w nowych wersjach.

Być może najtrafniej fenomen Disneya skomentował Sean Baker w swoim małym arcydziele pod wszystko mówiącym tytułem „The Florida Project". Jego dziecięcy bohaterowie, najbiedniejsi i najsmutniejsi uczestniczy amerykańskiego snu, żyją w obskurnym motelu, w cieniu florydzkiego Disney World. Tysiące amerykańskich rodzin zaciągają kredyty, żeby choć raz w życiu odwiedzić to miejsce. Finałowa ucieczka dwóch dziewczynek do baśniowego zamku Disneya nic w ich życiu nie zmieni, ale fikcja na chwilę uwolni je od prawdy.

Walt Disney rozumiał, że wszyscy tego potrzebujemy.© MACIEJ JARKOWIEC

Lekcje czytania

JERZY JARNIEWICZ

PORTRET | W późnych powieściach Iana McEwana to literatura wychodzi na plan pierwszy. A nasza uwaga przenosi się ze świata na sondowanie tekstów świat opisujących.

Zimna wojna, rewolucja obyczajowa lat 60., epoka thatcheryzmu, upadek muru berlińskiego, atak na Światowe Centrum Handlu, druga wojna w Zatoce Perskiej, napaść Rosji na Ukrainę, kryzys klimatyczny, rozwój sztucznej inteligencji. To nie tytuły rozdziałów podręcznika najnowszej historii, a katalog wydarzeń, które przywołuje w swoich ostatnich powieściach angielski powieściopisarz Ian McEwan. Lista z konieczności niepełna, ale układająca się w chronologicznie spójną sekwencję.

Proza późnego McEwana, którego pisarska wyobraźnia łaknie, jak widać, spotkań z bieżącą historią, zamienia się tym samym w systematycznie wzbogacany, panoramiczny fresk powojennej rzeczywistości, głównie brytyjskiej, choć z wychyleniem ku Europie, jej twórca zaś, nie obawiając się oskarżeń o to, że wskrzesza archaiczną już być może koncepcję pisarstwa, przyznaje, że jego rolą jest dawać jak najpełniejsze świadectwo czasom.

W tak ambitnie zakrojonym przedsięwzięciu McEwana odzywa się echem postawa jego brytyjskich poprzedników, twórców gatunku zwanego „powieścią o kondycji Anglii": Thomasa Carlyle'a, Elizabeth Gaskell czy samego Charlesa Dickensa, którzy próbowali zobrazować – i zdiagnozować – społeczne napięcia wiktoriańskiej epoki, świata „dwóch narodów", jak pisał o klasowych podziałach Albionu premier i prozaik Benjamin Disraeli.

Ale McEwan idzie też tropem Philipa Rotha, przede wszystkim jako autora „Trylogii amerykańskiej", który zanurzył swoją prozę, i to z oszałamiającym efektem, w barszczu politycznych zdarzeń, dając nam obraz epoki mccarthyzmu, czasu wojny wietnamskiej czy lat prezydentury Clintona. Nic dziwnego, że panowie szybko znaleźli wspólny język, cenili się, przyjaźnili, spotykali.

Próby czynienia z literatury raportu ze stanu świata, czy choćby ze stanu Anglii, nie są wolne od ryzyka – kończą się czasami ślizgiem po powierzchni zjawisk i zalewem ryzykownych generalizacji, bo czy możliwe jest wiarygodne oddanie jazgotu, jakim jest współczesna historia?

Jeśli proza późnego McEwana jednak się broni, to dlatego, że tych wątpliwości nie zagłusza: są one w nią wpisane. Próbując ogarnąć bezbrzeżny chaos dziejów, wnikający w najbardziej intymne sfery życia, podważa siebie samą w tej próbie, a tym samym ratuje się przed oskarżeniem o motywowaną dobrymi chęciami prostoduszność. Mechanizm ten, który McEwan opanował do perfekcji, nazwałbym ocaleńczym autosabotażem.

Od gotyku po science fiction

Publiczny (obywatelski?) zwrot w prozie McEwana może zaskakiwać, jeśli pamiętamy, jak wyglądały początki jego pisarskiej drogi. Urodzony w 1948 r. McEwan należy do pokolenia, które wydało złotych chłopców brytyjskiej prozy: Martina Amisa, Salmana Rushdiego, Juliana Barnesa, Grahama Swifta.

Zaczynał z przytupem, od literatury drenującej podświadomość, dusznej i klaustrofobicznej, pławiącej się w perwersyjnych wizjach, korzystającej z dorobku literatury gotyckiej i z rozpoznań psychoanalizy. Z biegiem lat jednak jego celem – w podwójnym znaczeniu tego słowa – stawał się realizm. Wykorzystując obietnice, jakie realizm składa czytelnikom („pokazuję świat, jaki jest"), McEwan ujawnia jego, po pierwsze, niewystarczalność, po drugie, ukrytą kon-

eprasa.pl 2ed1dec601

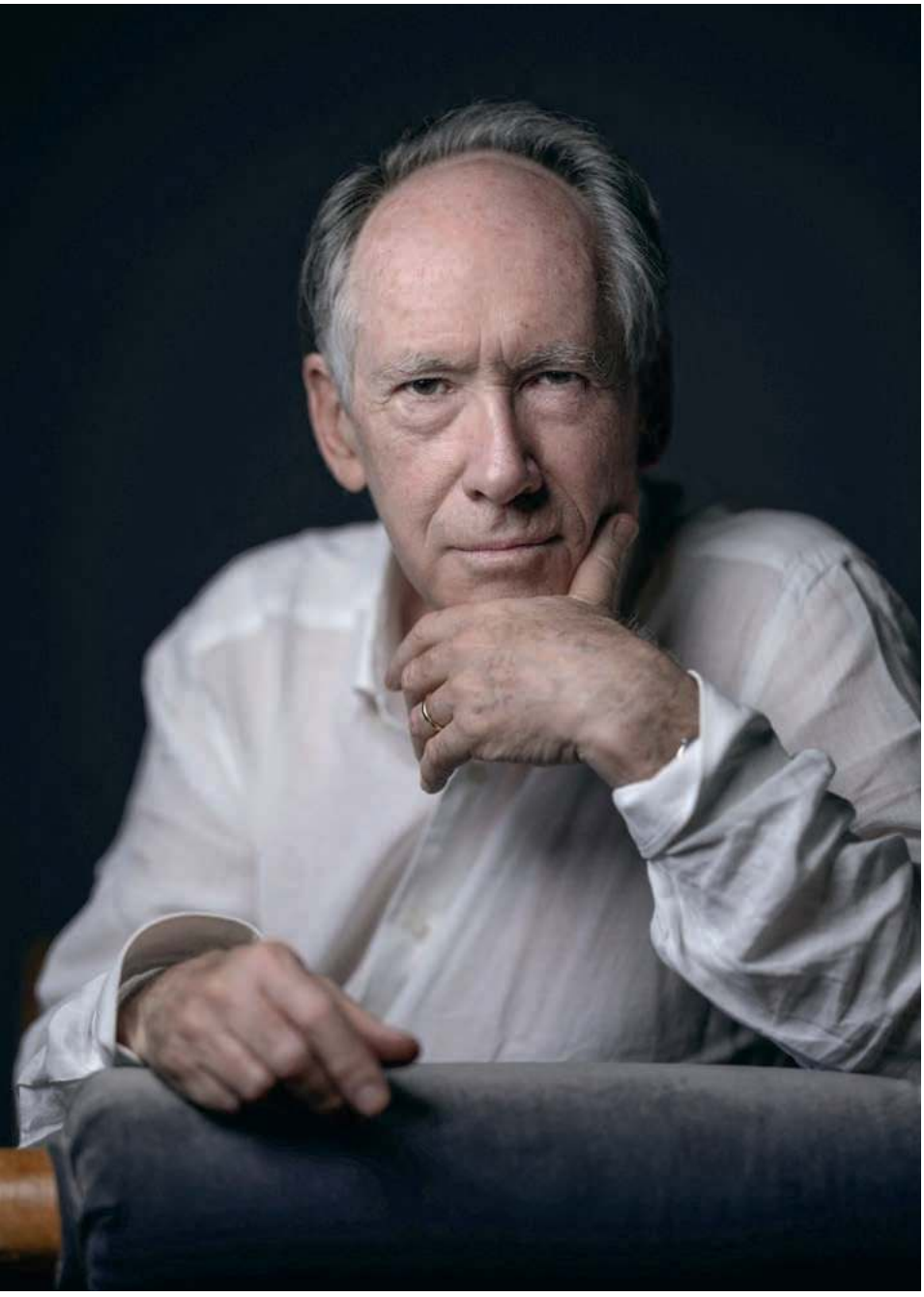

JOEL SAGET / AFP / EAST NEWS

Ian McEwan, 2023 r.

wencjonalność, rozsadzając go od środka na rozmaite sposoby.

I tak w „Czarnych psach" (1992) otwiera osadzoną w powojennej rzeczywistości prozę na wymiar symboliczny. W „Amsterdamie" (1998), rozgrywającym się na przedprożu nowego tysiąclecia, idzie na spotkanie z groteskową miejscami satyrą. W powieści o okupowanym Berlinie, „Niewinni" (1990), czy w osadzonej w latach 70. „Słodkiej przynęcie" (2012) posiłkuje się formatem szpiegowskiego thrillera.

W „Pokucie" (2001), prowadzącej nas od czasów przedwojennych, przez epizod wojenny, po końcówkę XX w., odsłania zależność historii od strategii tekstowych, w które jest ona ujmowana. W „Maszynach takich jak ja" (2019), których tłem jest przegrana przez Wielką Brytanię (*sic!*) wojna o Falklandy, sięga po historię alternatywną i dorobek literatury futurologicznej. W „Co możemy wiedzieć" (2025), której centralne wydarzenie dzieje się w 2014 r., przypomina o granicach naszych władz poznawczych, raz jeszcze sięgając po konwencję futurologiczną, tym razem z katastroficznym sztafażem.

W błysku jasności

A więc realizm antyrealizmem podszyty? Tak, bo być może to jedyna dziś droga: jeśli realizm, to tylko dla pisarzy, którzy realizmowi nie ufają. Jeśli panoramiczne ujęcia wydarzeń społeczno-politycznych, to tylko dla tych, którzy tracą do nich cierpliwość i szukają tras alternatywnych, otwartych na żywioł arbitralności, przypadku, sztuczności i fragmentaryczności.

By uwiarygodnić realistyczne podłoże swoich nierzadko odbiegających od realizmu narracji, McEwan buszuje w archiwach współczesnej nauki. Już we wczesnej powieści „Dziecko w czasie" (1987) wykorzystuje założenia fizyki kwantowej. W „Przetrzymać tę miłość" (2001) sięga do psychiatrii, by zobrazować działanie zespołu de Clarembaulta. W „Sobocie" (2006) zajmuje się neurochirurgią i chorobą Huntingtona. W „Maszynach takich jak ja" pała miłością do robotyki, wskrzeszając postać Alana Turinga. Jedna uwaga: jeśli w swoich zainteresowaniach nauką i spekulatywnych wypadach w przyszłość przypomina autora „Wehikułu czasu", to jest to często Wells pożeniony z pozbawionym złudzeń mistrzem sarkastycznej satyry, Jonathanem Swiftem.

Taka rozpiętość perspektyw strzeże pisarza przed popadnięciem w mdłą jednowymiarowość, chorobę niejednego amatora realizmu. Jednocześnie pozwala mu na wygodne, trzeba przyznać, niezajmowanie stanowiska. Późny McEwan nie jest pisarzem skrajności, dba, by niedoskonałego świata nadmiernie nie rozkołysać. Ostatnie trzy powieści kończą się afirmatywną nutą: a to wyznaniem winy i akceptacją odpowiedzialności w „targanym problemami domu" („Maszyny takie jak ja"), a to obrazem wnuczki pomagającej schorowanemu dziadkowi przejść przez pokój („Lekcje", 2022), a to znów wyrównaniem rachunków w ewidentnie symbolicznym „błysku jasności" („Co możemy wiedzieć").

Popękany obraz świata, naznaczonego antagonizmem społecznym i ścierającymi się interesami politycznymi, wyłania się wprawdzie z niektórych kątów ↦

eprasa.pl 2ed1dec601

↦ jego prozy, ale podejrzewam, że w swoim pisarskim dekalogu McEwan ma jedno przykazanie, które stawia ponad innymi, a które zostawił mu w spadku E.M. Forster: „połączmy ogniwa". Połączmy, czyli pogódźmy nie tylko rozum z sercem, naukę ze sztuką, ale też wrogie sobie klasy, „dwa narody" Anglii. I McEwan, liberalny centrysta, rozczarowany Partią Pracy wyborca tejże partii, łączy: unika radykalnych cięć i przewartościowań.

To dziwi, bo ma on bardzo zdecydowane, krytyczne poglądy – choćby na temat thatcheryzmu, brexitu, islamu, polityki tożsamościowej – które wypowiada publicznie. W wywiadach i debatach bywa (jak niektórzy nasi pisarze) radykalniejszy niż w wielu swoich późnych powieściach, przemyślanych, eleganckich i dobrze skrojonych. Wolałbym, żeby było odwrotnie: by to literatura była obszarem starć, skoków na głęboką wodę, by przekraczała granice, błądziła, podejmowała ryzyko i nie szukała wyważonych zdań. Literatura, która stara się współbrzmieć, zamiast mówić osobnym głosem, marnotrawi swój potencjał.

Świat się przeobraża

Kiedy pasjonujący się makabrą McEwan zamienił się w pisarza publicznego, szybko nadano mu tytuł „narodowego pisarza Anglii" (a uczynił to amerykański „New Yorker"). Nie bez kozery, bo jeśli McEwan korzysta z doświadczeń realizmu, to jest to angielska odmiana tej tradycji, która w odróżnieniu od dzieł francuskich realistów, stawia na moralny wymiar pisarstwa. Realiści angielscy nie aspirowali do statusu neutralnych obserwatorów rejestrujących życie społeczne, a powieści nie uznawali za zwierciadło, „noszone" czy, jak kto woli, „wędrujące" po gościńcu.

Moralny wymiar realizmu angielskiego przejawia się u McEwana nie w tym, że autor ma zdecydowane poglądy, którym daje w swoim pisarstwie wyraz, ale w stawianiu pytań natury etycznej, w konfrontowaniu światopoglądowych stanowisk, w rozgrywce spornych idei. Czasem, jak we wspomnianych tu już „Czarnych psach", prowadzi to McEwana na skraj alegorii, gdy bohaterami czyni dwie postaci, jedną oddaną racjonalizmowi, drugą – uosabiającą intuicję i sferę emocjonalną.

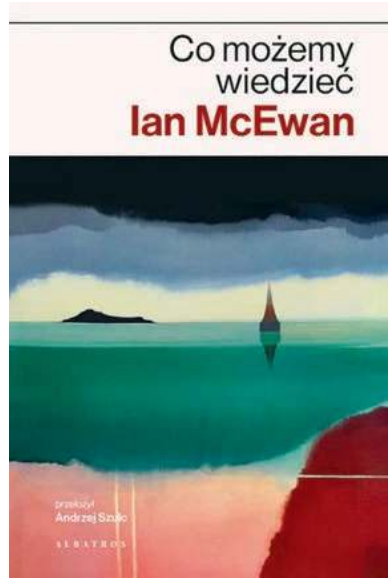

Ian McEwan,
CO MOŻEMY WIEDZIEĆ,
tłum. Andrzej Szulc,
Albatros,
Warszawa 2026

Realizm to jeszcze? Czy może udrapowana we współczesny kostium przypowieść? Konfrontacja ta kończy się przewidywalnie, forsterowskim „połączmy ogniwa": McEwan łączy te dwa stanowiska, pozwalając obu stronom na ostatnie słowo.

Czytam „Lekcje", przedostatnią jego powieść, a faktycznie – ufikcyjnioną autobiografię. I choć nafaszerowana jest odwołaniami do historycznych wydarzeń w stopniu dotychczas niespotykanym, widzę, jak zamienia się w opowieść o trudach wytyczania własnej, prywatnej trajektorii, jakby ze wszystkich praw człowieka prawo do prywatności było dziś najbardziej zagrożone, a tym samym wymagało szczególnej, przynajmniej w literaturze, atencji.

Świat się przeobraża, padają imperia, podnoszą łby nowe polityczne monstra, po kryzysie sueskim przychodzi kryzys kubański, po wojnie o Falklandy przychodzi wojna w Zatoce Perskiej, a powieściowi bohaterowie McEwana żyją na swoich mikroplanetach, którymi są rodzina, małżeństwo, związki dwojga ludzi (czasem przybierające kształt trójkąta). Na plan pierwszy wysuwają się trywia codzienności, rodzinne, domowe narracje. One, w odróżnieniu od globalnych kryzysów, podawanych tu w coraz bardziej telegraficznym skrócie, się nie kończą: dziadka poprowadzi przez pokój wnuczka, żyjąca w cieniu słynnego męża kobieta odzyska głos i poprawi zafałszowaną historię ich związku, a Berlin z listopada 1989 r. ze swoim obalonym murem rozproszy się jak poranna mgła.

Życie na wyspach

Swoją najnowszą powieść, „Co możemy wiedzieć", McEwan osadził w historii alternatywnej. Rosja staje się agresorem, wystrzelony przez nią pocisk spada do morza, wywołując tsunami, które zalewa pół Europy i niemal całą Wielką Brytanię. Świat, jaki znamy, kończy się katastrofą nuklearną, której towarzyszy nie mniej niszczycielska katastrofa ekologiczna, niewielu bowiem przejmowało się doniesieniami o postępujących zmianach klimatu.

W XXII w., kiedy to rozgrywa się druga połowa powieści, z Wielkiej Brytanii został już tylko archipelag. Trudno wyobrazić sobie bardziej radykalne przemienienie świata. A mimo to wykreowane przez McEwana postaci żyją tak, jakby żyły przed katastrofą: prowadzą badania naukowe, spędzają czas w bibliotece, prowadzą zajęcia z coraz mniej zainteresowanymi literaturą studentami, narzekają na chroniczne niedofinansowanie humanistyki.

Raz czy drugi pada sygnał o grożących na archipelagu niebezpieczeństwach: o grasujących bandach, ale co to za bandy, przez kogo i kiedy stworzone, nie wiemy. W postapokaliptycznym świecie McEwana nie ma problemów społecznych, katastrofa nie wywołała klasowych czy narodowych antagonizmów, poziom życia nie zmienił się. Spodziewaliście się tu uchodźców z zatopionych kontynentów? Nie ma ich. Spodziewaliście się mas ludzi pozbawionych domu czy środków do życia? Nie ma ich. Spodziewaliście się rewolucyjnego zamętu? Ani słowa o takiej możliwości. Zmienia się postać świata, ale gładko, cicho, bezkolizyjnie.

Ta kłująca w oczy nieobecność społecznych napięć w świecie, było nie było, po apokalipsie nie jest u McEwana czymś wyjątkowym. Czytam wcześniejsze „Lekcje", a te pozostawiają mnie z pytaniem, jak to się dzieje, że w sześćsetstronicowej, epickiej powieści, skanującej historię zachodniego świata

eprasa.pl 2ed1dec601

i ujmującej polityczne wydarzenia od kryzysu sueskiego po wojnę na Ukrainie, nie trafiam na żadną postać, która nie byłaby białym Europejczykiem lub białą Europejką (oprócz epizodów rozgrywających się poza Europą).

Pisarz oczywiście nie ma obowiązku wprowadzać do swojego świata osób czarnoskórych, ale jeśli obszerna powieść rości sobie ambicję odtworzenia historycznej panoramy współczesnej Anglii, którą co najmniej od 60 lat charakteryzuje wielokulturowość i wieloetniczność, taka nieobecność zadziwia. Aż chciałoby się zapytać, w jakiej części Londynu McEwan mieszka. I czy w ogóle wychodzi z domu.

O tym, jak bardzo powieści McEwana – bo to *casus* nie tylko „Lekcji" – są pod tym względem peryferyjnie angielskie, przekonać się możemy, jeśli sięgniemy po którąkolwiek z powieści Zadie Smith. McEwan i Smith. Dwie twórczości, które łączy, obok szacunku do Forstera, przekonanie o publicznej roli literatury. Dwa biegunowo odmienne obrazy tego, czym jest dziś, choć przecież nie od dzisiaj, życie na Wyspach.

Problem odpowiedzialności

Ponowna lektura dziesięciu powieści McEwana, powstałych w XXI wieku, przypomniała mi o jeszcze jednym: jak bardzo rośnie w nich, w miejsce zdarzeń, znaczenie tekstów: powieści, poezji, dzienników, pamiętników, biografii. Literatura wychodzi na plan pierwszy. Z obserwacji świata uwaga McEwana (a wraz z nią także nasza) przenosi się na sondowanie tekstów ten świat opisujących. I nie chodzi tu tylko o dość przewidywalne pytanie dotyczące wiarygodności językowej reprezentacji świata, McEwan stawia inny, bardziej „angielski" problem związany z tekstami: problem odpowiedzialności.

Za tym pytaniem stoi bowiem przekonanie, że pisanie ma siłę sprawczą, że słowo jako zjawisko publiczne można i należy rozliczać, bo bez względu na to, czy piszący zdaje sobie z tego sprawę, czy nie, pisząc utrwala pewien obraz świata i ludzi, komunikuje coś tym wszystkim, którzy do tego tekstu prędzej czy później dotrą. Nie pisze się bezkarnie.

W „Pokucie" bezmyślnie zapisane słowo skutkuje tym, że na jego podstawie trzynastolatka rzuca oskarżenie rujnujące komuś życie, co z kolei domaga się tytułowego aktu ekspiacji, którym oczywiście będzie napisanie przez nią, w wieku dojrzałym, powieści. W „Sobocie" wygłoszenie z pamięci pewnego wiktoriańskiego wiersza ratuje życie całej rodzinie (czy ktoś z nas podzieliłby tę mcewanowską wiarę w siłę literatury?).

W „Słodkiej przynęcie", w której pisarz nawiązał do skandalu, jakim było ujawnienie finansowania przez CIA miesięcznika literackiego „Encounter", literatura staje się narzędziem politycznej manipulacji, a powieść, którą pisze jedna z postaci, okaże się powieścią, którą właśnie przeczytaliśmy. W „Lekcjach" żona narratora opuszcza rodzinę, porzuca dziecko, bo czuje, że literatura tego od niej wymaga. W „Co możemy wiedzieć" zaginiony poemat zaczyna pełnić rolę politycznego argumentu w sprawie, której jego autor nigdy by nie podżyrował.

Takie metaliterackie przeogniskowanie prowadzi do lekturowych atrakcji, w których McEwan bywa mistrzem: do spektakularnych zaskoczeń związanych z nagłą zmianą perspektywy, z przenicowaniem dotychczasowego obrazu świata, z odebraniem wiarygodności narracji, w której całkowicie zdążyliśmy się już zanurzyć. Ale odwraca też uwagę od spraw, które porusza. Kiedy czytam „Co możemy wiedzieć", kryzys klimatyczny staje się jednym z wymiarów tekstowej układanki, o którym więcej się mówi, niż się go doświadcza; jest elementem wymiennym, politycznie wypatroszonym, czasem pretekstowym, bardziej ideą niż dotykającym nas detalem współczesnego krajobrazu. To tak, jakbyśmy zapytali, czym jest miłość, i dostali odpowiedź, że to słowo na sześć liter.

Nie zamierzam bagatelizować tej informacji: na sześć liter jest także nazwisko pisarza, który w swoim postapokaliptycznym świecie ocalił na jednej z wysp pozostałego po Wielkiej Brytanii archipelagu – oksfordzką bibliotekę.

© JERZY JARNIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 2ed1dec601

▪ *Tomasz Stawiszyński*
CZYNNIK ALCHEMICZNY
Wielka Litera

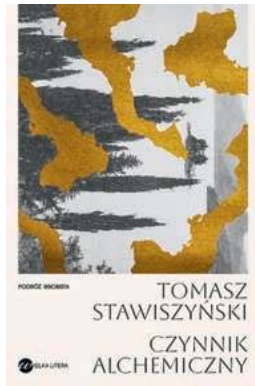

Wątki i obrazy prozatorskiego debiutu filozofa i felietonisty nakładają się na siebie i nawzajem przenikają. Między humorystycznymi, erudycyjnymi passusami, powracającymi obrazami restauracji i zmiennej pogody schyłku lata na wyspie, miga coś mroczniejszego. Może najłatwiej dojrzeć ten niepokój w puentującym tom opowiadaniu, zatytułowanym „Panika w pasażu Liston". Za ostatnim obrotem kalejdoskopu zebranych historii otwiera się tu bowiem szkatułka z opowieścią o panu T. (i kolejna, o książce przez tegoż napisanej). Pan T., wzięty autor wydawanych pod pseudonimem powieści grozy, żyje w wiecznym stanie zagrożenia, permanentnym lęku i napięciu. Takie życie, nawet jeśli da się je twórczo spożytkować, prędzej czy później staje się trudne do wytrzymania. Bohater, choć przekonany, że źródła jego problemu tkwią w rzeczywistości, a nie w nim samym, próbuje sobie pomóc. Korzysta z psychoterapii, zażywa leki. Za radą lekarza antropozoficznego leży też w łóżku przez godzinę po przebudzeniu, by jego ciała subtelne zdołały osiąść w powłoce po wędrówkach w innych wymiarach. Nie jest jednak w stanie w pełni zaufać żadnej z terapii i nie żywi wielkich nadziei na uwolnienie od napięć. W końcu, idąc za radą homeopatki, udaje się wbrew swoim zwyczajom w podróż. Pochłonąwszy „Kolosa z Maroussi" Henry'ego Millera, decyduje się odwiedzić Korfu. I tu dzieje się coś, o czym narrator mówi z zakłopotaniem – „coś na kształt uzdrowienia", „integracji ze wszystkim, co istnieje". Możliwych wyjaśnień jest oczywiście wiele, zostawiam je czytelnikom. Stawiszyński i jego narratorska para, pan T., mówią o świecie podszytym śmiercią, świecie gnozy. Przede wszystkim jednak mówią o miejscu, które w zaskakujący sposób wytrąca ze ślepej rozpaczy. A jeśli kogoś temat śmierci nie pociąga, może za czynnik alchemiczny w kalejdoskopie opowieści uznać... tajny składnik przepisu na bourdeto. © AGATA OKOŃSKA

▪ *Madonna*
CONFESSIONS II
Warner Records



Kiedy trzy lata temu Madonna odnowiła kontakt z producentem albumu „Confessions on a Dance Floor" (2005), Stuartem Price'em, czyniąc go kierownikiem artystycznym swojej trasy koncertowej, zapewne nie przypuszczała, że przyjdzie im współtworzyć następcę „Wyznań na parkiecie". Do kontynuowania współpracy przyczyniła się porażka filmowa gwiazdy, planującej wyprodukowanie autobiografii. Artystka miała już gotowy scenariusz, nie mogła jednak dogadać się z Universal Studios w sprawie budżetu. Nie pomogli również ludzie z Netfliksa, którzy zaproponowali co prawda Madonnie serial, ale warunkiem było stworzenie nowego scenariusza (wykupienie go z Universal Studios wiązało się ze sporymi nakładami finansowymi). Chcąc przekierować kreatywne fluidy na inny projekt, piosenkarka wpadła na pomysł nowego tanecznego albumu. Skontaktowała się ponownie z Price'em i poleciała do Londynu, by rozpocząć pracę nad materiałem. Traf chciał, że tworzenie krążka zbiegło się w czasie ze śmiercią brata (napisała dla niego piosenkę „Fragile") oraz macochy. To właśnie jej Madonna poświęciła utwór „Betrayal", brzmiący niczym kolaż Massive Attack i Depeche Mode. Rozliczanie się z przeszłością oraz opowiadanie o sprawach rodzinnych przybrało również formę oczyszczenia relacji z córką, Lourdes „Lolą" Leon. Dziewczyna przez wiele lat unikała duetów z Madonną, obawiając się oskarżeń o wykorzystywanie pozycji sławnej mamy do robienia własnej kariery. „Confessions II" to idealny concept album na mało przebojowe czasy. Madonna daje nam płytę pełną zmysłowego transu klubowych parkietów (pierwsza część krążka), ale też melancholii. Zostajemy zabrani w podróż, która ma nam uświadomić, że taniec to wyzwolenie – możemy traktować go jako ucieczkę, ale też katalizator emocji. Madonna doskonale buduje też pomosty między przeszłością a teraźniejszością. Pokazują to duety z twórcami młodego pokolenia – Sabriną Carpenter (hołd dla muzyki house), holenderskim DJ-em Martinem Garriksem oraz gwiazdą kolumbijskiego reggaetonu Feidem (przebojowy „Read My Lips"). Swoim 15. krążkiem królowa popu udowadnia, że impreza może być znakomitą alegorią życia. To właśnie ten aspekt, pomijając doskonałą produkcję, sprawia, że do słuchania „Wyznań" będziemy wracać wiele razy. A dla spragnionych wrażeń wizualnych nagrano kilkunastominutowy „Confessions II – The Film", zawierający pierwsze 6 piosenek płyty (za jego projekt odpowiada m.in. polska fotografka Zuzanna Kossak). © ELVIS STRZELECKI

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

Nasza relacja z Biennale w Wenecji.
Po raz pierwszy w historii imprezy sztuka Zachodu ustąpiła miejsca Globalnemu Południu.

Tyg-Pow.pl/Biennale

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 2ed1dec601

Cała ta sztuka

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Gdy wokół polskich artystów narasta fala hejtu, Łukasz Ronduda proponuje ich skomplikowane portrety. Tego lata zobaczymy wszystkie jego filmy, także online.



MATERIAŁY PRASOWE

Oskar Dawicki w filmie „Perfomer", reż. Łukasz Ronduda

Darmozjady", „pasożyty", „pięknoduchy" – dziś artyści w Polsce stali się przysłowiowymi chłopcami do bicia, na czym chętnie żerują media i zbijacze politycznych kapitałów. Nim znajdzie finał ustawa o socjalnym zabezpieczeniu twórców wykonujących zawody artystyczne, przyjrzyjmy się kinu, które od lat portretuje takich ludzi – wykonujących profesje pozbawiane, najczęściej z ignorancji czy frustracji, miana pracy.

Ale Łukasz Ronduda, wywodzący się jako kurator i badacz z kręgu sztuk wizualnych, nie idealizuje ani nie romantyzuje swoich bohaterów. Tym bardziej że są to jednak nazwiska mniej lub bardziej gwiazdorskie, trudne do uznania za próbkę reprezentatywną dla całego środowiska.

Wszystko już było

A cóż to jest za osobliwy zwierz, ten artysta? Filmom Rondudy, tym fabularnym czy dokumentalnym, daleko także do egzotyzacji – zbyt dobrze zna reżyser ów „gatunek". Przybliżając jakąś mikrospołeczność albo przetwarzając historie autentycznych, czasem mocno ekscentrycznych twórców, interesuje się przede wszystkim żywym, wielowymiarowym człowiekiem. Schowanym za swoimi dziełami, narosłymi wokół niego mitami czy głośnym nazwiskiem.

Z racji tego, że autor „Serca miłości" (2017) czy „Wszystkich naszych strachów" (2021) zna branżę od podszewki, łatwo byłoby go posądzić o kino „koleżeńskie", promujące utalentowane koleżanki i kolegów. Tymczasem czerpiąc z artystycznych i osobistych biografii (Zuzanny Bartoszek, Wojciecha Bąkowskiego czy Daniela Rycharskiego), zamiast umiejscawiać artystę na skali jego osiągnięć, woli osadzić go w żywej społecznej tkance.

Czyli pokazać, jak ktoś żyjący głównie z kreacji i autokreacji funkcjonuje w odniesieniu do innych ludzi, tych bliższych i tych dalszych. Nie są to więc nigdy filmowe biografie. Zresztą, kiedy w 2010 r. napisał Ronduda, wespół z Łukaszem Gorczycą, książkę „W połowie puste. Życie i twórczość Oskara Dawickiego", wybrał literacki eksperyment z pogranicza literatury (powieści, eseju z historii sztuki oraz dialogu autorów z artystą) oraz tak zwanej liberatury, gdzie graficzny kształt książki ściśle korespondował z jej tytułem i treścią.

Toteż, gdy pięć lat później, wspólnie z Maciejem Sobieszczańskim, Ronduda nakręcił debiutanckiego „Performera", trudno było oczekiwać zrobionego po bożemu portretu. Ponieważ Dawickiego odtwarzał tutaj sam Dawicki, przed kamerą toczą się nieustanne gry między prawdziwym życiem, performansem w brokatowej marce i kinem z pogranicza różnych stylistyk.

Przy okazji dostajemy satyrę na modny światek artystyczny i jego niewyczerpane „żyły złota", na czele z Holokaustem, grzebaniem w śmieciach i depresyjną legendą artysty. Oraz kokieteryjne pytania o koniec sztuki, w której wszystko przecież już było. A czego dowiadujemy się o samym artyście, który znany jest z tego, że obgryzł wszystkie jabłka z Drzewa Wiadomości, odtworzył zalany płynnym srebrem przełyk i nieustannie kwestionował swoje realne istnienie?

Najbardziej autentycznie pokazana została w filmie relacja bohatera z jego mistrzem, Zbigniewem Warpechowskim, którego zresztą film po performersku uśmiercił. Jednakże w swej hybrydowej formie i problematyce nazbyt hermetycznej dla zwykłego zjadacza chleba jest „Performer" ciągle jeszcze kinem bardziej „galeryjnym".

Bez względu na to, że prócz wspomnianych performerów czy Andy Rottenberg zagrali w nim znani aktorzy: Agata Buzek czy Andrzej Chyra. Dopiero w następnych filmach zacznie Ronduda naprawdę „nicować" i „uczłowieczać" swoich bohaterów. Reżyser przyjrzy się nie tylko środowiskowym, ale także osobistym uwikłaniom i słabościom ludzi zajmujących się na co dzień sztuką.

Identyczni androginiczni

Bo czy w samym akcie tworzenia nie ma czegoś z gruntu egocentrycznego i zawłaszczającego? Zawsze przecież z kogoś się czerpie, coś się poświęca, z kimś rywalizuje... Zupełnie jak bohaterowie „Serca miłości", czyli wspomniana para Bartoszek i Bąkowski, zagrana przez Justynę Wasilewską i Jacka Poniedziałka. Z wygolonymi głowami, w czarnych ascetycznych stylówkach, wydają się identyczni ↦

eprasa.pl 2ed1dec601





ŁUKASZ GAWROŃSKI DLA MFF NOWE HORYZONTY

↦ i androginiczni, chociaż to on, dużo starszy mężczyzna, wszechstronny artysta i uznany audioperformer, pociąga za sznurki.

Próbuje stwarzać swoją partnerkę jako artystkę, lecz przy okazji podkrada jej pomysły, a nawet sny. I mimo że film szczególnie dba o oryginalną narrację tudzież stronę wizualną (artyści niczym para kosmitów krążą po różnych warszawskich miejscach i niemiejscach, analizując i przetwarzając konsumpcyjną rzeczywistość), udało się ocalić emocje. Głównie za sprawą Wasilewskiej, której pięknie filmowana twarz zdaje się odsłaniać wszystko. Może nawet więcej, niż chciałyby pokazać pierwowzory tych postaci, jakkolwiek film otrzymał ich „błogosławieństwo".

Podobnie „Wszystkie nasze strachy", najbardziej dotąd nagradzany i najbardziej przystępny film Rondudy, współreżyserowany przez operatora Łukasza Gutta. Sam punkt wyjścia był z pewnością wyjątkowy i szczególnie w Polsce będący wyzwaniem – wszak twórczość Daniela Rycharskiego łączy tematykę wiejską z krytyką społeczną, a queerowość z imaginarium religijnym.

Dlatego filmowa opowieść miała być czymś więcej niż odtworzeniem okoliczności powstania słynnej instalacji inspirowanej Drogą Krzyżową, złożonej z krzyży ubranych w rzeczy skrzywdzonych osób LGBT+. Niosła refleksję o miejscu artysty w lokalnej społeczności, o jego natchnieniach i nadużyciach, co często powraca w filmach Rondudy.

Ile jest bowiem w pracy artystycznej czerpania z własnych trzewi i potrzeby zbawiania świata, a ile z wyrachowania czy zwykłej pychy? Dawid Ogrodnik w zapożyczonej od Rycharskiego czarnej bluzie z tęczowymi lampasami odtwarza postać pogubioną w meandrach seksualnej odmienności i religijnej misji, społecznego zaangażowania i wampirycznego rynku sztuki. Dziś widać, że przez tę wielowątkowość oraz własną misyjność „Strachy" trochę się zestarzały, chociaż problemy, których dotykają, niestety ciągle nie.

Rycie mózgu

Słynna praca Rycharskiego pojawia się zresztą w najnowszym filmie Rondudy, „Powiedz mi, co czujesz", łączącym wątki tamtego filmu z „Sercem miłości". Zanim trafimy na wernisaż do stołecznego Muzeum Sztuki Nowoczesnej, z którym reżyser jest związany, poznajemy parę młodych artystów, zdeterminowanych w dużej mierze przez swoje pochodzenie społeczne.

Patryk (wzorowany na malarzu Patryku Różyckim i zagrany przez Jana Sałasińskiego) przyjechał ze wsi i ciągnie się za nim, oprócz wspomnień z zagraconego gumna, wielka rodzinna trauma. Maria (pierwowzorem była artystka wizualna Karolina Balcer i gra ją Izabella Dudziak) jest, dla odmiany, wielkomiejską „terapiarą" z zamożnego domu. Zaś jej artystyczny projekt to znany skądinąd „Skup łez", choć Patryk nie potrafi wycisnąć z siebie chociażby jednej. Oglądamy więc nieustające zgrywy i porywy, w których dwoje „Zetek" za wszelką cenę chciałoby uniknąć przywiązania, a jednocześnie bardzo pragnie bliskości. Czy twórczość może im w tym pomóc?

Okazuje się, że performowanie przez bohaterów swoich lęków i wstydów niesie terapeutyczny sens, jakkolwiek raz jeszcze pojawia się u Rondudy deziluzja związana z ideą sztuki w pełni demokratycznej, będącej z założenia ponad podziałami.

Zaproszeni na wielkomiejską wystawę wiejscy rodzice artysty poczują się obrażeni jego obrazami. Mimo to same poszukiwania przez głównych bohaterów artystycznej i emocjonalnej szczerości mają swój filmowy urok. „Powiedz mi", ilustrowane muzyką Seweryna czy Błażeja Króla, z pewnością zyskuje na autentyzmie, ilekroć oddaje pola prowokacyjnej młodości, skrywanej kruchości, niezgrabnym gestom bohaterów, gorzej natomiast, kiedy próbuje na ten temat zbyt dosłownie rozprawiać.

Ronduda zwraca też uwagę na rozmaite patologie związane z utowarowieniem sztuki oraz jej snobistyczne mechanizmy wkluczania i wykluczania. Przeciwko nim występuje poniekąd jego najnowszy dokument, „Freak Show", zrealizowany z Filipem Pawlakiem, twórcą teatralnym i rzecznikiem artystów z niepełnosprawnościami. Tytułowe „dziwowisko" to bowiem grupa osób występujących na scenach nie pomimo swoich cielesnych dys-

eprasa.pl 2ed1dec601



MATERIAŁY PRASOWE

RETROSPEKTYWA FILMÓW ŁUKASZA RONDUDY
na festiwalu TAURON Nowe Horyzonty. Wrocław, 23 lipca – 2 sierpnia. Online 23 lipca – 9 sierpnia.

Powyżej od lewej: Łukasz Ronduda, oraz Jan Sałasiński i Izabella Dudziak w filmie „Powiedz mi, co czujesz", reż. Łukasz Ronduda, dystr. Kino Świat

funkcji, ale wręcz przeciwnie – ostentacyjnie je wygrywając i przejmując pełną kontrolę nad emocjami widowni. Zgodnie z ideą, że prawdziwa sztuka nie jest po to, by się podobać, a żeby budzić dyskomfort i ryć nasze leniwe mózgi.

Na lewą stronę

Tak jak twórczość Romana Stańczaka – rzeźbiarza, który siedem lat temu wywrócił na nice samolot i w takiej postaci pokazał go na biennale w Wenecji. Dokument „Lot" (2022), zrealizowany przez Rondudę (także współkuratora weneckiego projektu) i Annę Zakrzewską, pokazuje z bliska sam skomplikowany proces.

„Czy sztuka jest tego warta?" – pyta ktoś w filmie na widok morderczej pracy, polegającej na wybebeszaniu i przekształcaniu samolotu w swoją niepokojącą podszewkę. Wyłania się z tej dekonstrukcji, odbieranej jako krytyczny komentarz społeczny i aluzja do smoleńskiej katastrofy, coś bardzo osobistego, morderczego i bolesnego zarazem. Dopełnia to przywołana w filmie zdawkowo osobista biografia Stańczaka.

Rondudę, obok portretów polskich artystów wizualnych, interesują również artystyczne i społeczne utopie. Jedną z nich była w Polsce najntisowa eksplozja muzyki techno, dająca przez chwilę złudzenie wolności i wspólnoty, co przedstawiał dokument „Rave", nakręcony dwa lata temu wraz z Dawidem Nickelem.

To zresztą kolejna cecha tej twórczości filmowej – kino Rondudy, zazwyczaj podpisywane dwoma nazwiskami, pozostaje niejako w kontrze do rozbuchanego indywidualizmu, który zbyt długo bywał wyznacznikiem „prawdziwej" twórczości. W tych filmach rozmaici artyści i artystki schodzą z wyobrażonych parnasów i odsłaniają swoją mniej lub bardziej wrażliwą podszewkę, żeby stać się przekaźnikami własnych czy zbiorowych niepokojów.

Filmy o nich tylko dyskretnie podpowiadają, po co właściwie jest ta cała sztuka i czemu/komu ona ma służyć, przy okazji zaś poszerzają horyzonty polskiego kina o zupełnie nowe obszary.

© ANITA PIOTROWSKA

Lektor:
Krakowianin

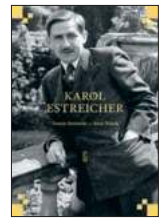

▪ *Tomasz Siewierski, Artur Górski,* **KAROL ESTREICHER**, *Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2026*

„Był przede wszystkim dzieckiem Krakowa, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, historykiem sztuki, bibliografem, pisarzem, tłumaczem, rewindykatorem polskich dóbr kultury po II wojnie oraz autorem koncepcji ostatniej przebudowy Collegium Maius, gdzie zorganizował Muzeum UJ".

Długi cytat, ale krócej tego życiorysu podsumować się nie da. Może jeszcze tylko daty życia (1906-1984) i uwaga, że temperament Karola Estreichera juniora był dość wybuchowy. Na szczęście autorzy dbają o obiektywizm i nie przyznają sobie prawa do formułowania jednoznacznych ocen konfliktów, w których racje były podzielone, a taka skłonność bywa dziś zmorą.

Rewindykacje to na pewno największa jego zasługa dla Polski – ale ta misja, przeprowadzona z wielką energią, odwagą i sprytem, wiązała się przecież z przejściem „londyńczyka" na stronę rządu warszawskiego. Ołtarz Wita Stwosza nie stanowił tu problemu – ale Stanisław Gąsiorowski, dyrektor Muzeum Czartoryskich, wcale nie był zbyt szczęśliwy, gdy Estreicher przywiózł mu Leonarda i Rembrandta bez pytania o zgodę właścicieli. Czy jednak inaczej nie stracilibyśmy tych arcydzieł?

Odnawiając Collegium Maius, Estreicher poczynał sobie swobodnie, a decyzja o usunięciu neogotyckiego płaszcza z czasów XIX-wiecznej przebudowy była dyskusyjna, podobnie jak umieszczenie w Collegium gdańskich schodów przywiezionych z pałacu w Krzeszowicach. Być może jednak barokowe schody zostały dzięki temu uratowane, a w ogóle na estreicherową kreację wnętrz czcigodnego zabytku patrzymy dziś życzliwiej.

No i nieszczęsny spór z krakowskimi historykami sztuki... Kiedy czytałem wydany w niemal dwie dekady po śmierci autora jego „Dziennik wypadków", przecierałem oczy. Czy opisane w nim kłębowisko żmij naprawdę miało być portretem Instytutu Historii Sztuki, w którym spędziłem cztery wspaniałe lata studiów, a wąż szczególnie jadowity – jednym z moich ulubionych profesorów?

Ta nieszczęśliwa, pozbawiona komentarza publikacja obciąża jednak konto jednego z następców Estreichera w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. W ogóle losy spuścizny uczonego to osobny temat. Na szczęście czytelnik tej książki dowie się przede wszystkim o jego zasługach. A ja chciałbym mu podziękować – co nigdy nie było mi dane – za „Nie od razu Kraków zbudowano", jedną z najpiękniejszych książek o moim mieście. I polecić „Estreicherów" jego siostry Krystyny Grzybowskiej. ©℗

eprasa.pl 2ed1dec601

PAWEŁ

Bravo:
Ryby od Putina



Orbánie, wróć! O ile prościej było na ciebie wszystko zwalić. Groziłeś wetem, jeśli ci za mało podsypano, i nikt nie musiał się tłumaczyć z przykrych decyzji lub jeszcze bardziej przykrego ich zaniechania. Byłeś jako jedno z tych żyjątek obsługujących najmniej eleganckie odcinki wielkiego cyklu obiegu materii i energii, po to, żeby pospinać łańcuchy pokarmowe ekosystemu, i aby najwyższy w hierarchii kierownik bajora mógł najeść się do syta i w chwale.

A może ja to wszystko niepotrzebnie opowiadam, bo nie jecie paluszków rybnych i w ogóle was to nie dotyczy. Poetycko dosadna to nazwa, w punkt, albowiem ryba nie ma kończyn, więc od razu, na samo brzmienie słów włącza się alert, że to coś sztucznego. Żeby móc w świetle unijnego prawa cieszyć się rybim przydomkiem, paluszek musi zawierać co najmniej (tylko?!) 65 procent mięsa z ryby. Reszta to wypełniacze i panierka, zoptymalizowana pod kątem chrupkości, która wytrzyma mrożenie, a następnie szok termiczny na patelni lub w mikrofali. Chrupka i pachnąca zrumienioną bułeczką. Reakcja Maillarda działa bez pudła i nadaje mdłemu kawałkowi fileta z mintaja (podobnie jak strzępowi kurzej piersi w tzw. nuggetsach) taki rodzaj apetyczności, która zadziała na najbardziej apatyczne niejadki.

Statystyki nie kłamią: paluszkowy biznes jest kolosalny. Strategiczny wręcz, bo przecież gdyby tak nie było, to nie płacilibyśmy prawie miliarda euro rocznie Putinowi za dostawy mintaja i dorsza. W 2022 r. sprawiedliwe narody Europy ogarnęła sankcyjna furia i zablokowały import kawioru i niektórych skorupiaków. Ale zwyczajnej, codziennej rybki nikt się nie zamierzał wyrzekać.

W przeciwieństwie do wielu innych produktów, ryby i ich 65-procentowe przetwory w sklepie są oznaczone tylko kodem akwenu, a nie krajem, który zarobił na jej złowieniu. Ale nie jest to jakaś skomplikowana kabała, żeby zapamiętać, że napisy „FAO 61" (w praktyce Morze Ochockie) albo „FAO 27.1" (Morze Barentsa) oznaczają mniej więcej tyle co: „wujek Wowa życzy smacznego i dziękuje za wpłatę na rakiety". Kraje bałtyckie od paru lat naciskały w Brukseli, żeby jednak i te pieniądze Moskwie odciąć, ale, jak się wyraził nasz wiceminister rolnictwa podczas posiedzenia jednej z komisji sejmowych (pamiętacie, że mam takie perwersyjne hobby: czytam stenogramy i protokoły głosowań, bywa tam zakopane złoto), inne kraje były wstrzemięźliwe. Aż w końcu Łotysze wraz z resztą nordyckiej czeredy jednak dopięli swego: Komisja w czerwcu tego roku wpisała stopniowy zakaz sprowadzania ochockiej ryby do najnowszej listy sankcji.

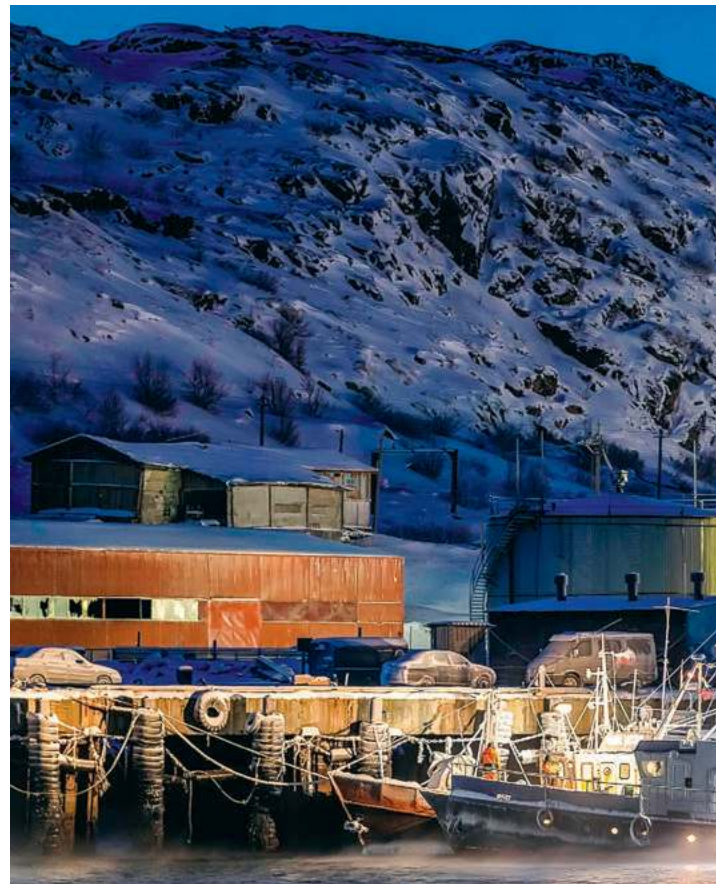

Minął miesiąc, nadszedł dedlajn na klepnięcie sankcji (bo właśnie zaczynają się w Brukseli ponadmiesięczne wakacje wszelkich instytucji, a cyniczne pytanie Kissingera „do kogo mam dzwonić, jeśli chcę rozmawiać z Europą" pozostanie jeszcze bardziej bez odpowiedzi), tymczasem mintaj i dorsz wywinęły się z sieci. Nie ma ich na liście. Kiedyś brudną robotę przy osłabianiu sankcji wykonywał Orbán, a innym krajom wystarczała owa zbawienna wstrzemięźliwość – schowanie się za większym łobuzem. A dziś? Trzeba było ubabarać ręce, albo chociaż paluszki, samemu. Niemcy, Polska, Holandia – to najwięksi odbiorcy rosyjskich dostaw, te dwa pierwsze kraje są potęgą w produkcji mrożonek.

Rzetelne źródła opowiadają, że „były naciski" z Berlina. Czy Polska też wzięła udział w tej grze i wymusiła korzystną dla Rosji zmianę z uwagi na nasze „bezpieczeństwo żywnościowe"? Ten argument międlą na okrągło lobbyści każdego sektora spożywczego, któremu chce się – czy to z przyczyn polityki wojennej, czy ekologicznej – utrudnić biznes. Może to i ma głęboki sens, ale czy ktoś przytomny wylicza równania, w których po obu stronach pojawia się słowo „bezpieczeństwo"? Po lewej bajońskie sumy wydane – mam nadzieję, że zawsze rzetelnie – na obronę przed Rosją, a po prawej pieniądze, którymi pomagamy się jej naoliwić?

Może każdy postęp odbywa się metodą „dwa kroki w przód, jeden wstecz" (plus długa pauza na nawodnienie). A mi jest łatwo wypominać, bo w ogóle mrożonej ryby w kostce nie jadam, mój kot również. Z podobnego dystansu obserwuję zamieszanie wokół zwolnienia paru tysięcy kurierów

eprasa.pl 2ed1dec601



OLGA TARASYUK / ALAMY / BE&W

Statki przetwórstwa rybnego w porcie Tieribierka w obwodzie murmańskim na Półwyspie Kolskim w Rosji

przez jedyną w Polsce platformę dowozową, która jeszcze ich zatrudniała na zlecenie – a nie poprzez patologiczne obejścia prawne z udziałem tzw. partnerów flotowych. Paradoksalnie, do zwolnienia doszło wskutek zmian w prawie pracy, które ułatwią zamianę fikcyjnych zleceń na etaty. Wystraszona platforma szybko więc dołączyła do konkurencji i, jak stwierdził nieco obłudnym wywiadzie jej szef, oddała ludzi „pod skrzydła" partnerów, gdzie będą mogli cieszyć się wymarzoną elastycznością pracy. Oj, będzie elastyczna jak dobrze natłuszczony bat.

Tania i szybka dostawa to jest, o czym tu kiedyś dokładnie pisaliśmy, rzecz niemożliwa do uzyskania, gdyby ludzi na rowerach przestać traktować jak niewolników. Do końca roku polskie władze muszą wpisać do prawa unijną dyrektywę porządkującą ten rynek. Jeśli zrobią to tak, jak z przepisami o najmie mieszkań dla turystów, to nie wróżę niczego dobrego. Wiem, zbyt łatwo mi pisać, że powinniśmy więcej płacić, bo w ogóle nie korzystam. Nie jestem samotnym rodzicem na dalekim osiedlu, który nie ma kogo poprosić o pilne zakupy. Kiedy sprawy robią się skomplikowane i trudno wyważyć sprzeczne racje, dobrze by było chociaż, żeby nie uciekać przed tą paskudną świadomością. I widzieć tego, kto akurat w danym rozdaniu dostał od losu gorsze karty.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Brokuł po rysku

Jakkolwiek rozumiem racje stojące za przemysłem przetwórczym, który wie, że mógłby stracić niemal jedyne źródło surowca, nie umiem nie sprzyjać w tej sprawie Bałtom, którzy dodatkowo muszą, tak jak nasi rybacy, ponosić skutki ogałacania przez Rosjan i tak nędznych zasobów dorsza na Bałtyku. Na szczęście populacja bałtyckiego szprota ma się całkiem dobrze. Szkoda, że nie tak dobrze ma się nasza opinia o tej rybce, która pokutuje chyba za niegdysiejszy status taniej i wygodnej w użyciu zagrychy. Od kiedy mamy dość łatwy dostęp do sardynek oraz sardeli w postaci anchois, szprotki schowały się w kącie na niższej półce. Tymczasem można je z dużym pożytkiem dla podniebienia zajadać nie tylko na chlebie z odrobiną twarogu, ale i jako umamiczny dodatek do niektórych warzyw. Z tym że wolę używać ich łagodniejszej wersji w oleju, produkowanej właśnie przez Łotyszy – są u nas dostępne w słoikach z napisem Riga Gold. Dlatego pozwoliłem sobie nazwać pewien daleki wariant cime di rapa właśnie na cześć Rygi.

1 pęczek brokuła gałązkowego lub 1 duży brokuł
70 g szprotek z oleju ▪ czosnek ▪ cytryna
50 g ziaren słonecznika

Obcinamy suche końcówki łodyżek i brzydkie listki z brokuła gałązkowego – a jeśli mamy zwykłego, dzielimy go na małe różyczki i zachowujemy też część głąba, którą możemy pokroić w kosteczkę. Wrzucamy do osolonego wrzątku na co najmniej 5 minut, czasem potrzeba nawet 10 – chodzi o to, by brokuł wyraźnie zmiękł, ale dalej stawiał opór zębom. Przekładamy na dużą patelnię, na której uprzednio udusiliśmy na oliwie najpierw rozgnieciony ząbek czosnku, potem szprotowe fileciki – po paru minutach rozgniótłszy je i drewnianą łyżką i dodawszy skórkę z połowy cytryny. Po przełożeniu brokułów delikatnie wszystko mieszamy, podlewamy paroma łyżkami wody, w której się gotowały, podgrzewamy kilka minut, aż dobrze wchłoną smaki. Jeśli boimy się, że wyszły nam za twarde, możemy dolać więcej wody i dusić pod przykryciem kilka minut. Pod koniec, już po wyłączeniu ognia, posypujemy skórką drobno otartą z połowy cytryny i mocno uprażonymi na patelni ziarnami słonecznika (albo zamiennie drobno posiekanymi i też uprażonymi migdałami). Jeśli podamy na zimno, to niegłupio będzie to lekko zakwasić sokiem z cytryny.©℗



JCFOTOGRAF / SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2ed1dec601

ZMYSŁY

KRAJOBRAZ Z MESSIM I LUDZIE

Miejsce zdetronizowanego geniusza na futbolowych szczytach zajęła drużyna złożona z piłkarzy, z których żaden w pojedynkę nie mógłby się z nim równać. Może to wcale nie jest takie złe zakończenie?

MICHAŁ OKOŃSKI

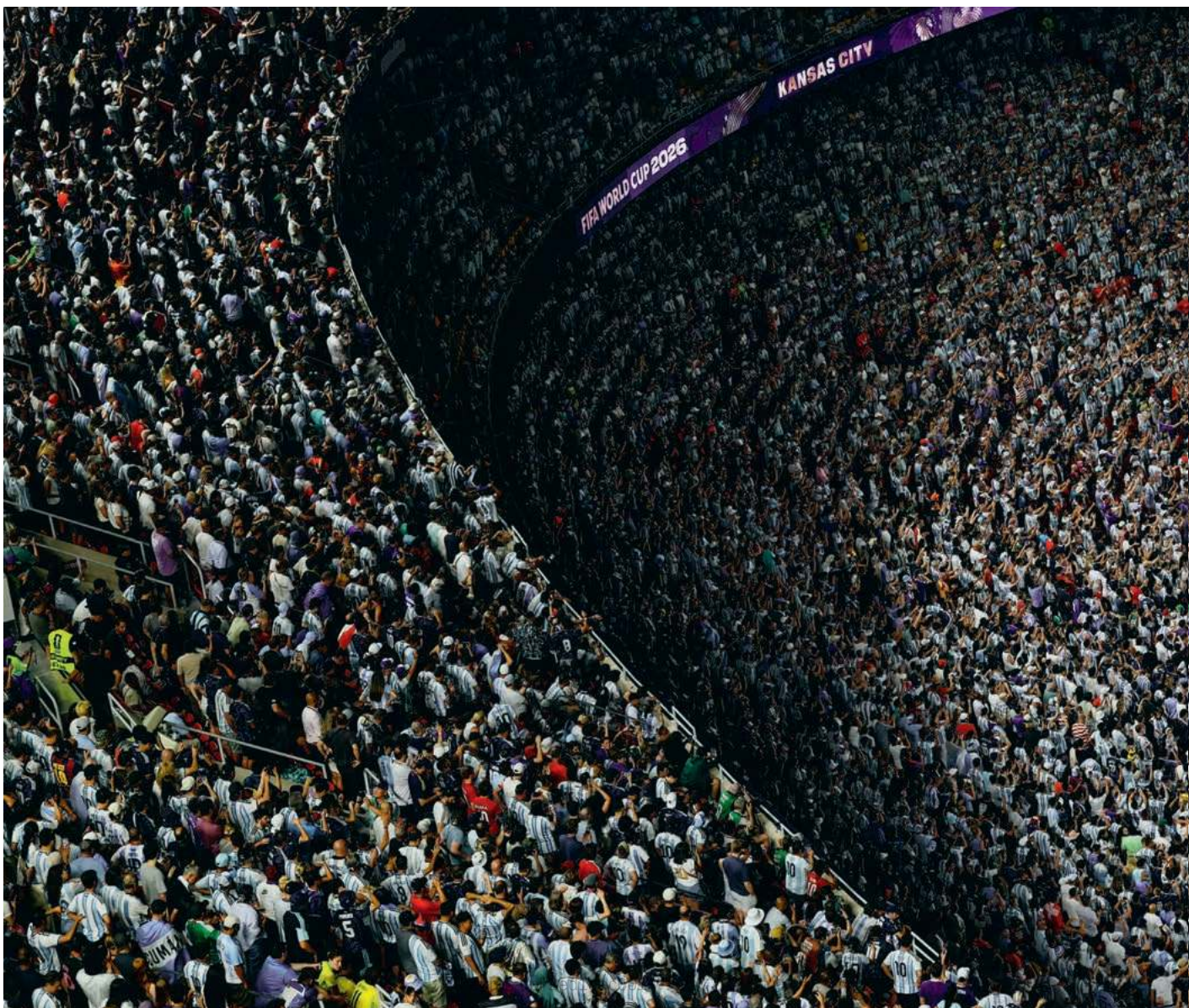

Im dłużej patrzę, tym bardziej mam wrażenie, że na tej fotografii zmieścił się cały świat – a czy tylko mój, to już sami sobie odpowiedzcie.

Co widać z trybuny na amerykańskim stadionie

Że stoję gdzieś tam, w osiemnastym czy dwudziestym szóstym rzędzie, i zamiast po prostu cieszyć się chwilą – nie byle jaką, bo przecież kilkanaście metrów ode mnie Leo Messi szykuje się właśnie do wykonania rzutu rożnego – jak zwykle wgapiam się w telefon. Albo że, jak sąsiadka z krzesełka obok, próbuję ten rzut rożny sfilmować, żeby po paru godzinach z rozczarowaniem usunąć nagranie, bo jednak za daleko i gołym okiem widziałbym znacznie lepiej.

Że się zagadałem z kumplami i przegapiam to, co się za chwilę wydarzy. Że się zapatrzyłem na lożę z celebrytami. Że czuję się trochę nie na miejscu w koszulce reprezentacji Brazylii, otoczony wianuszkiem rozśpiewanych Argentyńczyków. Że w ogóle czuję się nie na miejscu i odwróciłem się plecami do całego tego festiwalu komercji, w którym umieszczone na bilbordach reklamy – firmy zajmującej się predykcją oraz linii lotniczych petromocarstwa – nie pozwalają zapomnieć, w jakich czasach żyję.

Leo Messi przygotowuje się do rzutu rożnego w ćwierćfinałowym meczu ze Szwajcarią. Kansas City, 11 lipca 2026 r.



JULIAN FINNEY / FIFA / GETTY IMAGES

Założyłem słuchawki, żeby choć trochę wytłumić odgłos wrzasków prowadzącego widowisko w tzw. amerykańskim stylu wodzireja. Upewniam się, czy dziecko, które tulę do piersi, zdołało zasnąć wśród harmidru, i trochę się jednak obwiniam, że je tutaj zabrałem. W żółtej kamizelce, na śmieciowej umowie, nająłem się do pilnowania porządku, ale nie mogę się doczekać, żeby wreszcie wrócić do domu, a cały ten mundial kompletnie mnie nie obchodzi. Dwa lata oszczędzałem, żeby się tu znaleźć, i w ogóle nie chcę wracać do domu.

Pomyślałem sobie przed wyjściem z hotelu, że koszulką z napisem „Call someone who love" zaznaczę swoją odmienność na tle tłumu, który z tej uroczystej okazji przywdział setki koszulek z nazwiskiem „Messi" na plecach, różniących się jedynie numerem (te z dziewiętnastką są starsze od tych z dziesiątką) lub barwą (te granatowe są teoretycznie wyjazdowe i przynosiły szczęście w meczach z Anglikami).

Czego z mundialu nie zapomnimy

Prawdziwym bohaterem fotografii jest oczywiście najlepszy piłkarz świata, Leo Messi.

Jako najlepszy nie domaga się bynajmniej pierwszego planu, ale (chciałoby się powiedzieć: jak w „Pejzażu z upadkiem Ikara" Breugla) nadaje sens całości kadru. Czy nadaje sens całości turnieju? Chyba jednak nie, skoro mistrzostwo zdobyła Hiszpania – i to zdobyła w pełni zasłużenie, co podkreślam, bo w świecie sportu nie bywa to wcale oczywiste. Niemniej zdjęcie to towarzyszy mi od chwili, gdy zobaczyłem je po raz pierwszy – tuż po zakończeniu ćwierćfinałowego meczu Argentyńczyków ze Szwajcarami.

Dlaczego właściwie tak się uparłem, żeby zacząć od kadru, na którym widać wyłącznie kibiców i Messiego?

Tego, że na fotografii nie zmieścili się panowie Trump i Infantino, po ostatnich tygodniach tłumaczyć chyba nie trzeba – zresztą można by pewnie twierdzić, że cień, który pada na część trybun, rzucają właśnie persony ich pokroju.

Kwestie ingerencji tego pierwszego w odwieszenie dyskwalifikacji amerykańskiego napastnika, kwestie rzekomej przerwy na nawodnienie, a faktycznie na reklamy, albo kwestie rozdęcia turnieju do granic możliwości oraz trwającego blisko pół godziny show w przerwie meczu finałowego, kwestie cen biletów (eliminujących z kadru przytłaczającą większość z nas) – wszystkie one są, owszem, bulwersujące, zostały jednak gruntownie opisane.

Chociaż tyle, że udział prezydenta USA w ceremonii wręczenia medali i pucharu zwycięzcom okazał się ostatecznie skromny – to jedno powinniśmy oddać szefowi FIFA, że zdołał Trumpa w porę ściągnąć z podwyższenia.

Opisano również nieliczne w sumie mundialowe sensacje (odpadnięcie Urugwaju Bielsy, Niemców Nagelsmanna, potem także Brazylii Ancelottiego) i zaskakująco liczne niespodzianki, np. postawę debiutantów: Curaçao, a zwłaszcza Republiki Zielonego Przylądka; imponującą grę Amerykanów, przynajmniej do momentu niesławnej ingerencji Trumpa, czy fantastyczny turniej Norwegów, zarówno na boisku, jak poza nim.

Rozpisywano się na temat zakopanych talentów Portugalii, której selekcjoner nie potrafił tego, co dla trenera Argentyny ↦

pol 2ed1dec601

↦ było proste jak pokrojenie antrykotu na asado: znaleźć równowagę między największą gwiazdą a resztą drużyny. Podziwiano postawę drużyn afrykańskich (do fazy pucharowej awansowało aż dziewięć, Maroko uległo dopiero Francji w ćwierćfinale).

Z zachwytem przyjęto też fakt, że najwięksi przegrani mundialu – Francuzi z Mbappé, Dembélém, Olise, Anglicy z Kane'em, Bellinghamem, Rice'em – znaleźli niespodziewane pocieszenie w tej podwórkowej gonitwie za utraconym pięknem piłki, jaką okazał się rzekomo niechciany przez żadną ze stron mecz o trzecie miejsce.

Dlaczego finał nie był wielkim widowiskiem

Finał poprzedzającej go o dzień „terapii futbolem" (trzecie miejsce ostatecznie dała Anglikom wygrana 6:4) niestety nie przypominał. Pewnie trudno się dziwić, zważywszy nie tylko na stawkę, ale również na różnicę potencjałów i stylów Argentyny i Hiszpanii.

Ostatni mecz mundialu przedstawiano jeszcze przed jego rozegraniem w kategoriach napięcia między indywidualizmem a kolektywizmem; napięcia o tyle interesującego, że przecież rola jednostek w drużynowym sporcie, jakim jest piłka nożna, pozostaje ogromna (jak zauważył na portalu The Athletic Michael Cox, w pływaniu synchronicznym trudno jednak wyobrazić sobie noty za występ dla poszczególnych członków drużyny).

Czy geniusz Messiego mógł wystarczyć w konfrontacji z hiszpańskim systemem, który czasem określano wręcz jako... nudny – nie wszyscy wszak lubią futbol oparty na cierpliwym utrzymywaniu się przy piłce, nieustannej wymianie podań, kontrpressingu po stracie i jedynie w najlepszych momentach płynnych akcjach z udziałem całego zespołu, w których pojęcie synchroniczności wydaje się faktycznie nie od rzeczy?

Nudne to było czy nie: Hiszpanie pozostali wierni swojej tożsamości, budowanej zresztą długie lata, bo zanim trener Luis de la Fuente rozpoczął pracę z pierwszą reprezentacją, z kilkoma spośród obecnych podopiecznych wygrywał w 2015 r. mistrzostwa Europy do lat 19.

Jego zawodnicy próbowali grać w piłkę. Argentyńczycy tymczasem – kolejny raz w tym turnieju – nastawili się na przeszkadzanie. Najpierw chcieli przetrwać, a potem (po wyrzuceniu z boiska za faul na Cubarsím Enzo Fernándeza, który pierwszą żółtą kartkę dostał za podważanie decyzji arbitra) na walkę o przetrwanie skazali się sami.

Udało im się doprowadzić do dogrywki, ale tam w końcu ulegli: po głębokim dośrodkowaniu Pedra Porro rezerwowy Nico Williams zagrał typową dla Hiszpanów, wycofaną piłkę sprzed linii końcowej do wbiegającego w środek pola karnego kolejnego rezerwowego, Ferrana Torresa – i bardzo dobrze wcześniej broniący Emiliano Martínez tym razem już Hiszpanów nie zatrzymał.

W tamtym momencie – w 106. minucie – mistrzowie Europy mieli już na koncie 20 strzałów, z czego 12 było celnych; mistrzowie Ameryki Południowej do samego końca nie oddali ani jednego celnego strzału.

Jak wychowano mistrzów świata

Zdobywca najważniejszej bramki turnieju (mistrzostwa świata lubią takie historie) nie był oczywistym bohaterem. I w klubie, i w reprezentacji zarzucano mu nieskuteczność; powszechnie krytykowany, w pewnym momencie zmagał się z kryzysem psychicznym. Na mundialu, w meczach z Republiką Zielonego Przylądka i z Urugwajem, obijał raczej słupki.

A jeśli futbolowy świat ma przypominać ten z dziecięcych albumów z kartami piłkarzy albo z dorosłych reklam, to gola na wagę złotego pucharu od FIFA powinien właściwie zdobyć Lamine Yamal; nastąpiłoby w ten sposób przekazanie pałeczki z rąk dawnej ikony Barcelony, Messiego, w ręce nowej ikony tego superklubu, Yamala właśnie.

Ale nie: jakkolwiek próbowano nam mundial pokazywać skupiając się głównie na gwiazdach, one same nie wystarczą; tu naprawdę się bez drużyny nie obejdzie.

Zanim gola na wagę mistrzostwa strzelił Ferran Torres, o awansie Hiszpanii do finału przesądził wszak prawy obrońca Porro, który ze swoim klubem o mały włos nie spadł z Premier League. Ważne bramki dla mistrzów zdobywał skazany na rolę rezerwowego Merino. Najskuteczniejszego w drużynie Oyarzabala również trudno uznawać za supergwiazdę; Yamal skończył mistrzostwa z jednym zaledwie trafieniem, a w sumie bramki dla Hiszpanów strzeliło aż siedmiu graczy.

Tu naprawdę z „Messidependencią" – tak od lat nazywano uzależnienie reprezentacji Argentyny od Messiego – nie było porównania. Tu na sukces pracowali bramkarz i obrońcy (przez cały ośmiomeczowy turniej Hiszpanie stracili tylko jednego gola), a przede wszystkim zabiegał o niego „metronom" środka pola, interpretujący (jak sam mówił niegdyś) grę swojej drużyny Rodri.

I, co ciekawe, przy każdym z wymienionych dotąd nazwisk można było mieć przed turniejem znaki zapytania, np. z powodu kontuzji, z którymi zmagali się w ostatnich miesiącach.

Nie wszyscy pamiętają zdanie, które o Rodrim powiedział jesienią ubiegłego roku jego trener w Manchesterze City. Kiedy hiszpański pomocnik wciąż nie dochodził do formy po wielomiesięcznej przerwie związanej z zerwaniem więzadła krzyżowego przedniego, Pep Guardiola zapewniał: spokojna głowa, na mundialu Rodri będzie gotowy.

I faktycznie był: wszędobylski i wszechogarniający boiskowe wydarzenia do tego stopnia, że miało się wrażenie, iż umieszczony w piłce czip jest zaprogramowany na odnajdywanie kapitana Hiszpanów. Pokazywał się do rozegrania obrońcom, wygrywał powietrzne pojedynki, wchodził w fizyczne zwarcia, jak trzeba, także faulował (Messiego, a jakże); na boisku był dla drużyny punktem odniesienia, tak jak poza nim był kimś w rodzaju starszego brata.

I nie, bynajmniej nie próbuję tu posługiwać się jakąś wyświechtaną metaforą: o tym, że drużyna narodowa powinna być jak rodzina, składająca się nie tyle z dobrych piłkarzy, co dobrych ludzi, Luis de la Fuente mówił regularnie; jego priorytety dobrze zresztą oddaje fraza sprzed meczu z Francuzami, że o ile oni mają najlepszych piłkarzy na świecie, to my mamy najlepszą drużynę.

Czy życie bez Messiego będzie miało sens

Wróćmy jednak do fotografii, na której samotny Messi zmierza w stronę narożnika boiska. Jest po swojemu lekko pochylony, prawą ręką odruchowo przeczesuje włosy, jakby chciał rozbudzić się ze snu. On już wie, że tym razem happy endu nie będzie?

eprasa.pl 2ed1dec601



DYLAN MARTINEZ / REUTERS / FORUM

Kapitan reprezentacji Hiszpanii Rodri z pucharem po wygraniu mistrzostw świata w piłce nożnej. New Jersey, 19 lipca 2026 r.

Jakkolwiek próbowano nam mundial pokazywać skupiając się na gwiazdach, one nie wystarczą; tu naprawdę się bez drużyny nie obejdzie. **A Hiszpanie mieli drużynę, która była jak rodzina.**

Wspaniale było żyć w czasach Messiego – pozwalam sobie na dociśnięcie pedału patosu, mając poczucie, że jestem w dobrym towarzystwie.

Elegijne tony towarzyszyły już występom Argentyny w Katarze, bo i wówczas się wydawało, że każdy jego mecz może być meczem ostatnim: „W dzisiejszych czasach oglądanie Messiego stało się prawie nie do zniesienia – pisał wówczas np. historyk futbolu Jonathan Wilson. – Jest taka dziedzina, którą zajmowaliśmy się, którą oglądaliśmy, o której dyskutowaliśmy i o którą się troszczyliśmy całe nasze życie; dziedzina, której oddaliśmy nierozsądnie duże obszary naszych dusz, a on jest w tej dziedzinie najlepszy".

Ale – jak mówił sam lider Argentyńczyków – wygrywając mundial sprzed czterech lat, Messi „przeszedł tę grę", nic już nikomu nie musiał udowadniać, w jakimś sensie grał dla przyjemności, jaką sprawiało mu i przebywanie wśród kumpli z drużyny (co zasługuje na osobny akapit, zważywszy na to, jak bardzo kumple przypominali bandę rzezimieszków), i poczucie bycia wreszcie zaakceptowanym przez rodaków, którzy uznali, że niekoniecznie musi być klonem Maradony, by mogli go uznać za swojego.

Charakteru Messiemu i pozostałym reprezentantom Argentyny oczywiście odmówić nie sposób. „Ciężko pracujący, nigdy się niepoddający, zawsze znajdujący drogę wyjścia z sytuacji, jakkolwiek wydawałaby się trudna" – tak opisywał bycie Argentyńczykiem wspomniany już bramkarz tej drużyny Martínez, a Messi dodawał – irytując zresztą władze w Buenos Aires – że Albicelestes grają dla ludzi, „którym jest ciężko, którzy nie mają pracy, nie są w stanie dotrwać finansowo do końca miesiąca i nieustannie zmagają się z codziennymi trudnościami".

„Tym razem Anglików nie powstrzymała niczyja ręka: bóg miał nogi, głowę i pachniał smażonym mięsem" – napisałem po awansie Argentyny do finału, tłumacząc, dlaczego drużynę tę określono przed laty mianem „aniołów o brudnych twarzach" (gdy to określenie pojawiło się po raz pierwszy – po wygranej z Brazylią w finale mistrzostw Ameryki Południowej w 1957 r. – o anielskości nie było zresztą mowy).

W tradycji Albicelestes piękny futbol często sąsiadował z antyfutbolem; jak zwykł mawiać symbolizujący ciemne oblicze tamtejszej piłki w drugiej połowie lat 60. XX w. trener Osvaldo Zubeldía, „droga do chwały nie jest usłana różami".

Im więcej w grze Argentyńczyków na tym turnieju było prowokowania rywali, fauli z piłką i bez, tym bardziej dyskutowaliśmy o dziwnej symbiozie geniusza, który nie musi biegać szybciej niż inni, bo zanim oni zrobią krok, on już zobaczy trzy kolejne podania w meczu, z tą dziwną zbieraniną uliczników, czy raczej pasterzy z pampy.

„To było tak, jakby gauczowie z przedmieścia wspierali duchownego, który ochrzcił ich dzieci" – napisał do mnie któregoś wieczora Grzegorz Jankowicz i spodobała mi się ta fraza, bo argentyńskiemu duchownemu – niegdyś księdzu, dziś coraz częściej pastorowi – chodzi o coś więcej niż o przeżycie i nawet wyzwolenie; tu stawką są kwestie ostateczne. „W cynicznym świecie piłki (po prostu w świecie), w którym liczą się władza i pieniądze, byli gotowi zrobić dla niego wszystko, bo za jego sprawą brudne życie zdaje się nie mieć ostatniego słowa" – czytałem dalej esemesa od autora „Pojedynku wokół pustki".

Przez pierwszy kwadrans meczu finałowego dotknął piłki raz, rozpoczynając mecz od środka. Hiszpanie nie tyle pilnowali go indywidualnie, co – jak na mistrzów także w tym fachu przystało – agresywnym pressingiem na cały argentyński zespół odcinali go od gry. Owszem, Messi w swoim stylu spacerował po boisku w poszukiwaniu wolnych przestrzeni, ale wielkość rywali polegała także na tym, że mu tych przestrzeni nie zamierzali odsłonić – nawet gdy próbował, jak w poprzednich meczach, schodzić na prawe skrzydło.

Po ostatnim gwizdku próbował powstrzymać płacz, ale w końcu – zbliżenia kamer na tegorocznym mundialu naruszały doprawdy granice intymności – zobaczyliśmy spływające mu po policzkach dwie łzy. Na fatalnej skądinąd murawie stadionu w New Jersey siedział samotnie, jak Odyseusz, który zamiast triumfu i bogactw odnalazł w swojej ostatniej podróży tylko tęsknotę i traumę. „Wypalony, sterany wyprawą, która nie przynosi mu chwały" – mówił niedawno w „TP" o bohaterze Homera Marek Węcowski, i w tym obrazie również jest wszystko.

„W »Odysei« rodzi się nowoczesna podmiotowość. Homer wie, że wobec każdego gramy inną rolę, że w środku jesteśmy kłębkiem różnych wersji samych siebie i być może do końca nie wiemy, jaka jest ostatecznie prawda o nas – napisał tu kiedyś z kolei Wit Szostak. – Możemy tylko opowiadać siebie różnymi głosami, ciągle grając w ukrycia i ujawnienia". Oto dlaczego – nawet jeśli za Argentyną nie będę płakał, bo dawno nie widziałem tak zasłużonego zwycięstwa jak hiszpańskie – tak bardzo chciałem na koniec namalować krajobraz z Messim i ludźmi.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

eprasa.pl 2ed1dec601

TOMASZ

Stawiszyński: *Co czytać na wakacjach*



Jak wiadomo, na wakacjach nie ma lepszego zajęcia niż czytanie książek. Owszem, niektórzy ponoć wolą się wspinać po skałach, przedzierać z plecakiem przez jakieś ostępy albo zatracać w gorączce zwiedzania. Rozumiem to. Szanuję. Niemniej pozostaję przy swojej opinii. Wakacje to czas, kiedy wreszcie można się poświęcić niezakłóconej lekturze, zatopić w wyobrażonych światach, choć trochę nadrobić całoroczne zaległości.

Ale towarzyszy temu zawsze niebagatelny dylemat. Czy zabierać ze sobą poważne i uczone tomy, czy raczej wartkie i wciągające kryminały? Pękające od statystyk i analiz non-fiction czy opowieści lekkie, wciągające i przyjemne? Cóż, każdy to musi rozważyć we własnym sumieniu, ale jeśli o mnie chodzi, opowiadam się zdecydowanie za kryterium przyjemności. Przy czym u każdego wyzwala się ona w nieco innych warunkach. Jedni doświadczają jej w kontakcie z prozą Lee Childa, Patricii Highsmith czy Stephena Kinga (polecam zdecydowanie!), inni zaś Prousta i Balzaca (też polecam zdecydowanie!); jedni pochłaniając prozę, inni eseistykę, rozprawy filozoficzne lub reportaże. Pamiętam, że kiedy przed laty uczęszczałem w Instytucie Filozofii UW na zajęcia do Magdaleny Środy, zachęcała ona przed każdymi wakacjami, żebyśmy na plażę lub w góry zabierali ze sobą wszystkie dostępne dzieła jakiegoś znamienitego filozofa. „Nie ma przecież nic lepszego – mówiła, budząc w nas mieszaninę rozbawienia i niepokoju – niż czytanie »Krytyki czystego rozumu« na plaży. Bardzo polecam!".

Nie wiem, czy ktokolwiek poza prof. Środą (skądinąd, to bardzo ciekawe: mam wrażenie, że Środa na zajęciach i Środa w mediach to dwie zupełnie różne Środy, ale o tym może kiedy indziej) faktycznie zdecydował się kiedyś na lekturę dzieł Kanta, leżąc przy tym na rozgrzanym piasku. Chciałbym dziś jednak, korzystając z wakacji w rozkwicie, coś Wam do czytania zarekomendować. Sądzę, że niezależnie od indywidualnych preferencji, są to rzeczy, które pogodzą powyższe sprzeczne tendencje i unieważnią nierozwiązywalne dylematy.

Jedynie z pozoru będą to rekomendacje dotyczące literatury fantastycznej. Jeśli macie wobec niej uprzedzenia, mogę zapewnić, że są oparte na irracjonalnych podstawach. Naprawdę, jeśli tylko ktoś tworzy literaturę prawdziwie wybitną, nie ma zupełnie znaczenia, do jakiego gatunku da się go przyporządkować. Wybitna literatura nacechowana gatunkowo ma co najwyżej to do siebie, że czyta się ją jeszcze lepiej i z jeszcze większą przyjemnością niż tzw. główny nurt. Jej twórcy zazwyczaj doskonale operują rzemiosłem narracyjnym, a przy tym windują swoje opowieści w rejony wyższej sztuki, nierzadko autentycznie wizyjnej.

Mowa o Philipie K. Dicku i George'u R.R. Martinie. Pierwszy to nieżyjący już (zmarł w 1982 r.) klasyk *science fiction*, drugi to też klasyk – choć żyjący – tyle że fantasy. Nawet ci z Was, którzy omijają w księgarni półki z napisem „fantastyka", z pewnością kojarzą obu z głośnych ekranizacji filmowych: „Łowcy androidów" Ridleya Scotta (na podstawie Dicka) i monumentalnego serialu „Gra o tron" (na podstawie Martina).

Ale nie adresuję tej rekomendacji do miłośników fantastyki – ich doprawdy do czytania Dicka i Martina zachęcać nie trzeba – lecz do tych, którzy chcieliby po prostu lepiej zrozumieć rzeczywistość, w której żyjemy. Tak, jak najbardziej, książki, których akcja toczy się na innych planetach, w przyszłości albo w całkiem wymyślonych światach, naświetlają mechanizmy rządzące tym, co dzieje się dookoła, w stopniu znacznie głębszym aniżeli niejedna filozoficzna czy socjologiczna rozprawa. Dick już kilkadziesiąt lat temu dostrzegł fundamentalny rys naszej epoki – atrofię poczucia tożsamości, zacieranie się granic pomiędzy rzeczywistością a iluzją, związane z galopującym postępem technologicznym. Martin z kolei doskonale opisał dynamikę współczesnej rzeczywistości politycznej, kult władzy, pieniądza, przemocy i wąsko rozumianej pragmatyki.

Owszem, technologia opisywana przez Dicka zdaje się dziś nieco archaiczna. Próżno szukać u niego jakichś naukowych profecji. Nie był to zresztą pisarz o ambicjach podobnych do Lema, nie interesowały go możliwe ścieżki postępu nauki czy techniczne szczegóły. Interesowało go doświadczenie jednostki coraz bardziej pogubionej w świecie, w którym – cytując klasyka – wszystko, co stałe, rozpływa się w powietrzu. U Martina czytamy o smokach, nieistniejących królestwach, magii i innych charakterystycznych dla fantasy rekwizytach, a przy tym jego opis mechanizmów pozyskiwania, sprawowania i utrzymywania władzy jest wyjątkowo precyzyjny. I całkowicie pozbawiony złudzeń.

Zaręczam, nie ma lepszej lektury na wakacje, Dick i Martin zapewnią Wam zarówno solidną porcję rozrywki, jak i równie solidną porcję refleksji. Czy można sobie wyobrazić lepsze wakacyjne połączenie? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 2ed1dec601

REKLAMA



eprasa.pl/zed1deco

REKLAMA

MELISANA
Klosterfrau
Original

Dostępna bez recepty.

200 *lat tradycji* w leczeniu:*

- BÓLU BRZUCHA I WZDĘĆ NA TLE NERWOWYM
- WSPOMAGAJĄCO PRZY OBJAWACH PRZEZIĘBIENIA I GRYPY
- POWYSIŁKOWEGO BÓLU MIĘŚNI
- TRUDNOŚCI Z ZASYPIANIEM



HISTORIA MELISANY

* Historia Melisany sięga 1815 roku i legendarnej bitwy pod Waterloo. To wtedy zakonnica Maria Clementine Martin opracowała recepturę na bazie leczniczych ziół, pomagającą żołnierzom w stanach napięcia i bólu. Jej preparat zyskał uznanie króla Prus i stał się podstawą kultowej formuły produkowanej nieprzerwanie do dziś.

MEL.2025.06.02.2

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o.

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

eprasa.pl 2ed1dec601